

Kolekcja książkowa CAŁA POLSKA CZYTA DZIECIOM
Fundacji „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom”
oraz tygodnika POLITYKA

TOM XVI

Kolekcja książkowa CAŁA POLSKA CZYTA DZIECIOM
Fundacji „ABCXXI – Cała Polska czyta dzieciom” oraz tygodnika POLITYKA

Serce

Edmund de Amicis

Tytuł oryginału włoskiego: Cuore

Tłumaczenie z oryginału: Maria Konopnicka

© Adaptacja językowa i skróty: Irena Koźmińska i Elżbieta Olszewska

© Copyright by Polityka Spółdzielnia Pracy

Wydawca kolekcji CAŁA POLSKA CZYTA DZIECIOM:

POLITYKA Spółdzielnia Pracy

02-309 Warszawa, ul. Stupecka 6

tel. 067 210 86 50

e-mail: kolekcja@polityka.pl

www.polityka.pl

Ilustracja do okładki i projekt graficzny kolekcji: Anita Głowińska

Opracowanie graficzne kolekcji: Janusz Fajto

Druk i oprawa: Olsztyńskie Zakłady Graficzne

Printed in Poland

Wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 70g, vol. 2.0

ISBN kolekcji 978-83-61174-00-4

ISBN 978-83-61174-64-6

Edmund de Amicis

Serce

Przekład: **Maria Konopnicka**

Październik

Pierwszy dzień szkoły

17, poniedziałek

Dzisiaj pierwszy dzień szkoły.

Jak sen przeleciały letnie miesiące wakacji na wsi!

Mama poszła ze mną rano do szkoły, żeby mnie zapisać do trzeciej klasy. Szedłem dość niechętnie i myślałem o wsi. A ulice aż się roiły od chłopców. Obie księgarnie po drodze pełne były rodziców kupujących teczki, książki i zeszyty, a przed szkołą był taki ścisk, że woźny i strażnik miejski musieli pilnować, żeby się ludzie nie potratowali. Wtem w drzwiach ktoś trącił mnie w ramię. Był to mój dawny wychowawca, zawsze wesoły, roześmiany, z rudą, nastroszoną czupryną.

- No, Henryku - rzekł. - Rozstajemy się zatem na dobre!

Wiedziałem, że się rozstajemy, a jednak zrobiło mi się smutno.

Weszliśmy z trudem. Tłum kobiet i mężczyzn, prowadzących jedną ręką chłopców, a w drugiej niosących świadectwa, wypełniał korytarz i schody takim gwarem, jakby wchodzili do teatru.

Ucieszyłem się na widok wielkiego hallu z sześcioma drzwiami wiodącymi do sześciu klas, przez który przebiegałem codziennie przez prawie trzy lata. I tu był ścisk. Jedne nauczycielki wchodziły, inne wychodziły. Moja dawna wychowawczyni z pierwszej klasy skinęła mi głową, stając we drzwiach swej sali i rzekła:

- Idziesz w tym roku, Henryku, na wyższe piętro. Nie zobaczę cię już biegającego tutaj. - I spojrzała na mnie z cieniem smutku.

Wtem ujrzałem dyrektora. Otoczony był ze wszystkich stron tłumem zatroskanych kobiet, dla których synów zabrakło już miejsca. Jego broda wydała mi się bardziej szpakowata niż w zeszłym

roku. Zobaczyłem też wielu swoich kolegów, którzy przez wakacje podrośli i zmężnieli.

Na dole, gdzie już odbywały się egzaminy wstępne, stała cała gromada maluchów, które nie chciały iść do klasy. Klóciły się i popychały, tak że trzeba je było niemal na siłę przeciągać przez próg, a i tak niektóre uciekały z ławek, inne zaś, widząc, że rodzice odchodzą, zaczynały głośno płakać i krzyczeć, więc matki musiały wracać, by je uspokoić albo zabrać ze sobą. Nauczycielki były zupełnie bezradne.

Mój młodszy brat dostał się do klasy panny Delcati, a ja poszedłem na piętro do klasy pana Perboniego.

O dziesiątej byliśmy już wszyscy w komplecie. Pięćdziesięciu czterech chłopaków, ni mniej, ni więcej. Ale wśród nich znalazło się zaledwie piętnastu czy szesnastu moich dawnych kolegów; wśród nich Derossi, ten, który był zawsze najlepszym uczniem.

Jaka mała i nudna wydała mi się szkoła, kiedy pomyślałem o łąkach, lasach i górach, w których spędziłem lato! Myślałem też o moim dawnym wychowawcy, który był zawsze taki fajny, śmiał się z nami i ze swoim niedużym wzrostem wyglądał niemal jak nasz rówieśnik. Żał mi było, że już nie zobaczę jego rudej, zjeżonej czupryny. Nasz nowy nauczyciel jest wysoki, nie ma brody, ale ma za to długie, siwe włosy i pionową zmarszczkę na czole. Mówi grubym głosem i patrzy tak przenikliwie, jakby chciał nas wszystkich przejrzeć na wylot. I nigdy się nie śmieje.

Powiedziałem sobie:

- No i mamy pierwszy dzień szkoły. Jeszcze dziewięć miesięcy. Ile klasówek, ile pracy, ile męczarni!

Po lekcjach spotkałem przy wyjściu mamę i podbiegłem do niej. Powiedziała:

- Nic się nie bój, Henryku, będziemy się razem uczyli!

Więc wróciłem do domu zadowolony. Ale nie mam już mojego dawnego nauczyciela, co się tak mile uśmiechał, i szkoła nie wydaje mi się taka fajna, jak dawniej.

Chociaż nie mogę powiedzieć – nowy nauczyciel spodobał mi się po pierwszym dniu. Rano, kiedy już siedział na swoim miejscu, przed drzwiami klasy zatrzymywali się jego dawni uczniowie, aby go pozdrowić:

– Dzień dobry panu. Dzień dobry, panie Perboni.

Niektórzy wchodzili, podawali mu rękę i schylali głowy. Widać było, że go lubią i pewnie chcieliby do niego wrócić.

Odpowiadał: „Dzień dobry”, ścisnął wyciągające się do niego ręce, ale na nikogo nie patrzył i wszystkie powitania przyjmował jakby obojętnie, z tą swoją prostopadłą zmarszczką na czole, obrócony trochę do okna i niby zapatrzony w dach domu naprzeciwko. Zamiast się cieszyć z pozdrowień, widać było, że jest mu smutno.

Kiedy przeszli, zwrócił się do nas i patrzył przejmującym wzrokiem, jak gdyby czegoś oczekując. Wreszcie zaczął dyktować, chodząc pomiędzy ławkami, a spostrzegłszy chłopca, który miał całą twarz czerwoną od jakichś wyprysków, ujął jego głowę w obie ręce i położył mu rękę na czole, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

Tymczasem jeden z uczniów w ławce za nim zaczął się śmiać, robić miny i błaznować. Nauczyciel odwrócił się nagle. Chłopak siadł natychmiast, spuścił głowę i czekał na karę. Ale nauczyciel położył mu rękę na głowie i rzekł:

– Nie rób tego więcej – po czym powrócił do swego stołu i dalej nam dyktował.

Gdy skończył, patrzył przez chwilę w milczeniu, a potem odezwał się z wolna swoim grubym, ale dobrotliwym głosem:

– Słuchajcie. Mamy spędzić razem cały rok szkolny. Starajmy się spędzić go w zgodzie. Uczcie się i bądźcie dobrzy. Nie mam rodziny. Wy jesteście moją rodziną. Jeszcze w zeszłym roku miałem matkę, ale umarła. Teraz mam tylko was. Wy będziecie moimi dziećmi, moją troską i moją pociechą. Chcę waszego dobra, a wy starajcie się, żeby i mnie było z wami dobrze. Nie chciałbym was

karać. Pokażcie, że macie serca. Szkoła nasza będzie moim domem rodzinnym, a wy będziecie moją chlubą i radością. Nie oczekuję od was przyrzeczenia, obietnicy. Wiem, że w swych sercach już ją daliście. I dziękuję wam za to.

Wtem rozległ się dzwonek. Wyszliśmy z ławek cicho, jak w kościele, a chłopiec, który się wyśmiewał, podszedł do nauczyciela i rzekł drżącym głosem:

- Proszę pana. Niech mi pan przebaczy.

Nauczyciel pogłaskał go po głowie i powiedział:

- Idź w spokoju, mój chłopcze.

Wypadek

21, piątek

Rok zaczął się niefortunnie. Idąc rano do szkoły, właśnie powtarzałem ojcu słowa nauczyciela, kiedy ujrzeliśmy na ulicy tłum ludzi, którzy pchali się do drzwi naszego skrzydła. Tata mruknął:

- Jakiś wypadek, źle się rok zaczyna...

Przephchnęliśmy się z trudem. Hall był pełen rodziców i chłopców, których nie dało się utrzymać w klasach, a wszyscy zwróceni byli w stronę gabinetu dyrektora i słychać było głosy: „Biedny chłopiec. Biedny Robetti!”. Ponad głowami, w głębi zapchanego ludźmi hallu, widać było kask oficera i łysą czaszkę dyrektora. Potem przyszedł pan w cylindrze, a ludzie zaszemrali: „Doktor, doktor”.

Ojciec zapytał jednego z nauczycieli, co się stało.

- Tramwaj potrącił chłopca.

- Ma złamaną nogę - dodał inny.

Chłopiec był uczniem drugiej klasy, synem kapitana artylerii. Idąc do szkoły i widząc, jak jakiś malec z zerówki wyrwał się matce i wpadł na ulicę tuż przed nadjeżdżającym tramwajem konnym, rzucił się na niego, porwał go z ziemi i postawił na bezpiecznym miejscu. Sam jednak nie zdążył cofnąć nogi - i zgruchotało mu ją koło tramwaju.

Kiedy tak wszyscy rozmawiali, do hallu wpadła jakaś kobieta i jak szalona zaczęła rozpychać tłum przed sobą. Była to matka Robettiego, którą zawiadomiono o wypadku. Nagle podbiegła do niej inna pani i z głośnym płaczem rzuciła jej się na szyję. To była matka uratowanego malucha. Obie wpadły do pokoju dyrektora, skąd dał się słyszeć tylko rozpaczliwy krzyk:

- O mój Julek! O dziecko moje!

Przed drzwiami szkoły zatrzymał się zamknięty powóz, a po chwili ukazał się dyrektor niosący na rękę chłopca, który głowę miał zwieszoną przez ramię, twarz zupełnie białą i zamknięte oczy. Wszyscy natychmiast się uciszyli; słyhać było tylko głośnie łkanie matki. Dyrektor zatrzymał się i uniósł chłopca, aby go pokazać tłumowi. Wtedy wszyscy - nauczyciele, nauczycielki, rodzice, dzieci - zaszemrali wzruszonymi głosami: „Dzielny Robetti! Dzielny, biedny chłopiec!” - a ci, co byli bliżej, głaskali jego zwieszoną rękę. Robetti otworzył nagle oczy i zapytał:

- A mój tornister?

Matka ocalonego malca pokazała mu tornister i rzekła:

- Niosę ci go, aniele drogi, niosę...

I poszli; matka Robettiego miała twarz zakrytą obu rękami. Ułożyli chłopca w powozie i powóz ruszył. A my weszliśmy do klas w milczeniu.

Mały Kalabryczyk

22, sobota

Wczoraj, kiedy nauczyciel rozmawiał z nami o Robettim, który bardzo długo będzie musiał chodzić o kulach, wszedł dyrektor z nowo zapisanym uczniem. Nowy miał bardzo ciemną twarz, czarne włosy i duże, czarne oczy, nad którymi gęste brwi prawie łączyły się na czole. Chłopiec był cały ubrany na ciemno i przepasany skórzanym pasem.

Dyrektor szepnął parę słów nauczycielowi i wyszedł, zostawiając chłopca, który patrzył na nas nieco wystraszony. Wtedy nauczyciel wziął go za rękę i rzekł:

- To piękny dzień dla naszej klasy. Dołączył do nas mały Włoch urodzony w Reggio, w Kalabrii, odległej od nas o ponad pięćset mil. Pochodzi z ziemi okrytej chwałą, która dała naszej ojczyźnie wielu sławnych ludzi, dobrych pracowników i dzielnych żołnierzy. Jest to jeden z najpiękniejszych włoskich regionów, kraina wielkich lasów i wielkich gór, zamieszкана przez lud pełen zdolności i odwagi. Bądźcie dla niego przyjaźni i życzliwi, żeby nie czuł się tutaj samotny. Pokażcie mu, że mały Włoch, gdziekolwiek by wszedł do włoskiej szkoły, wszędzie znajdzie braci.

Potem wskazał na wielkiej mapie ściennej, gdzie leży Reggio i Kalabria, i zawołał głośno:

- Ernest Derossi!

Chodziło o naszego zdobywcę głównych nagród. Derossi podniósł się.

- Podejdź tu, chłopcze! - poprosił nauczyciel.

Derossi wyszedł z ławki, zbliżył się do stołu i stanął na wprost Kalabryjczyka.

- Jako prymus - powiedział nauczyciel - przywitaj w imieniu całej klasy nowego kolegę. Uściśnij dłoń syna Kalabrii, ty, dziecko Piemontu.

Derossi uściśkał rękę Kalabryjczyka i swoim dźwięcznym głosem rzekł:

- Witaj, kolego!

Na co Kalabryjczyk z impetem ucałował go w oba policzki, a reszta zaczęła bić brawo.

- Cicho tam - zawołał nauczyciel. - W szkole nie klaszczemy!

Ale widać było, że jest z nas zadowolony. Mały Kalabryjczyk też. Zaraz też nauczyciel wskazał mu miejsce i sam go do niego odprowadził, po czym rzekł:

- Zapamiętajcie, co wam powiedziałem, bo to jest wielka rzecz! Nasz kraj ojczysty walczył pięćdziesiąt lat o to, by chłopiec z Kalabrii czuł się w Turynie jak w domu, a chłopiec z Turynu czuł się jak w domu w Kalabrii. Trzydzieści tysięcy Włochów oddało za to swoje życie! Szanujcie się więc i kochajcie nawzajem; a gdy-

by któryś z was obraził tego chłopca tylko dlatego, że nie urodził się tutaj, stałby się niegodnym – słyszyście? – niegodnym podnieść oczu na trójkolorowy sztandar naszej jedności włoskiej.

Zaledwie też Kalabryczyk zajął miejsce, siedzący najbliżej obdarowali go różnymi drobiazgami, a jeden z ostatniej ławki pocztą „podaj dalej” przysłał mu prawdziwy szwedzki znaczek.

Moi koledzy

25, wtorek

Chłopiec, który posłał Kalabryczykowi znaczek, nazywa się Garrone i jego lubię najbardziej. Jest największy w klasie, ma blisko 14 lat, dużą głowę i szerokie plecy. Kiedy uśmiechnie się, bije z niego sama dobroć, ale rzadko się uśmiecha i zwykle jest poważny jak dorosły człowiek.

Poznałem już sporo chłopaków. Drugi, który też mi się całkiem podoba, nazywa się Coretti. Nosi brunatną bluzę i beret. Jest zawsze wesoły. Jego tata handluje drewnem, a w wojnie 66 roku bił się pod księciem Humbertem i dostał ponoć aż trzy medale. Lubię też małego Nellego, który ma krzywe plecy, jest wątlwy i błądy.

Jest też u nas jeden elegant, który nazywa się Vattini. Przede mną siedzi chłopiec zwany Mularczykiem, bo jego ojciec jest murarzem; gębę ma okrągłą jak jabłko, nos mały jak kłębuszek. Mularczyk ma talent do robienia zajęczego pyszczka, więc wszyscy ciągle go proszą, by robił zajęczy pyszczek i pękają ze śmiechu. Swój mały, mocno obszarpany kapelusz zwija i chowa do kieszeni jak chustkę do nosa.

Obok Mularczyka siedzi Garoffi, chudy i długi dryblas z krogulczym nosem i bardzo małymi oczkami. Ciągłe czymś handluje, wymienia się na pióra, pudełka zapalek, naklejki, a ściągi pisze sobie na paznokciach, żeby z nich czytać, jak go wyrwą. Dalej siedzi pannyk, Karol Nobis, strasznie zarozumiały. Siedzi między dwoma chłopcami, których bardzo lubię. Jeden to syn kowala; nosi kamizelkę, która sięga mu do kolan, jest chorowity, ciągle jakiś przestra-

szony i nigdy się nie śmieje. Drugi jest rudy i ma niesprawną rękę, którą trzyma na temblaku. Jego ojciec wyjechał do Ameryki, a matka sprzedaje jarzyny. Ciekawym typem jest też mój sąsiad z lewej, Stardi, niski i gruby, prawie bez szyi, mruk, co do nikogo się nie odezwie i niewiele rozumie, jak się do niego mówi. Patrzy w nauczyciela jak w obraz, zmarszczywszy czoło i ścisnąwszy zęby, a jak go o coś spytać, kiedy nauczyciel mówi, to za pierwszym i drugim razem nie odpowie, a za trzecim da takiego kuksańca w bok, że świeczki stają w oczach. Dalej siedzi czarny i ponury Franti, który był karnie przeniesiony do nas z innej szkoły.

Są też dwaj bracia jednakowo ubrani i tak podobni do siebie jak dwie krople wody. Noszą nasunięte z fantazją na ucho kalabryjskie kapelusze z bazancim piórem. Ale najładniejszy i najmądrzejszy ze wszystkich jest Derossi. Nauczyciel też już się na nim poznał i ciągle go wzywa do tablicy.

A ja i tak wolę Precossiego, syna kowala, co ma tę długą kamizelkę i jest chorowity. Podobno ojciec go bije. To możliwe, bo zawsze jest zalekniony, a jak kogoś potrąci albo o coś spyta, to zaraz dodaje „przepraszam bardzo” – i patrzy smutnie.

Ale jednak Garrone jest i największy, i najlepszy ze wszystkich.

Szlachetny postępek

20, środa

Tego ranka udało mi się bliżej poznać Garronego. Spóźniłem się trochę, bo zatrzymała mnie nauczycielka, pytając, kiedy mogłaby nas odwiedzić tak, aby zastać mnie w domu. Naszego pana jeszcze nie było, a trzech czy czterech chłopcy znęcali się nad biednym Crossim, tym rudym, co ma niesprawną rękę, a jego mama sprzedaje jarzyny.

Szturchali go linijkami, rzucali mu w twarz łupiny od kasztanów, przezywali mańkutem i strachem na wróble, naśladując, jak nosi rękę na temblaku. A biedny chłopak stał błądy i milczący mię-

dzy ławkami, patrząc błagalnie to na jednego, to na drugiego, żeby mu dali spokój.

Tymczasem napastnicy szydzili z niego coraz bardziej. Crossi zaczął cały drżeć i poczerwieniał z gniewu. Wtem Franti, ten wyrzutek z ponurą gębą, skoczył na ławkę i udając, że dźwiga dwa kosze na ręku, zaczął małpować matkę Crossiego, jak przychodziła i czekała na syna przed szkołą, a teraz nie przychodzi, bo jest chora. Klasa gruchnęła śmiechem. Wtedy Crossi stracił głowę, chwycił kałamarz i rzucił nim z całych sił w łeb Frantiego. Ale Franti uchylił się i kałamarz trafił prosto w pierś wchodzącego w tej chwili nauczyciela. Wszyscy umknęli na miejsca i ucichli ze strachu jak trusie. Nauczyciel pobladł, podszedł do stołu i gniewnym głosem zapytał:

- Który to zrobił?

Nikt nie odpowiedział. Więc nauczyciel, jeszcze bardziej zagniewany, krzyknął:

- Który?

Wtedy Garrone, ruszony współczuciem dla Crossiego, podniósł się w ławce i rzekł:

- To ja!

Nauczyciel spojrzał na niego, popatrzył na osłupiałe twarze uczniów i nagle spokojnym głosem powiedział:

- Nie! To nie ty. - A po chwili: - Nie ukarzę winnego. Niech wstanie.

Crossi wstał i płacząc, tłumaczył:

- Szturchali mnie, wyśmiewali... straciłem głowę... rzuciłem...

- Usiądź - rzekł nauczyciel. - Niech wstaną ci, którzy doprowadzili go do gniewu.

Wstało czterech z pochylonymi głowami.

- Znieważyliście kolegę - powiedział nauczyciel. - Kolegę, który nie szukał z wami zaczepki. Wyśmiewaliście się z nieszczęśliwego, prześladowaliście chłopca, który nie mógł się obronić. Popelniliście jeden z najbardziej nikczemnych, najbardziej haniebnych czynów, jakimi może się splamić człowiek. Podli!

To powiedziawszy, wszedł między ławki, uniósł twarz Garronego, który stał z głową spuszczoną, a spojrzawszy mu w oczy, rzekł:

- Szlachetna dusza jest w tobie!

Garrone, pomilczawszy chwilę, zamruczał coś niewyraźnie do ucha nauczycielowi, a ten odwrócił się do czterech winowajców i rzekł krótko:

- Przebaczam wam!

Moja nauczycielka z pierwszej klasy

27, czwartek

Moja nauczycielka dotrzymała obietnicy i przyszła dziś do nas, akurat w chwili, kiedy miałem wyjść z mamą, by zanieść trochę odzieży biednej kobiecie, o której wyczytaliśmy w gazecie.

Od jej ostatnich odwiedzin upłynął prawie rok. Bardzo się wszyscy ucieszyliśmy. Zawsze ta sama. Drobna, mała, z zieloną woalką wokół kapelusza, biednie ubrana, źle uczesana, niemająca nigdy czasu, żeby odpocząć; trochę tylko bledsza niż w zeszłym roku, z kilkoma więcej siwymi włosami, ciągle pokaszująca.

Mama zaraz się zatroskała:

- Jakże tam ze zdrowiem, droga pani? Pani go nic a nic nie szanuje, jak widzę.

- Ech, co tam zdrowie! - odrzekła nauczycielka, z tym swoim uśmiechem, na wpół smutnym, a na wpół wesołym.

- Pani zanadto nadwyręża głos na lekcjach - dodała mama.
- Pani się zamęcza z tymi chłopakami.

To prawda. Przez cały czas nauki słysząc w klasie jej głos; pamiętam to dobrze z czasów, kiedy sam do niej chodziłem. Mówi ciągle i głośno, żeby utrzymać uwagę chłopców. Ani na chwilę nie usiadzie. Wiedziałem, że do nas przyjdzie, bo nigdy nie zapomina o swoich dawnych uczniach, całymi latami pamięta ich imiona, a po egzaminach wypytuje dyrektora o ich stopnie, nieraz też czeka przed wyjściem i każe sobie pokazywać zadania, żeby zobaczyć,

jakie zrobili postępy. Wielu gimnazjalistów nadal przychodzi do niej, choć noszą już dorosłe ubrania i zegarki.

Dzisiaj wróciła bardzo zmęczona z galerii obrazów, gdzie zaprowadziła swoich uczniów, bo zawsze co czwartek prowadziła chłopców do jakiegoś muzeum i objaśniała im tam różne rzeczy. Znowu schudła, ale zawsze tak samo żywa i zaraz wpada w zapał, gdy mówi o szkole.

Chcieliśmy ją zatrzymać, ale spieszyła się odwiedzić małego ucznia ze swojej klasy, chorego na odrę, a oprócz tego miała jeszcze całą masę zeszytów do poprawienia i jeszcze przed nocą jedną lekcję arytmetyki u jakiejś kupcowej.

Wychodząc, uściskała mnie i już ze schodów zawołała:

- Nie zapomnij o mnie, Henryku!

„O, na pewno nie zapomnę! Nawet jak będę dorosły, też nie zapomnę i pójdę zobaczyć, jak w klasie uczysz swoich malców. A jak będę przechodził obok jakiejś szkoły i usłyszę głos nauczycielki, będę myślał o tych dwóch latach, które spędziłem w twojej klasie, gdzie nauczyłem się tylu rzeczy, gdzie widziałem cię często zmęczoną, ale zawsze czynną, pobłażliwą, zmartwioną, gdy któremuś ropiął palec, drżąca, kiedy wizytator nas przepytywał, szczęśliwą, gdy odpowiadaliśmy tak jak trzeba, zawsze dobrą i kochającą jak rodzona matka. Nigdy, nigdy cię nie zapomnę!”

Na poddaszu

28, piątek

Wczoraj wieczorem poszliśmy z mamą i z moją siostrą Sylwią zanieść bieliznę tej biednej kobiecie, o której pisali w dzienniku. Ja niosłem paczkę, a Sylwia gazetę, gdzie był wydrukowany jej adres i inicjały. Weszliśmy aż pod dach starego domu, gdzie był długi korytarz z wieloma drzwiami. Mama zapukała do ostatnich drzwi. Otworzyła nam kobieta jeszcze dosyć młoda, z jasnymi włosami, wychudzona, a mnie się wydało, że już ją gdzieś widziałem, w tej samej niebieskiej chusteczce na głowie, którą miała teraz.

- Czy pani taka a taka - z dziennika? - zapytała mama.
- Tak, proszę pani
- Przynieśliśmy pani trochę ubrań.

Kobieta zaczęła dziękować i błogosławić bez końca.

W kącie pokoju zobaczyłem chłopca, który klęczał na podłodze i pisał coś na rozłożonym na stolku zeszytcie. Sam nie wiem, jak on mógł pisać w takich ciemnościach. Kiedy chłopiec się poruszył, poznałem rudą czuprynę Crossiego, tego z mojej klasy, który miał niesprawną rękę. Zaraz też powiedziałem mamie o moim odkryciu.

- Cicho! - szepnęła mama. - Może by się wstydził, że obcy ludzie muszą im pomagać. Nie mów nic, jakbyś tego nie widział.

Ale w tej właśnie chwili Crossi odwrócił głowę w naszą stronę, a widząc moją zmieszaną minę, uśmiechnął się. Mama popchnęła mnie lekko w jego stronę, więc podbiegłem się z nim przywitać. Tymczasem jego mama opowiadała mojej:

- Zostałam z synem sama, mąż wyjechał zagranicę zarobić trochę grosza, nie ma go już sześć lat. Radziłam sobie jakoś, sprzedawałam jarzyny, ale odkąd zaczęłam chorować, wyprzedaję po kolei to, co mi zostało w domu. Ostatnio musieliśmy sprzedać stół, na którym Ludwiś odrabiał lekcje. Na światło też już nie mamy, no i tak sobie chłopak czy psuje. Dobrze, że jeszcze mogę posyłać go do szkoły, że dają mu tam za darmo książki i zeszyty. A Ludwik aż się rwie do nauki.

Mama wcisnęła jej w rękę pieniądze, jakie miała przy sobie, i poszliśmy do domu.

Po drodze powiedziała:

- Popatrz, synu, na tego biedaka. Jak się uczy, jak pilnie pracuje. Tobie jest łatwo, masz wszystko, czego ci trzeba, a często nie chce ci się zabrać do pracy. Więcej jest zasługi w jego pracy podczas jednego dnia niż w twojej przez cały rok. Jemu należą się wszystkie nagrody.

Widzę, drogi Henryku, że nauka sprawia ci problemy. Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś szedł do szkoły chętnie, z wesołą miną. Nie lubisz szkoły. Ale pomyśl tylko, jakie nudne i nic niewarte byłyby dni, gdybyś do niej nie chodził. Nawet tydzień by nie minął, a już byś prosił, żeby cię znów tam postać, tak dośkwierałaby ci nuda i poczucie wstydu, tak byłbyś zmęczony rozrywkami i samym sobą.

Wszyscy, wszyscy się teraz uczą, drogi Henryku. Pomyśl tylko o robotnikach, którzy idą do szkoły po całym dniu ciężkiej pracy, pomyśl o kobietach i dzieciach, które chodzą do szkoły w niedzielę, po całym tygodniu mozołu ponad siły, pomyśl o żołnierzach, którzy chwytają za książki i zeszyty, ledwo wrócą z wyczerpujących ćwiczeń. Pomyśl też o dzieciach niewidomych i głuchoniemych, które, mimo kalectwa garną się do nauki, pomyśl nawet o więźniach, bo i oni uczą się czytać i pisać.

Kiedy wychodzisz rano z domu, przypomnij sobie, że w tej samej chwili, w tym samym mieście, ponad trzydzieści tysięcy chłopców tak samo jak ty idzie na kilka godzin do szkoły. Ale co tam!... Pomyśl, że we wszystkich krajach świata miliony dzieci, podobnie jak ty, zdążają rankiem do szkoły.

Wyobraź sobie, że ta cała wielka armia przyszłości idzie przez ciche wioski, przez gwarne miasta, brzegiem jezior i mórz, płynie łodziami, jedzie końmi, saniami, przez doliny, przez wzgórza, lasy i potoki, po górskich kamienistych drózkach, w przeróżnych strojach, mówiąc tysiącem języków i narzeczy, wszyscy z książkami – od szkół na dalekiej północy, zagubionych gdzieś w lodach, do szkół Arabii, ocienionych palmami; miliony, miliony idą się uczyć tych samych rzeczy na tysiąc różnych sposobów. Wyobraź sobie, synku, to olbrzymie mrowie dzieci stu szczepów, stu ludów, stu krajin; ten wielki ruch, którego i ty jesteś częścią, i pomyśl: Gdyby ten ruch ustał, ludzkość popadłaby w dawne barbarzyństwo. Bo właśnie ten ruch oznacza postęp, on jest nadzieją i chwałą świata!

Zatem odwagi, mój mały żołnierzu milionowej armii! Twoje książki są twoją bronią, twoja klasa jest twoim oddziałem, polem bitwy jest cała ziemia, a zwycięstwem – cywilizacja ludzkości. Nie bądź tchórzem w tym boju, mój kochany Henryku!

Twój tata

Mały patriota z Padwy
Opowiadanie miesięczne

29, sobota

Nie będę tchórzem, o nie! Ale chodziłbym do szkoły z większą ochotą, gdyby nasz pan opowiadał nam codziennie takie historie, jak dzisiaj. Niestety, tylko raz w miesiącu ma być takie opowiadanie, i mamy je potem dostać na piśmie, i będzie zawsze o jakimś dobrym i pięknym uczynku jakiegoś chłopca. To pierwsze opowiadanie miało tytuł „Mały patriota z Padwy”. Oto jego treść:

Pewnego razu francuski parostatek płynął z hiszpańskiego miasta Barcelony do Genui. Na jego pokładzie znajdowali się Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Szwajcarzy. Był też wśród nich jedenastoletni, nędznie odziany chłopiec, który płynął sam. Trzymał się ciągle na uboczu jak leśne zwierzątko i spozierał spode łba na ludzi. Bo to było tak:

Dwa lata wcześniej jego ojciec i matka, wieśniacy z okolic Padwy, sprzedali chłopca bandzie linoskoczków, którzy nauczyli go różnych sztuk, stosując pięści, kopniaki i głód. Wędrowali z nim przez Francję i Hiszpanię, bijąc go bezlitośnie i morząc głodem. Kiedy przywędrowali do Barcelony, chłopiec, nie mogąc już dłużej znieść tego bicia i głodzenia, wyniszczony do ostatka sił, uciekł swemu dozorczy i poprosił o opiekę włoskiego konsula. Ten ulitował się nad nim, umieścił go na parostatku i dał mu list do kwestora w Genui, żeby go odesłał do rodziców. Do tych samych rodziców, co go sprzedali, jakby był bydłem, a nie człowiekiem! Biedny chłopiec był cały po-

raniony i ledwo trzymał się na nogach. Dali mu kajutę drugiej klasy. Ludzie przyglądali mu się, niektórzy zagadywali, ale nie odpowiadał. Wydawało się, że wszystkich nienawidzi i wszystkimi gardzi, tak mu dokuczyło i zatrulo serce to bicie i głodzenie. W końcu jednak trzem podróżnym udało się poprzez uporczywe pytania rozwiązać mu trochę język tak, że w szorstkich słowach, po części włoskich, po części hiszpańskich i francuskich, opowiedział im swoją historię.

Podróżni ci nie byli Włochami, ale zrozumiałwszy, co mówił, trochę z litości, a trochę z powodu wina, które szumiało im w głowie, dali mu pieniądze, prosząc, by jeszcze coś im opowiedział. A że do sali weszło w tym momencie kilka pań, wszyscy trzej chcieli się przed nimi pokazać i rzucali mu pieniądze, wołając:

- Trzymaj, mały, łap jeszcze!

Chłopiec napełnił kieszenie lirami, podziękował półgłosem, nadal dziki, ale po raz pierwszy ze spojrzaniem uśmiechniętym i wdzięcznym.

Zaraz potem poszedł do swojej kajuty, zaciągnął firankę i siedział cicho, rozmyślając o swym dziwnym losie. Mógł sobie teraz za te pieniądze nakupić różnych łakoci, on, który przez dwa lata tęsknił za suchym chlebem; mógł sobie kupić w Genui ubranie, on, który od dwóch lat chodził w łachmanach, mógł także zawieźć je rodzicom, którzy pewnie inaczej by go wtedy przyjęli, niż gdyby wrócił z pustymi rękami. Te pieniądze to był teraz jego mały majątek. Tak sobie rozmyślał zadowolony, podczas gdy trzej podróżni rozmawiali dalej ze sobą przy stole w sali drugiej klasy. Pili i opowiadali o swych podróżach i o krajach, które poznali. Od słowa do słowa zaczęli mówić o Włochach.

Jeden z nich zaczął narzekać na zajazdy, drugi na koleje, a potem wszyscy wpadli w zapał i wygadywali na wszystko, co włoskie. Ten wołałby podróżować po Laponii, tamten opowiadał, że we Włoszech sami złodzieje i oszuści, trzeci wyśmiewał włoskich urzędników, że nie umieją czytać.

- Naród nieuków - rzekł pierwszy

- Brudasów - dodał drugi

- Zło... - zaczął trzeci i chciał powiedzieć złodziei, ale nie do-
kończył. Grad soldów i półlirówek spadł im nagle na głowy i na
plecy i potoczył się z piekielnym hałasem po stole i po pokładzie.

Wszyscy trzej skoczyli wściekli, patrząc w górę, a tu im jeszcze
na twarze poleciała garść miedziaków.

- Macie tu swoje pieniądze! Trzymajcie te swoje grosze! -
krzyknął z pogardą chłopiec, zerwawszy firankę w swej kajucie. -
Nie przyjmuję wsparcia od tych, którzy znieważają moją ojczyznę.

Listopad

Kominiarczyk

1, listopada

Wczoraj wieczorem poszedłem do szkoły dla dziewcząt, aby zanieść nauczycielce Sylwii opowiadanie o chłopcu z Padwy. Aż sześćset dziewcząt uczy się w tej szkole! Właśnie wychodziły zadowolone, bo przed nimi dwa wolne dni, Wszystkich Świętych i Zaduszki. Wtem na wprost wejścia do szkoły, po drugiej stronie ulicy, zobaczyłem małego chłopca, pomocnika kominiarza, czarnego od sadzy, z workiem i szczotką w rękę, który gorzko płakał. Kilka starszych dziewczynek podeszło do niego, pytając, czemu płacze, ale chłopczyk nie odpowiadał, tylko szlochał coraz głośniejsze i coraz bardziej żałośnie.

- Dlaczego płaczesz? Co się stało? - dopytywały.

W końcu chłopiec oderwał ręce od swej dziecinnej, umorusanej sadzą twarzy, i łkając, opowiedział, że czyścił kominy w kilku domach, zarobił trzydzieści soldów i zgubił je.

- Musiały wypaść przez dziurę w kieszeni - dodał, wskazując rozdartą kieszeń. - A teraz boję się wrócić do domu, bo mnie majster zbije.

Dziewczynki spoważniały i patrzyły na niego ze smutkiem. Tymczasem nadbiegały inne uczennice, małe i duże, bogato i biednie ubrane, a jedna, starsza od pozostałych, wyjęła z kieszeni pieniądze i powiedziała:

- Ja mam tylko dwa soldy... Złożmy się na niego!

- Ja też mam dwa soldy - zawołała inna, w czerwonej sukience. - Może razem uzbieramy trzydzieści?

I zaraz zaczęły się zwoływać:

- Amelka! Ludka! Anulka! Kto ma pieniądze? Dawajcie no tu!

Kilka z nich miało po parę drobnych na kwiaty lub zeszyty. Mniejsze oddawały swoje grosiki. W końcu ta, która dała pierwsza, zebrała wszystko i zaczęła liczyć: ...Osiem, dziesięć, piętnaście! – I to było wszystko.

Wtem podeszła największa z nich, która wyglądała prawie na nauczycielkę i dała aż pół lira! Dziewczęta zaczęły jej dziękować, ale nadal brakowało pięciu soldów.

– Idą te z czwartej! – powiedziała jedna z nich. – One na pewno mają...

I rzeczywiście, zaraz posypały się soldy. Już dawno uzbierało się ich trzydzieści, a dziewczynki jeszcze dokładały, ile która miała. Te najmniejsze, którym jeszcze nie dawano w domu pieniędzy, przepychały się między starszymi, obdarowując kominiarczyka kwiatkami, żeby i od nich coś było i żeby też mogły wziąć udział w akcji zbiorowej solidarności z dzieckiem, z którym los obszedł się tak surowo.

Nagle nadeszła woźna, wołając:

– Pani dyrektorka idzie!

Dziewczynki uciekły jak stado wróbli. Wtedy dostrzegłem znowu kominiarczyka, jak stał sam, pośrodku ulicy, wycierając łzy i uśmiechając się z niedowierzaniem.

W obu rękach ścisnął swoje soldy, a z jego kapelusza, kurtki i ramion spadały kwiaty, tworząc na ziemi barwny dywan.

Mój przyjaciel Garrone

4, piątek

Nie było mnie w szkole tylko przez dwa dni świąt, a już brak mi było mojego przyjaciela Garronego. Im lepiej go poznaję, tym jest mi bliższy. Zresztą wszyscy go lubią, oprócz tych drabów, którzy chcą wszystkimi rządzić, a on im na to nie pozwala. Jak tylko któryś próbuje bić młodszych od siebie, maluchy wołają: – Garrone! – i dryblas zwiewa. Garrone jest najwyższy i najsilniejszy w naszej klasie. Może podnieść ławkę jedną ręką. Ale kiedyś wcale nie był taki. Przez parę

lat bardzo chorował i nawet do szkoły zaczął chodzić później niż inni. Zawsze ma przy sobie kawałek chleba i ciągle podjada. Śmiać mi się chce, bo na swój wzrost wszystko ma albo za krótkie, albo za wąskie: kurtkę, spodnie, koszulę, i krawat ściśnięty jak postronek. Ale wystarczy na niego spojrzeć, by go polubić. Na lekcjach nie śmieje się, nie gada, siedzi nieruchomo w ławce trochę przyciasnej dla niego, ale gdy tylko na niego popatrzę, uśmiecha się do mnie, mrużąc oczy, jakby chciał powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi.

Wszystko chętnie pożycza albo daje na zawsze: kartki, gumkę, ołówek – o co go tylko poprosić. W sobotę rano dał solda jednemu pierwszakowi, bo ktoś mu zabrał pieniądze i mały beczał, że nie ma za co kupić zeszytu. Nosi książki ściągnięte czerwonym rzemieniem. Ma nóż z rękojeścią z masy perłowej, znaleziony w zeszłym roku na placu musztry; skaleczył się raz tym nożem prawie do kości, ale nikomu o tym nie pisał ani w szkole, ani w domu, żeby nie martwić rodziców. Pozwala żartować z siebie i sam się śmieje z innymi, ale gdy ktoś zarzuci mu kłamstwo, to aż mu iskry lecą z oczu i ściska blat ławki tak mocno, że o mało jej nie połamie. Garrone jest dobry z matmy. Teraz od trzech dni ślęczy nad listem na imieniny dla swojej mamy. Ten list ma już osiem kartek. Nauczyciel patrzy na to ślęczenie i czasem poklepuje go przyjacielsko po plecach. Mama Garronego często przychodzi po niego do szkoły – jest taka sama wysoka i tęga jak on, i bardzo miła. Ojciec jest maszynistą na kolei. Bardzo lubię Garronego i cieszę się, że jestem jego przyjacielem. Jestem pewien, że naraziłby życie dla ocalenia kolegi, widać to w jego oczach. I chociaż czasem mruczy coś tym swoim grubym głosem, wiem, że głos ten pochodzi ze szlachetnego serca.

Węglarz i pan

7, poniedziałek

Garrone nigdy by nie powiedział nikomu tego, co wczoraj rano powiedział Bettiemu Karol Nobis. Karol pyszni się, bo jego

ojciec jest ważną figurą. Jest to wysoki, bardzo poważny pan z czarną brodą, który prawie codziennie odprowadza Karola do szkoły. Karol pokłócił się wczoraj z Bettim, jednym z tych najmniejszych w klasie, synem węglarza, a nie wiedząc, co powiedzieć, bo nie miał racji, zawołał na głos:

– Twój ojciec jest gałganiarzem!

Betti zaczerwienił się po samą czuprynę i nic nie odpowiedział, tylko mu łzy napłynęły do oczu, a kiedy wrócił do domu, powtórzył to ojcu. I jego tata, cały czarny od węgla, przyszedł na popołudniową lekcję ze skargą do nauczyciela.

Właśnie opowiadał naszemu wychowawcy o całym zajściu, a my wszyscy słuchaliśmy w milczeniu, kiedy pojawił się Karol ze swym ojcem. Tata pomagał mu jak zwykle zdjąć płaszcz w progu klasy, i kiedy usłyszał swoje nazwisko, wszedł i poprosił o wyjaśnienie.

– Pan Betti – rzekł nauczyciel – przyszedł poskarżyć się na pańskiego syna, Karola, który powiedział do jego chłopca: „Twój ojciec jest gałganiarzem”.

Pan Nobis zmarszczył czoło, poczerwieniał i zapytał Karola:

– Powiedziałeś tak?

Karol stał pośrodku klasy, naprzeciwko Bettiego, ze spuszczoną głową i milczał. Wtedy ojciec wziął go za ramię, popchnął w stronę Bettiego tak, że omal się nie zderzyli, i powiedział:

– Przepróż go natychmiast!

Węglarz chciał temu przeszkodzić, mówiąc:

– Nie trzeba, nie!...

Ale pan Nobis nie zwrócił na to uwagi i krzyknął jeszcze raz:

– Natychmiast go przeproś! Rozumiesz? Powtórz za mną! Dalej... Przepraszam cię za moje głupie, niegodne i obraźliwe słowa, które powiedziałem o twoim ojcu. Dla mojego taty to zaszczyt poznać twojego ojca i uścisnąć mu rękę!

Biedny węglarz jeszcze raz chciał temu przeszkodzić, ale pan Nobis nie ustąpił, aż jego syn cienkim głosem, powoli, nie podnosząc oczu, powtórzył przeprosiny co do słowa. Wtedy pan Nobis

podał rękę węglarzowi, który ją silnie uściskał, po czym popchnął swego syna w stronę Karola.

- Czy mógłbym prosić, żeby posadził pan chłopców w jednej ławce? - zwrócił się pan Nobis do nauczyciela

Nasz pan posadził Bettiego obok Karola, a kiedy obaj byli już na miejscu, ojciec Karola uklonił się i wyszedł.

Węglarz stał przez chwilę jak odurzony. Potem podszedł do ławki i patrzył na Nobisa przyjaźnie i ze smutkiem, jakby chciał mu coś powiedzieć. Ale nie powiedział nic, wyciągnął tylko rękę, żeby go pogłaskać. Jednak nawet tego nie śmiał zrobić; musnął więc tylko czoło Karola swymi grubymi palcami, zwrócił się ku drzwiom, obejrzał się jeszcze i wyszedł cicho.

- Zapamiętajcie to, coście tu widzieli, chłopcy - powiedział nasz pan - bo to jest najważniejsza lekcja w tym roku!

Nauczycielka mojego brata

10, czwartek

Dziś przyszła w odwiedziny do mojego chorego brata jego wychowawczyni, panna Delcati. Kiedyś jej uczniem był synek węglarza. Opowiadała nam ze śmiechem, jak dwa lata temu mama Bettiego przyniosła jej pełen fartuch węgla z podziękowaniem za medal, jaki otrzymał jej syn. Chciała koniecznie przekazać nauczycielce ten dowód wdzięczności i prawie płakała, kiedy panna Delcati stanowczo odmówiła jego przyjęcia. A znów mama innego ucznia przyniosła jej bukiet kwiatów, w którym ukryła zawiniątko z drobnymi pieniędzmi. Te opowieści tak nas wszystkich ubawiły, że mój brat zgodził się nawet wypić jakieś paskudne lekarstwo, którego przedtem nie chciał tknąć.

Oj, trzeba mieć dużo cierpliwości z tymi pierwszakami! Wszystkim brakuje zębów, jak staruszkom, jeden nie wymawia r, drugi s, jeden kaszle, drugiemu leci krew z nosa, ten nie może znaleźć zeszytu, tamten się drze, bo się ukłuł piórem, inny beczy,

bo ma nie taki zeszyt do ćwiczeń. Gromada takich jegomościów w klasie, co nic nie umieją, mają ręce jak z masła, i jeszcze trzeba uczyć ich pisać! A jakie „skarby” znoszą w kieszeniach do szkoły! Guziki, korki, cukierki, proszek z cegieł, który wszystko brudzi, mnóstwo drobiazgów, które nauczycielka musi odbierać, bo się nimi bawią, a chować je potrafią nawet w skarpetkach. Na lekcjach zupełnie nie uważają. Jak przez okno wpadnie bąk, to wszyscy rzucają się, żeby go zobaczyć. A wiosną znoszą zielsko i chrząszcze, i toto potem lata po klasie albo łązi po zeszytach i rozmazuje atrament.

Nauczycielka, jak matka, we wszystkim musi im pomagać – rozbiera ich, ubiera, opatruje skaleczenia i pilnuje, żeby nie pozamieniali kurtek, bo wtedy beczą, że aż strach.

Biedne te nauczycielki! A jeszcze zdarza się, że matki przychodzą z pretensjami:

- Co to znaczy, proszę pani, że mój chłopiec zgubił pióro?
- Dlaczego mój syn niczego się do tej pory nie nauczył?
- Czemu pani nie wyjmie z ławki gwoźdźcia, o który mój Piotruś rozdarł spodnie?

Czasem nauczycielka mojego brata nie może już wytrzymać z tymi chłopakami, wpisuje uwagi, ale potem broni ich przed rodzicami, którzy za taką uwagę karzą dziecko zbyt surowo.

Panna Delcati jest młoda, wysoka, ładnie ubrana, ma czarne włosy, jest bardzo energiczna, trochę porywcza, ale też czuła i wrażliwa.

- Te maluchy panią uwielbiają! – powiedziała moja mama.
- Tak, teraz tak to wygląda. Ale jak skończy się rok szkolny, nawet o mnie nie wspomną, a w starszych klasach wolą mieć lekcje z nauczycielami. Bywa, że po wakacjach nawet się nie uklonią na korytarzu, a gdy ich zagadnę, odwracają się w inną stronę.

Tu panna Delcati spojrzała na mojego braciszka.

- Ale ty się nie odwrócisz, prawda? Nie wyprzesz się swojej nauczycielki?

I uśmiechnęła się do niego.

W obecności nauczycielki twojego brata okazałeś Mamie brak szacunku. Niech się to nigdy więcej nie powtórzy, Henryku! Nigdy, pamiętaj o tym. Twoje lekkomyślne i niegrzeczne słowa bardzo mnie zabolaty.

Myślałem o twojej Mamie, jak przed laty stała pochylona całą noc przy twoim łóżeczku, gdy byłeś chory, jak nasłuchiwała, czy oddychasz, i jak gorzko płakała. Tak bardzo bała się, że może cię utracić! A ty ją teraz obrażasz? Matkę, która oddałaby rok własnego życia, by oszczędzić ci bólu przez godzinę? Która dałaby się za ciebie zabić, gdyby była taka potrzeba.

Słuchaj, Henryku, i zapamiętaj dobrze te słowa. W życiu czeka cię wiele smutnych, złych dni, ale najgorszy będzie ten, w którym stracisz Matkę. Wiele razy, gdy będziesz już silnym i zahartowanym przez życie mężczyzną, poczujesz pragnienie, by usłyszeć jej głos i przytulić się do niej, jak bezbronne dziecko. Z jakim bólem wspomnisz wtedy każde uchybienie wobec niej, będziesz żałował każdego niepostuszeństwa i niepokoju, jakiego jej przysporzyłeś. Nawet zły człowiek, który kocha swoją matkę, nie jest do końca zły, a najlepszy nie jest w pełni szlachetny, jeśli bez szacunku traktuje swą matkę. Nigdy nie obrażaj Matki, która dała ci życie, a jeśli kiedyś się zapomnisz, natychmiast ją przeproś – nie ze strachu przed gniewem ojca, ale z prawdziwego żalu, że tak postąpiłeś.

Kocham cię, mój synu. Jesteś nadzieją mojego życia. Proszę cię jednak, byś przez jakiś czas nie przychodził do mnie, żeby się przytulić; nie mógłbym ci teraz odwzajemnić uścisku z całego serca.

Twój ojciec

Tata już mi przebaczył, ale i tak jest mi smutno. Mama posłała mnie na spacer, żebym się trochę rozerwał. W połowie alei, kiedy przechodziłem obok jakiegoś wozu, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Oglądam się, a to Coretti, mój kolega z klasy, spocony, ale wesoły, dźwiga dużą wiązkę drewna na plecach. Człowiek stojący na wozie podawał mu naręcza drewna, a on brał je i zanosił do sklepu swego ojca.

- Co robisz, brachu? - pytam.

- Nie widzisz? - odrzekł, wyciągając ręce po nową wiązkę.

- Powtarzam sobie lekcje na jutro!

Roześmiałem się. Ale on mówił to zupełnie serio i biorąc kolejne naręcze drewna, zaczął recytować z pamięci:

- Koniugacja jest to odmiana czasownika przez osoby, liczby...

Odwrócił się w stronę wozu po nową wiązkę i dokończył:

- ...czasy, tryby...

Była to zadana na jutro lekcja gramatyki.

- No co? - zawołał Coretti. - Korzystam z czasu jak mogę. Ojciec pojechał po towar, mama chora, więc sam znoszę drewno, a w tym czasie powtarzam gramatykę. Strasznie jest trudna! Nie wchodzi mi do głowy.

Potem zwrócił się do woźnicy:

- Tata powiedział, że wróci o siódmej i wtedy panu zapłaci.

Wóz odjechał.

- Wejdz na chwilę do naszego sklepu! - zaprosił mnie Coretti.

Wszedłem. Był to spory skład z opalem. Z prawej strony od wejścia stała waga.

- Dzisiaj miałem ciężki dzień. Musiałem odrabiać lekcje na raty. Co zrobiłem trochę, przychodzili klienci. Ledwie się znowu zabrałem do zadań, przyjechał ten z drewnem. Dwa razy byłem na targu drzewnym, nóg nie czuję, a ręce jakby mi popuchły. - To mówiąc, zamiatał wielką miotłą kamienną posadzkę.

- A gdzie odrabiasz lekcje? - zapytałem.

- No, przecież nie tu! - rzekł ze śmiechem. - Chodź, zobacz!

I zaprowadził mnie do maleńkiego pomieszczenia, które było jednocześnie kuchnią i jadalną. W kącie stał stół, na którym leżały książki i zeszyty, jeden z rozpoczętym przed chwilą zadaniem.

- Patrz, tego zadania nie zdążyłem dokończyć... - i zaczął czytać: - Ze skóry robi się obuwie, rzemienie, teraz dodam jeszcze: torby, odzież.
- Chwycił pióro i zaczął pisać swoim pięknym, kształtnym pismem.

W tej chwili ze sklepu usłyszeliśmy wołanie:

- Hej, jest tam kto?

- Jestem! Już idę! - odrzyknął Coretti. Pobiegł, zważył drewno, wziął pieniądze, zapisał sprzedaż i wrócił, mówiąc:

- Zobaczymy, czy uda mi się dokończyć to zadanie. - I pisał dalej - ...meble, paski...

Wtem krzyknął: - Woda się gotuje! - i podbiegł do kuchenki, żeby odstawić czajnik.

- Na kawę dla mamy - powiedział. - Muszę się postarać, żeby była dobra. Zaczekaj chwilę, to ją zaniemiemy. Mama się bardzo ucieszy, jak cię zobaczy. Już cały tydzień leży w łóżku...Aj, do licha! Zawsze sobie poparzę palce tym czajnikiem. Co by tu jeszcze dodać do tych pasków? Chciałbym coś, ale już nie wiem co. Chodźmy do mamy.

Otworzył drzwi i weszliśmy do drugiego pokoiku; w dużym łóżku leżała mama Corettiego, z głową obwiązaną białą chusteczką.

- Mamo, przyniosłem kawę! - rzekł Coretti, podając filiżankę.
- A to jest mój kolega ze szkoły.

- Ach, co za miły chłopiec - powiedziała mama. - Przyszedłeś odwiedzić chorą?

Tymczasem Coretti poprawił matce poduszki, ułożył kołdrę, rozdmuchał ogień w kominku i przepędził kota z taboretu.

- Czy czegoś ci trzeba? - zapytał po chwili, odbierając pustą filiżankę. - Wzięłaś lekarstwo? Jakby brakowało, skoczę zaraz do apteki. Drewno złożone. O czwartej nastawię mięso na rosół, jak mi mówiłaś. Nie martw się, mamusiu. Wszystko będzie dobrze.

- Dziękuję ci, synku! - odrzekła. - Biedne, drogie chłopczyko moje! O wszystkim pamięta!

Poczęstowała mnie cukierkiem, a Coretti pokazał mi zdjęcie swojego ojca w mundurze, z medalem za waleczność. Ta sama twarz, co u syna, z tymi żywymi oczyma i tym samym wesołym uśmiechem.

Wróciliśmy do kuchni.

- Mam! - krzyknął Coretti. Pobiegł do stolika i dopisał w zeszycie: „...a także uprząż dla koni.” - Tak! - rzekł odkładając pióro. Resztę dokończę wieczorem. Może jeszcze coś dopiszę później. Szczęściarzu z ciebie, możesz uczyć się, kiedy chcesz i jeszcze masz czas iść na spacer!

I ciągle wesoły i energiczny, pobiegł do sklepu, żeby zabrać się do piłowania co większych polan.

- To moja gimnastyka! Prawie to samo, co „ręce naprzód!”, „ręce w tył!”. Chciałbym, żeby tata zastał już drewno pocięte, jak wróci. Byłby zadowolony. Problem tylko w tym, że jak piłuję drewno, to ręka mi się potem tak trzęsie, że moje t i moje l wyglądają jak małe wężyki. Nauczyciel pyta: - Coś ty chłopcze robił, że ci się tak ręka trzęsie? - Ja, nic, proszę pana! Ćwiczyłem szermierkę!... Co tam, wszystko głupstwo, byle mama była zdrowa! Dziś jej lepiej, dzięki Bogu! A gramatyki nauczę się jutro rano... O, przyjechał wóz z drewnkami! Do roboty!

Rzeczywiście przed sklepem zatrzymał się wóz naładowany cienkim drewnem do rozpałki. Coretti wybiegł pogadać z woźnicą i zaraz wrócił.

- Nie mogę dotrzymać ci towarzystwa - rzekł. - Do widzenia, do jutra! Fajnie, że mnie odwiedziłeś! Miłego spaceru, ty szczęściarzu!

Powiedział do mnie „szczęściarzu”... Ach, nie Coretti, nie! Ty, bracie, jesteś szczęśliwszy ode mnie, bo jesteś lepszy, sto razy lepszy ode mnie!

Nasz dyrektor

18, środa

Coretti bardzo się ucieszył, bo na comiesięczny egzamin przyszedł dziś jego nauczyciel z drugiej klasy, pan Caotti, olbrzym

z ogromną, kędzierzawą czupryną i czarną brodą, wielkimi, czarnymi oczyma i głosem donośnym jak armata. Straszy czasem chłopców, że ich rozerwie na strzępy, zaprowadzi do dyrektora i robi przy tym srogie miny, ale nikogo jeszcze nie skrzywdził, a poza tym uśmiecha się często pod wąsem, sam o tym nie wiedząc.

Razem z panem Caottim egzaminuje aż ośmiu nauczycieli, nie licząc praktykanta, który sam wygląda na ucznia. Jest wśród nich nauczyciel z czwartej klasy, kulawy i poowijany wełnianym szalikiem; ciągle go coś boli, a tych bólów nabawił się, kiedy pracował na wsi i mieszkał w strasznie zimnym i wilgotnym budynku szkoły. Drugi egzaminator z czwartej, który dawniej uczył niewidomych, jest stary i siwiuteńki.

Kolejny jest wyelegantowany, w okularach, z jasnymi baczkami. Nazywają go „adwokacikiem”, bo skończył prawo i dostał już dyplom, a poza tym napisał książkę „Jak pisać listy”. Egzaminuje też pan dyrektor, wysoki, łysy, w złotych okularach, z siwą brodą, ubrany zawsze na czarno i zawsze zapięty aż po ostatni guzik. Jest bardzo dobry dla uczniów: jeśli któryś coś zbroi i cały drżący musi pójść za karę do dyrektora, ten nigdy nie krzyczy, ale tłumaczy, dlaczego nie wolno tak postępować, że trzeba żałować złego postępuku i obiecać poprawę. A mówi tak łagodnie, takim dobrym głosem, że każdy wychodzi z oczami pełnymi łez, bardziej zawstydzony, niż gdyby został ukarany.

Dyrektor zawsze pierwszy przychodzi do szkoły, czeka na uczniów i rozmawia z rodzicami, a kiedy nauczyciele już dawno pójdą do domów, on jeszcze chodzi wokół szkoły, patrząc, czy jego uczniowie nie wałęsają się po ulicach, czy nie czepiają się wozów i tramwajów, czy nie łobuzują. Kiedy zza rogu ukaże się jego sylwetka, rozrabiaki prędko uciekają. Dyrektor pogrozi im czasem, patrząc smutno, ale przyjaźnie. Moja mama mówi, że nikt nie widział, żeby się śmiał od czasu, gdy umarł jego syn. Ma jego portret w swoim gabinecie i często na niego spogląda. Zaraz po tym strasznym wydarzeniu chciał odejść ze szkoły, napisał nawet prośbę o zwolnienie, ale odkładał to z dnia na dzień, bo żał mu było rozstawać się z ucz-

niami. W końcu zdecydował się zanieść do magistratu podanie o zwolnienie. Tego dnia przyszedł do szkoły jakiś pan, żeby zapisać swojego syna, bo przeprowadzili się do naszej dzielnicy. Ujrawszy chłopca, dyrektor aż się cofnął ze zdziwienia, patrzył to na niego, to na portret swojego syna, potem znów na chłopca. Nowy uczeń był niezwykle podobny do jego zmarłego syna. Dyrektor zapisał chłopca, a potem zamyślił się głęboko. W końcu wziął swoje podanie o dymisję, podarł je i rzekł: „Zostaję!”.

Obrońca Nello

23, środa

Nelli, który ma krzywe plecy, nosi zawsze długi, czarny fartuch z ceraty. Jego mama, niewysoka blondynka, ubrana na czarno, przychodzi codziennie po niego na koniec lekcji, żeby nie pchał się z innymi, zatrzymuje go i przytula. Z początku wielu chłopców naigrawało się z niego i trącało go w plecy tornistrami. A on znosił to cierpliwie i nic nie mówił swojej mamie, ponieważ martwiłaby się, że jest pośmiewiskiem kolegów. Więc oni mu dokuczali, a on milczał i płakał, oparłszy głowę o ławkę. Aż tu raz Garrone jak nie skoczy, jak nie krzyknie: „Pierwszemu, który dokuczy Nellemu, tak dam w łeb, że trzy kozły wywinie w powietrzu!”. Zrobiło się cicho, tylko Franti nie zważał na pogrożki. Garrone nie rzucał słów na wiatr: zdzielił go tak, że wywinął w powietrzu i od tej pory omijał Nello z daleka. Nauczyciel posadził Nello w ławce z Garronem, a ten opiekował się nim serdecznie. Pomagał pakować książki i zeszyty, włożyć płaszcz. Nelli uwielbiał Garronego (zresztą nie tylko on). W końcu opowiedział swojej mamie o tym dokuczaniu i o tym, że teraz ma przyjaciela i obrońcę. Pewnego dnia nauczyciel wysłał mnie do dyrektora z planem lekcji. Właśnie byłem w jego gabinecie, kiedy weszła mama Nello i poprosiła dyrektora, żeby zawezwał do siebie Garronego. Gdy woźny go przyprowadził, Garrone miał dość głupią minę, bo zupełnie nie wiedział, dlaczego dyrektor chce go widzieć w środku lekcji.

Mama Nellego podeszła do niego, zdjęła ze swojej szyi łańcuszek z krzyżykiem i włożywszy go na szyję Garronego, powiedziała:

- Weź go i noś na pamiątkę ode mnie, drogi chłopcze. Na pamiątkę od matki Nellego, która ci dziękuje za opiekę i przyjaźń, jaką obdarzyłeś jej syna...

Prymus naszej klasy

25, piątek

Garrone zdobył sobie przywiązanie, Derossi zaś uwielbienie wszystkich. Dostał już medal za naukę i ciągle jest prymusem, także w tym roku. Nikt nie może rywalizować z nim o pierwszeństwo, wszyscy przyznają mu wyższość we wszystkich przedmiotach. Jest najlepszy z matematyki, gramatyki, w ćwiczeniach, rysunkach, w lot wszystko pojmuje, ma zadziwiającą pamięć, wszystko mu się udaje bez żadnego trudu, a nauka jest dla niego zabawą. Derossi jest przy tym przystojny: wysoki, smukły, z blond czupryną, tak zręczny, że przeskakuje ławkę, opierając się o nią tylko jedną ręką. Ma dwanaście lat, jest synem przemysłowca, nosi niebieską bluzę ze złotymi guzikami, zawsze jest wesoły, uprzejmy dla wszystkich, na egzaminach pomaga jak może i nikt nigdy nie ośmielił się być wobec niego niegrzeczny lub odezwać się do niego wulgarnie.

Wczoraj nauczyciel powiedział mu:

- Wielkie dary otrzymałeś od Boga, zatem staraj się, abyś ich nie zmarnował.

Tylko Nobis i Franti patrzą na niego krzywo, a Vatini nie może ukryć zazdrości. Ale Derossi nic sobie z tego nie robi. Daje kolegom ciekawe artykuły, zdjęcia, wszystko, co sam dostaje w domu. Kalabryjczykowi zrobił świetną mapkę Kalabrii. Rozdaje, co ma, szczerze i nie wyróżniając nikogo. Nie sposób nie zazdrościć mu i nie czuć się gorszym od niego. I ja mu, tak samo jak Vatini, zazdroszczę, a nawet czuję jakąś niechęć do niego, kiedy ślęczę nad lekcjami w domu i myślę, że on już to wszystko odrobił świetnie

i bez żadnego trudu. Ale gdy przychodzę do szkoły i widzę go: jaki ma sympatyczny wygląd, jaki jest wesoły, jak pewnie odpowiada na pytania nauczycieli, jak jest dla wszystkich uprzejmy, jak odzywa się z szacunkiem, jak go wszyscy lubią, wtedy ta cała niechęć i gorycz znikają, i jest mi głupio, że ją odczuwałem. Jego radość życia i optymizm sprawiają, że chce się żyć, uczyć, pracować. Nauczyciel dał mu do przepisania opowiadanie, które będziemy czytać „Mała wideta lombardzka”. Przepisał je dziś rano i bardzo był nim wzruszony. Patrzyłem na niego i widziałem, jaki jest wrażliwy i dobry. Gdybym miał dość odwagi, powiedziałbym mu:

- Derossi, szanuję cię i podziwiam.

Mała wideta lombardzka

26, sobota

Opowiadanie miesięczne

W 1859 roku, podczas wojny o oswobodzenie Lombardii, wkrótce po bitwie pod Solferino i San Martino, w której Francuzi i Włosi zwyciężyli Austriaków, w piękny poranek czerwcowy, mały oddział konnicy z Saluzzo jechał stępą samotną ścieżyną w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, bacznie rozglądając się po okolicy. Oddział prowadzili oficer i wachmistrz, a wszyscy jeźdźcy patrzyli daleko przed siebie wyteżonym wzrokiem w zupełnym milczeniu, spodziewając się lada chwila ujrzeć poprzez zarośla bielejące mundury austriackie. Tak przybyli do małego wiejskiego domku otoczonego wierzbnami, przed którym stał dwunastoletni może chłopiec, strugając nożem gałązkę, z której widocznie chciał sobie zrobić gładki kij. Z otwartego okna domku powiewał szeroki trójkolorowy sztandar, ale wewnątrz nie było nikogo. Zapewne mieszkańcy, wywiesiwszy sztandar, uciekli w obawie przed Austriakami. Ujrzawszy kawalerzystów, chłopiec odrzucił gałąź i zdjął czapkę. Był to ładny chłopak, o opalonej twarzy, niebieskich oczach, z jasnymi, długimi włosami.

- Co ty tu robisz? - zapytał oficer, zatrzymując konia. - Dlaczego nie uciekłeś z rodzicami?

- Ja nie mam rodziców - odrzekł chłopak. - Jestem sierotą, co mi kto każe, to robię, a zostałem tutaj, żeby zobaczyć prawdziwą wojnę.

- A nie widziałeś tu Austriaków?

- Nie, od trzech dni nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, zeskoczył z konia, wszedł do domku, a stamtąd wdrapał się na dach. Ale dom był niski. Z dachu widać było tylko kawałek najbliższej okolicy. Oficer znów myślał chwilę, patrząc to na otaczające domek drzewa, to na swoich żołnierzy, po czym nagle zapytał chłopca:

- Słuchaj no! Masz dobre oczy?

- Ja? - odrzekł chłopak. - Ja na sto metrów wróbla dojrzę.

- A potrafiłbyś wdrapać się na czubek drzewa?

- Na czubek drzewa? Ja?... Za pół minuty wlezę!

- A umiałbyś mi powiedzieć, co stamtąd widać? O, tam! Chmury, kurzawy, bagnety, konie?...

- A dlaczego miałbym nie umieć?

- A co chcesz za tę przysługę?

- Co ja chcę? - powtórzył chłopiec i uśmiechnął się. - Nic nie chcę! Co mam chcieć? Zresztą, dla Szwabów, to bym za żadne skarby tego nie zrobił. Ale dla naszych! Przecież ja jestem Lombardczyk.

- Dobrze! Właż prędko!

- Zaraz, tylko zdejmę buty...

Zdjął buty, ścisnął pasek od spodni, rzucił czapkę w trawę i objął pień wierzby.

- Uważaj! - krzyknął oficer, chcąc go powstrzymać, jak gdyby nagle czegoś się przestraszył.

Chłopiec odwrócił się i spojrzał pytająco swoimi pięknymi, niebieskimi oczyma.

- Nic, już nic - rzekł oficer. - Właż dalej.

Chłopak wdrapał się jak kot na drzewo.

- Patrzeć przed siebie! - krzyknął oficer do swoich żołnierzy.

W parę minut był już chłopak na samym wierzchołku. Ucze-
pił się czuba pośród gęstwiny liści, a słońce tak opromieniło jego
jasne włosy, że wyglądały jak ze złota. Oficer ledwie mógł go do-
strzec, tak się wydawał z dołu maleńki.

- Prosto przed siebie patrz i daleko, jak tylko możesz najdalej!
- krzyknął do niego.

Chłopak dosłyszał i żeby lepiej widzieć, osłonił ręką oczy od
słońca.

- Co tam widzisz? - zapytał oficer.

Chłopak pochylił się do niego, zrobił tubę z dłoni i zawołał:

- Widzę dwóch jeźdźców na drodze!

- Daleko?

- Jakies pół mili.

- Ruszają się?

- Nie, stoją.

- I co widzisz jeszcze? - zapytał oficer po chwili milczenia.

- Patrz teraz w prawo.

Chłopiec odwrócił się w prawo i zawołał:

- Niedaleko cmentarz, pomiędzy drzewami coś błyszczy... Coś
jakby bagnety...

- A ludzi widzisz?

- Nie. Pewnie się w zbożu skryli.

Wtem dał się słyszeć świst kuli, który przeszył powietrze.

- Złaź, chłopcze! - krzyknął oficer. - Dostrzegli cię! Nie chcę
już nic więcej! Złaź zaraz!

- Kiedy ja się nie boję!

- Złaź - powtórzył oficer. - A co widzisz na lewo?

- Na lewo?

- Tak, na lewo.

Chłopiec odwrócił głowę w lewą stronę, w tejże chwili drugi świst
- ostrzejszy i niżej, przeszył powietrze. Chłopak wstrząsnął się cały.

- Do diabła! - zawołał. - Mierzą we mnie jak w drozda... Kulka
przeleciała tuż, tuż.

- Złaź! - krzyknął rozkazująco zirytowany oficer.

- Zaraz zleżę! - orzekł chłopiec. - Tylko o gałąź się zahaczyłem, proszę pana. Na lewo, chciał pan wiedzieć?

- Na lewo, ale złaź! - krzyknął oficer.

- Na lewo - zawołał chłopiec, odwracając się w tę stronę - tam gdzie kaplica, zdaje mi się, że widzę...

Trzeci świst wściekle zatargał powietrzem i nagle chłopak zaczął lecieć w dół, chwytając się gałęzi, aż spadł głową na dół i z otwartymi ramionami.

- Do diabła! - krzyknął oficer i skoczył ku niemu.

Chłopiec leżał na wznak, z szeroko odrzuconymi rękami, nieprzytomny. Krew cienkim pasemkiem sączyła się po lewej stronie piersi. Wachmistrz i dwaj żołnierze skoczyli natychmiast z koni. Oficer schylił się, rozerwał chłopcu koszulę - kula karabinowa przeszła mu lewe płuco.

- Nie żyje! - krzyknął oficer.

- Owszem, żyje! - odrzekł stary wachmistrz.

- Biedny, dzielny chłopak! - wołał oficer. - Trzymaj się, nie poddawaj się!

Ale kiedy tak mówił „trzymaj się” i przyciskał mu ranę, by zatamować krew, chłopiec przymknął oczy i opuścił głowę. Umarł. Oficer zbladł, popatrzył na niego i położył delikatnie na trawie. Wachmistrz i dwaj żołnierze także patrzyli na chłopca, inni zaś zwróceni byli w stronę nieprzyjaciela.

- Biedny chłopiec! Biedne, dzielne dziecko! - powtarzał oficer smutnie.

Po czym zbliżył się do domu, wziął z okna trójkolorową chorągiew i okrył nią, jak całunem, małego bohatera, zostawiając tylko nieosłoniętą twarz.

Wachmistrz położył przy zmarłym jego buty, czapkę, kijek na wpół ostrugany i nożyk.

Stali tak jeszcze nad nim przez chwilę w milczeniu, po czym oficer rzekł:

- Przyślemy po niego ambulans wojskowy. Zginał jak żołnierz. Pochowają go żołnierze. Będzie miał pogrzeb wojskowy!

To powiedziawszy, zasalutował zmarłemu chłopcu i krzyknął:
– Na koń!

Wszyscy skoczyli na siodła, oddział połączył się i ruszył drogą. A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe.

O zachodzie słońca posunęły się przednie straże włoskie szeroko rozwiniętym frontem ku nieprzyjacielowi, a na drodze, którą przejeżdżał z rana oddział kawalerii, posuwał się dwoma szeregami wielki batalion bersalierów, którzy kilka dni wcześniej mężnie zdobyli Wzgórze Świętego Marcina. Wiadomość o śmierci chłopca doszła już do tych walecznych żołnierzy, zanim opuścili obóz. Ścieżyna biegnąca wzdłuż strumienia była tylko o kilka kroków oddalona od małego domku. Kiedy więc pierwsi oficerowie zobaczyli ciało chłopca przykryte trójkolorowym sztandarem, oddali mu honory szpadami; jeden zaś zerwał kilka kwiatów nad strumieniem i położył na piersi chłopca. I zaraz inni bersalierzy poszli jego przykładem. Wkrótce ciało było zupełnie pokryte kwiatami, a żołnierze, przechodząc, mówili:

– Brawo, mały Lombardczyku!

– Żegnaj, chłopcze!

– Żegnaj, mały żołnierzu!

Wtem jeden z oficerów odpiął od munduru medal zasługi i rzucił go na całun okrywający chłopca. A on, jak gdyby spał w trawie, otulony w sztandar, z białą twarzą, cichy, lekko uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł pośmiertną sławę i jak gdyby był rad, że oddał za swoją Lombardię życie.

Ubodzy

29, wtorek

Oddać życie za ojczyznę, jak mały Lombardczyk, wielka to zasługa; ale nie gardź i małymi zasługami, synu. Dziś rano, idąc przede mną, kiedy wracaliśmy ze szkoły, przeszedłeś koło biednej kobiety trzymającej na kolanach blade, mizerne dziecko, która

prosiła cię o wsparcie. Spojrzałeś na nią i nie dałeś jej nic, choć miałeś w kieszeni pieniądze.

Posłuchaj, synku! Nie przyzwyczajaj się przechodzić obojętnie koło ubóstwa, nie mijaj obojętnie ludzi, którzy proszą cię o pomoc, szczególnie jeśli jest to matka zebrząca o grosze dla swojego dziecka. Pomyśl: może to maleństwo było głodne, pomyśl o trosce tej biednej kobiety.

Pomyśl, jak by cierpiała twoja matka, gdyby musiała ci powiedzieć: Henryku, nie mam dziś nic dla ciebie, nawet kawałek chleba... Pomyśl tylko!

Kiedy dam grosz potrzebującemu, a on powie: „Niech Bóg da zdrowie pani i jej dzieciom!” – nie uwierzysz, jaką słodycz czuję w sercu po tych słowach i jaką czuję wdzięczność dla tego biedaka. Zdaje mi się, że naprawdę to życzenie zachowa mi zdrowie na długo i myślę: Ach, ten biedak dał mi daleko więcej niż ja jemu. Czyń więc, moje dziecko, tak, bym czuła czasem, że ty sam wywołujesz i sprowadzasz na mnie taką dobrą wróżbę. Daj parę groszy staruszkowi bez opieki, matce proszącej dla dzieci, ubogiemu dziecku...

Ubodzy cieszą się bardzo z jałmużny dzieci, bo ona ich nie upokarza, a i dlatego, że dzieci są podobne do nich – też nie mają niczego własnego. Widzisz sam, jak wielu ubogich staje przed twoją szkołą. Jałmużna dorosłych jest wyrazem litości, a jałmużna dziecka wyrazem szczególnego współczucia. Rozumiesz mnie? To tak, jakby dziecko dawało zarazem i grosz, i kwiat. Pamiętaj, ty masz wszystko, czego potrzebujesz, a im wszystkiego brakuje. Ty pragniesz szczęścia, a oni tylko tego, by nie umrzeć z głodu.

Pomyśl tylko, jaka to zgroza, że na świecie wśród tylu bogactw są ludzie, którzy nie mają co jeść. Tacy sami chłopcy jak ty...

Nigdy już nie przejdź, Henryku, obok proszącej o wsparcie matki, nie dając jej kilku drobnych do ręki.

Twoja matka

Grudzień

Handlarz

1, czwartek

Mój tata chce, żebym każdego wolnego dnia zapraszał do nas któregoś z kolegów, albo któregoś odwiedzał, żeby się z nimi bliżej poznać. W niedzielę na przykład idę na spacer z Vatinim, tym wymuskany elegantem, który zawsze zazdrości Derossiemu. A dziś przyszedł do nas do domu Garoffi, ten długi i chudy, co ma jastrzębi nos i małe, świdrujące oczka.

Garoffi ma zwyczaj ciągle przeliczać pieniądze, które nosi w kieszeni. Umie też nadzwyczaj szybko liczyć na palcach, dodawać, odejmować i mnożyć w pamięci. Jest synem kupca i dość oryginalnym typem, jak mówi mój tata. Zbiera grosz do grosza i ma już własną książeczkę oszczędnościową w naszej szkolnej kasie. Jest skąpy, nigdy na nic nie wyda grosza, a jak mu grosik spadnie pod ławkę, to będzie go szukał tygodniami, póki nie znajdzie. A poza tym zachowuje się jak sroka – wszystko, co znajdzie, nawet stare i zużyte, chowa: skasowane bilety, szpilki, połamane ołówki. Od dwóch lat zbiera znaczki i ma ich już ze sto z różnych krajów, w takim dużym albumie, który ma zamiar, jak go już zapełni, sprzedać księgarzowi. A tymczasem dostaje od tego księgarza za darmo zeszyty, bo przyprowadza do jego sklepu chłopców, żeby tam kupowali.

W szkole Garoffi codziennie handluje, urządza zamiany, loterie, wyprzedaje, a potem żałuje, że się zamienił, i chce z powrotem odbierać to, co było jego. Co kupi taniej, sprzedaje drożej. Gra w guziki, pchełki, zakłady – i nigdy nie przegrywa. Sprzedaje stare gazety sklepikarzowi, ma specjalny zeszyt, w którym zapisuje wszystkie swoje interesy, na każdej stronie pełno dodawania i odejmowania.

W szkole naprawdę lubi tylko matkę, a jeżeli marzy, by dostać medal za naukę, to nie dla satysfakcji, ale dlatego, żeby dostać darmowy bilet do teatru lalek. Lubię go nawet, bo śmieszy mnie jego zapobiegliwość. Kiedy przyszedł do mnie, bawiliśmy się w targ. Dostaliśmy ze spiżarni odważniki i wagę. Nie mogłem się nadziwić, że on zna ceny wszystkiego, wie, za ile sprzedać, zna się na wadze, potrafi zręcznie zapakować towar. Zupełnie jak prawdziwy sprzedawca. Mówi, że jak skończy szkołę, to zaraz założy sklep z czymś zupełnie nowym, co sam wymyśli.

Garoffi był bardzo zadowolony, bo mu dałem kilka zagranicznych znaczków i od razu mi powiedział, ile za który płacą kolekcjonerzy. Kiedy się bawiliśmy, mój tata udawał, że czyta gazetę, ale tak naprawdę przysłuchiwał się naszej rozmowie i uśmiechał się pod wąsem. Garoffi zawsze ma pełne kieszenie różności, a żeby nie było widać, jak są wypchane, zasłania je długim płaszczem. Zawsze jest roztargniony i zaaferowany, zupełnie jak kupiec. Ale najbardziej zależy mu na znaczkach. Ten zbiór to jego skarb i ciągle o nim mówi, jakby miał na nim zbić majątek. Koledzy nazywają go sknerą i lichwiarzem. Sam nie wiem, czy zasługuje na takie obelgi. Dużo się przy nim uczę i czasem wydaje mi się, że on rozumuje jak dorosły mężczyzna odpowiedzialny za utrzymanie rodziny. Coretti, którego tata sprzedaje opał, mówi, że ten sknera nie oddałby swoich znaczków nawet dla ratowania życia matki. Ale mój tata w to nie wierzy.

- Wstrzymaj się jeszcze z sądem o Garoffim - powiedział. - To prawda, że ma niezbyt piękną pasję, ale jest dobry.

Próżność

5, poniedziałek

Wczoraj byłem na spacerze w alejach Rivoli z Vatinim i jego ojcem. Przechodząc przez ulicę Wielkoziłą, zobaczyliśmy Stardiego, tego, co zawsze wali w żebra, gdy ktoś mu przeszkadza na lek-

cjach. Stał jak słup przed oknem księgarni, z oczami wlepionymi w mapę, bo on się uczy nawet na ulicy. Ledwo się nam odkłonił, taki z niego gbur.

Vatini był jak zwykle fajnie ubrany, ale chyba nawet za bardzo strojnie. Miał eleganckie buty, kurtkę z jedwabnymi wyłogami, białą czapkę i zegarek. Wszystko bardzo modne. A jak się pysznił! Ale tym razem jego próżność nie wyszła mu na dobre.

Przebiegliśmy kawał alei i zostawiliśmy daleko za sobą jego tatę. Wreszcie zatrzymaliśmy się przy kamiennej ławce, na której siedział z pochyloną głową skromnie ubrany chłopiec. Obok ławki chodził nerwowo tam i z powrotem jakiś pan – pewnie jego ojciec – i czytał gazetę. Vatini usiadł między mną i chłopcem, a ponieważ przypomniał sobie, że jest nadzwyczajnie ubrany, chciał koniecznie, żeby tamten chłopak go podziwiał.

Podniósł więc nogę i zwrócił się niby do mnie:

– Ty, widziałeś moje buty?

Ale tamten chłopak nawet nie spojrzał. Vatini spuścił więc nogę i patrząc spod oka na chłopca, powiedział do mnie niedbale, że jakoś nie podobają mu się lamówki przy tej nowej kurtce. Terefere, bo lamówki były ekstra! Ale chłopiec i tym razem nie spojrzał. Taki brak uwagi i podziwu zaczął już złościć Vatiniego, podniósł więc rękaw, żeby pokazać zegarek.

– Czy jest pozłacany? – zapytałem.

– Nie – odrzekł z dumą – jest złoty.

– Ale przecież zegarek nie może być cały ze złota – powiedziałem. – Musi mieć też jakieś części ze srebra albo z aluminium.

– A właśnie że nie! – odpowiedział. I żeby zmusić chłopca do patrzenia, podsunął mu zegarek pod nos i zapytał:

– Powiedz sam, popatrz. Prawda, że jest cały złoty?

A chłopiec odpowiedział krótko:

– Nie wiem...

– Ho, ho, jaki zarozumiały! – zawołał Vatini.

Kiedy to mówił, podszedł do nas jego tata, popatrzył chwilę na chłopca, a potem ostrym tonem szepnęła Vatinemu do ucha:

- Milcz! On jest niewidomy...

Vatini skoczył na równe nogi z przestraczem i spojrzał chłopcu w twarz: jego oczy były szklane, bez wyrazu, bez spojrzenia...

Zawstydził się okropnie i stał bez słowa, gapiąc się w ziemię, po czym wyjąkał:

- Przepraszam... Nie wiedziałem...

A niewidomy chłopiec, który wszystko zrozumiał, rzekł ze smutnym, ale miłym uśmiechem:

- Och, nic nie szkodzi!

Więc tak: Vatini jest próżny, ale nie jest złym człowiekiem. Nie chciał umyślnie sprawić chłopcu przykrości. Przez całą drogę powrotną był tak przybity, że ani razu się nie roześmiał.

Pierwszy śnieg

10, sobota

Jakie fajne są teraz spacerunki na Rivoli! Zawitał do nas dobry przyjaciel wszystkich dzieci! Spadł pierwszy śnieg!

Już od wczorajszego wieczora padał miękkimi płatkami. Miło było patrzeć dziś rano przez okno w szkole, jak zasypał białym puchem szyby i futryny okien, nawet nauczyciel patrzył i zacierał ręce, a my wszyscy już nie mogliśmy się doczekać, kiedy zaczniemy robić kule i bałwany ze śniegu, i ślizgać się na ślizgawce.

Tylko Stardi nie interesował się zimowymi atrakcjami: siedział z nosem w książce i podpierał głowę obiema pięściami.

A jak pięknie było na zewnątrz! Jaka zabawa!

Wszyscy pędzili przez ulicę, krzycząc, nabierając pełne garście śniegu, lepiąc kule i rzucając się w zasy. Rodzice, którzy czekali przed szkołą, mieli białe parasole, a straż miejska białe czapki. Po chwili i nasze plecaki były białe. Wszyscy powariowali z radości. Nawet Precossi, syn kowala, ten blady, który się nigdy nie śmieje, też się rozochocił, nawet Robetti, który wyciągnął dziecko spod tramwaju i miał złamaną nogę, skakał na swoich kulach.

W Kalabrii nie ma śniegu, bo klimat jest zbyt ciepły, więc Kalabryjczyk nigdy go nie widział. Zaczął więc go jeść, jak jakiś owoc albo krem.

Crossi naładował sobie śniegu do plecaka, a syn murarza napchał sobie buzię śniegiem i kiedy mój tata zapraszał go do nas na jutro, stał z pełną gębą, bo nie śmiał go wypluć, a połknąć nie mógł. Stał i dusił się, nie mogąc wymówić ani słowa. Pękaliśmy ze śmiechu.

Moja nauczycielka z pierwszej klasy wybiegła ze szkoły z twarzą zakrytą szalikiem, mocno kaszląc. A potem wyleciało jak z procy ze sto dziewczynek, piszcząc i kulając się po białym dywanie. Nauczyciele i woźni wołali: „Do domu! Do domu!”.

Widziałem jednak dobrze, że sami schylają się po biały puch, robią śnieżki i nieśmiało rzucają za siebie, żeby broń Boże uczniowie nie widzieli, i że sami się śmieją z tych awantur, które urządzałyśmy, witając zimę.

*

Witacie zimę... Ale przecież są dzieci, które nie mają ani kurtek, ani ciepłych butów, ani wystarczającego ogrzewania w domach. Są tysiące takich, które w mróz i śnieżycę idą kilka kilometrów do szkoły poboczem niebezpiecznej drogi, przed świtem lub po zmroku, szcękając zębami z zimna i z przerażeniem patrzą na białe płatki śniegu, który sypie bez końca... Witajcie zimę, ale pamiętajcie o tym, że dla wielu dzieci nie jest ona taka radosna...

Twój ojciec

Syn murarza

11, poniedziałek

Dzisiaj przyszedł do nas mój kolega z klasy, syn murarza zwany Mularczykiem – w śmiesznym ubraniu przerobionym chyba z ro-

boczego ubrania jego ojca, bo białym jeszcze od gipsu i wapna. Tych odwiedzin chciał bardziej chyba mój tata niż ja, i bardzo się z nich ucieszył. Gdy chłopiec wszedł do naszego domu, zdjął czapkę mokrą od śniegu i włożył ją sobie do kieszeni, a potem przeszedł przez pokój ociężałym krokiem, jak spracowany robotnik, rozglądając się dookoła. Na ścianie wisi u nas portret Rigoletta, garbatego błazna, i kiedy zobaczył ten obraz, zrobił swoją najlepszą minę – zajęczy pyszczek – tak śmieszną, że nie można wytrzymać ze śmiechu. Bawiliśmy się drewnianymi klockami, a on świetnie budował konstrukcje mostów i bram. Opowiadał mi o swojej rodzinie: mieszkają na poddaszu, a jego tata chodzi do szkoły wieczorowej dla dorosłych, jest wysoki jak olbrzym i musi schylać się, przechodząc przez drzwi. Rodzice kochają go bardzo – tata woła na niego „zajączy pyszczek”, mama zawsze dba, by był ciepło ubrany, żeby się nie zaziębił.

O czwartej zjedliśmy podwieczorek – chleb z powidłami. Siedzieliśmy na kanapie, a kiedy wstaliśmy, okazało się, że mój kolega zrobił na niej białą plamę – pewnie od wapna na spodniach. Chciałem to wyczyścić, ale tata powstrzymał mnie ręką, a kiedy wyszliśmy z pokoju, zrobił to pewnie sam, bo wieczorem już plamy nie było. Podczas zabawy oderwał mu się guzik, a moja mama zaraz go przyszyła. Potem oglądaliśmy album z karykaturami, a on naśladował wszystkie miny tak śmiesznie, że nawet mój tata się zaśmiewał. Spędziliśmy fajne popołudnie, a Mularczyk był taki zadowolony, że nawet zapomniał wyjąć z kieszeni czapkę. Kiedy był już na ulicy, odwrócił się jeszcze do naszego okna i zrobił mi na pożegnanie zajęczy pyszczek. Aha, zapomniałem powiedzieć – on się nazywa Antoś Rabucco, ma osiem lat i osiem miesięcy.

*

Czy wiesz, synu, dlaczego nie chciałem, żebyś czyścił kanapę? Bo gdybyś ją czyścił przy Antosiu, wyglądałoby to na wyrzut, że ją zabrudził. A nigdy nie wolno nikogo, przez szacunek dla niego,

*wprawiać w zakłopotanie. Przecież nie zabrudził kanapy nau-
myslnie. Poza tym zabrudził ją ubraniem po swoim tacie, który
te plamy z wapna przyniósł do domu po ciężkiej pracy. A to, co
pozostaje na ubraniu po uczciwej, ciężkiej pracy, nie jest brudem.
Jest kurzem, smarem, wapnem, farbą, wszystkim, co chcesz, ale nie
brudem. Praca – nie brudzi. Nie mów nigdy o robotniku wracają-
cym z pracy: „Jest brudny”, ale: „Ma na odzieży ślady swojej pracy”.
Brudzi to, co jest złe, nieuczciwe, niemoralne. Ten brud jednak nie
zostawia śladów na ubraniu i rękach, ale na sumieniu i w sercu.*

Twój ojciec

Śnieżna kula

16, piątek

A śnieg pada i pada.

Zdarzył się wypadek z tym śniegiem, dziś rano przy wejściu do szkoły. Gromada chłopców zaczęła się obrzucać śnieżkami, a ponieważ śnieg już topniał, kule były ciężkie i twarde jak kamienie.

Na ulicy był tłok. Jakiś pan krzyknął: „Z drogi, chłopaki!” i w tej samej chwili usłyszeliśmy przenikliwy krzyk po drugiej stronie i zobaczyliśmy chwiejącego się staruszka, któremu spadł kapelusz z głowy i który zakrywał sobie twarz rękami. Jakiś chłopczyk krzyczał przy nim: „Ratunku! Ratunku!”. Zlecieli się ludzie ze wszystkich stron, patrzą, a staruszka kula trafiła prosto w oko. Chłopcy rozbiegli się jak wiatr.

Stałem przed drzwiami księgarni, do której wszedł mój tata, i nagle ni stąd, ni zowąd przybiegło tam kilku moich kolegów, udając, że patrzą na wystawę książek. Był wśród nich Garrone ze swoją pajdą chleba, Corretti, Antoś i Garoffi, ten od znaczków pocztowych. Tymczasem wokół staruszka zebrał się tłum, a strażnik miejski i kilkoro innych ludzi biegali wśród tłumu i rozpytywali: „Kto to zrobił? Który z was? Czy to ty rzuciłeś?” – i oglądali chłopcom ręce mokre od śniegu.

Wśród tej wrzawy, krzyku i nawoływań usłyszałem, jak Garrone powiedział cicho do Garoffiego:

- Idź, przyznaj się. Byłoby podle pozwolić, żeby zatrzymali kogoś innego.

- Ale ja nienaumyślnie... - odszepnął Garoffi, drżąc jak liść na wietrze.

- To nieważne. Zrób, co powinienesz...

- Ale ja się boję!

- Nie bój się! Pójdę z tobą.

Tymczasem strażnicy krzyczeli coraz głośniej:

- Kto rzucił? Który? Okulary mu do oka wbili! Oslepili go! Zbóje! Myślałem, że Garoffi zapadnie się pod ziemię.

- Chodź! - rzekł do niego zdecydowany na wszystko Garrone.
- Będę cię bronił!

Chwycił jego ramię i popchnął naprzód, podtrzymując, jak chorego, własnym ramieniem.

Ludzie dostrzegli ich i kilku podbiegło z podniesionymi pięściami. Garrone wystąpił nieco naprzód i zapytał głośno:

- Co to? W dziesięciu na jednego chłopca?

Zapalczywi gapie odsunęli się i przepuścili strażnika, który wziął za rękę Garoffiego i zaprowadził do sklepu z makaronem, gdzie opatrywano rannego. Poszedłem za nimi. Ranny staruszek był naszym sąsiadem z czwartego piętra. Mieszkał z żoną i małym siostrzeńcem.

- Ja nie chciałem! - zawołał Garoffi na wpół umarły ze strachu.
- Ja nienaumyślnie!

Dwóch ludzi popychało go gwałtownie, krzycząc:

- Przepraszaj! Proś o przebaczenie!

I rzucili Garoffiego na podłogę. W tej samej chwili ktoś podniósł go i powiedział dobitnie:

- Nie, panowie!

Był to nasz dyrektor, który wszystko widział.

- Kiedy miał odwagę przyznać się - mówił dalej - nikt nie ma prawa nim poniewierać!

Wszyscy stanęli bez słowa.

- Przepróś tego pana - rzekł dyrektor do Garoffiego, który wybuchnął płaczem i upadł przed staruszką na kolana. A ten, z płaszczem nad brwią, z twarzą jeszcze trochę pokrwawioną, zmęczony całym zajściem, wyciągnął rękę i pogłaskał go po włosach. Wtedy odezwały się wzruszone głosy:

- Idź, chłopcze, do domu! Idź!

Kiedy wracaliśmy do domu, mój tata powiedział:

- Henryku, czy ty, w podobnym wypadku, zdobyłbyś się na odwagę i przyznałbyś się do winy?

- Tak - odpowiedziałem.

- Daj mi słowo, że nigdy nie zabraknie ci odwagi, by przyznać się do złego uczynku.

- Daję ci słowo, tatusiu.

Nauczycielki

17, sobota

Garoffi okropnie się bał, że dostanie burę od naszego pana, a tymczasem pana dziś nie było, a na zastępstwo przyszła pani Cromi, najstarsza z nauczycielek w naszej szkole. Uczyła jeszcze rodziców niektórych moich kolegów. Była smutna, bo jeden z jej synów, już dorosły, jest ciężko chory. Gdy tylko weszła, chłopcy zaczęli rozrabiać i hałasować, a ona powiedziała cicho i spokojnie:

- Szanujcie mój wiek. Nie tylko jestem nauczycielką, ale i matką, która, tak jak wasze mamy o was, martwi się o swoje własne, choć już dorosłe, dziecko.

Żaden już nie pisnął, nawet Franti, choć on lubi psocić cichaczem.

Kiedy pani Cromi była z nami, w jej klasie uczyła pani Delcati, a w klasie pani Delcati - ta nauczycielka, którą nazywają „zakonnica”, bo zawsze jest ciemno ubrana, a głos ma tak cichy, jakby szeptała pacierze. Moja mama mówi, że to niepojęte, jak ona umie utrzymać porządek w klasie, choć nigdy nie krzyczy i nie złości się. Nawet naj-

większe urwisy pochylają głowy, gdy tylko pogrozi im palcem, a w jej klasie jest zawsze cicho jak w kościele. To pewnie i dlatego mówią na nią „zakonnica”. Ale ja najbardziej lubię nauczycielkę z zerówki, bo jest młoda, ładna i wesoła. Zajmuje się maluchami jak mama: ubiera, zapina, daje syropy, kiedy któryś kaszle, ale też biega z nimi na przerwach i bawi się jak mała dziewczynka. Maluchy ciągle są przy niej, nie ma chwili spokoju. Uczy jeszcze rysunków starsze dziewczynki – musi tyle pracować, bo utrzymuje swoją mamę i brata.

W domu zranionego

18, niedziela

Ta nauczycielka uczy właśnie siostrzeńca naszego sąsiada, tego, którego Garoffi zranił śniegową kulą.

Akurat skończyłem opowiadanie miesięczne na przyszły tydzień, „Mały pisarczyk z Florencji”, które nasz pan dał mi do przepisania, kiedy tata powiedział:

– Pójdziemy na górę, na czwarte piętro, zobaczyć, co się dzieje z okiem tego pana.

Poszliśmy. W pokoju było prawie zupełnie ciemno, na łóżku leżał, a właściwie siedział podparty poduszkami nasz sąsiad, przy nim jego żona, a mały siostrzeniec bawił się w kącie pokoju. Starszy pan miał opaskę na oku. Był bardzo zadowolony z naszej wizyty, opowiedział, że jeszcze razi go światło, ale za kilka dni zupełnie wydobrzeje.

– To był tylko wypadek. – powiedział. – Bardzo mi żal, że ten biedny chłopiec tak się przeraził.

Starszy pan czekał właśnie na doktora, który miał mu zmienić opatrunek.

Zadzwęczał dzwonek i żona poszła otworzyć, mówiąc:

– Doktor przyszedł.

Wtem otwierają się drzwi i... kogo widzę? Garoffiego ze spuszczoną głową, który stoi w progu i nie śmie wejść.

– Kto to? – zapytał starszy pan.

- To właśnie ten chłopiec, który rzucił śnieżką... - powiedział mój tata.

A starszy pan na to:

- Chodź, chłopcze, chodź. Przyszedłeś się dowiedzieć o moje zdrowie, tak? Już mi lepiej, prawie zupełnie dobrze. Bądź spokojny. Podejdź tu do mnie.

Ale Garoffi był tak zmieszany, że ledwie trafił do łóżka. Zbliżył się wreszcie, powstrzymując płacz, a kiedy starszy pan pogłaskał go po głowie, nie mógł wymówić ani słowa.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Powiedz też swoim rodzicom, że wszystko już dobrze i niech się nie martwią.

Ale Garoffi nie ruszył się z miejsca. Wydawało mi się, że chce coś powiedzieć, ale nie śmie. Starszy pan też to zauważył.

- Czy chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał łagodnie.

- Ja... nic...

- No, to do zobaczenia, chłopcze. Do widzenia!

Garoffi podszedł do drzwi, ale odwrócił się jeszcze, podszedł do małego chłopca i wcisnął mu coś w rękę, mówiąc szybko:

- To dla ciebie... - i wyleciał za drzwi jak oparzony.

Zdziwiony chłopiec podszedł do łóżka wujka i pokazał paczkę, na której było napisane „Daruję ci to”. Rozwinął papier, a ja aż krzyknąłem ze zdumienia: w środku był sławny album Garoffiego ze zbiorom znaczków pocztowych, ten album, o którym zawsze tyle gadał, w którym pokładał swe nadzieje i który kosztował go tyle trudów!

To był jego skarb, który teraz oddał, by zadośćuczynić swojej winie.

Mały pisarczyk z Florencji

Opowiadanie miesięczne

Julek był uczniem czwartej klasy. Pochodził z Florencji, pięknego miasta na północy Włoch. Był najstarszym synem pewnego

urzędnika kolei, który, mając liczną rodzinę, a małą pensję, żył wraz z nią w wielkim niedostatku.

Ojciec bardzo kochał Julka. Był dla niego dobry i pobłażliwy we wszystkim, tylko nie w tym, co dotyczyło szkoły. Na tym punkcie był surowy i wymagający, ponieważ chłopiec miał ukończyć nauki jak najprędzej, żeby szybko rozpocząć pracę i zacząć pomagać rodzinie. Wiadomo zaś, że gdy kto chce prędko coś znaczyć, musi ciężko i wytrwale pracować, nie tracąc czasu. Chociaż chłopiec dobrze się uczył, ojciec jeszcze i tak zapędzał go do nauki.

Sam już był nie pierwszej młodości i czuł się przedwcześnie postarzały w ciężkiej pracy. Zwykle jednak, choć ciężko pracował w swym urzędzie, brał jeszcze do domu jakąś dodatkową pracę, żeby tylko zaspokoić potrzeby swej licznej rodziny. Najczęściej było to piękne, kaligraficzne przepisywanie ręczne, nad którym schodziła mu codziennie część nocy, a nieraz i świt zastawał go przy robocie.

W ostatnim czasie podjął się u jednego wydawcy dzienników i książek zapisywania na specjalnych paskach papieru nazwisk i adresów abonentów; za każde pięćset pasków zaadresowanych czytelnie dużymi literami dostawał trzy liry. Ale praca ta bardzo go męczyła i często się na nią uskarżał przed rodziną.

- Tracę oczy - mawiał - dobija mnie ta praca po nocach.

Aż pewnego razu ów najstarszy synek zwrócił się do niego:

- Tato, daj mi to robić za siebie! Wiesz przecież, jak ładnie piszę i zupełnie podobnie do ciebie.

Ale ojciec odpowiedział:

- Nie, synu! Przede wszystkim nauka. Twoja szkoła jest znacznie ważniejsza niż te paski. Dziękuję ci, ale nie chcę i nie ma o czym mówić.

Syn wiedział, że w tych sprawach upór na nic się nie zda, i nie upierał się.

Ale oto, jak sobie poradził.

Wiedział dobrze, że jego ojciec kończy pisanie o północy i idzie do sypialni z pokoiku, w którym pisał. Kiedy na wielkim

zegarze wybijała dwunasta, słyszał zawsze odsuwanie krzesła od stołu i powolne kroki ojca.

Jednej nocy poczekał, aż ojciec położy się do łóżka, wstał cicho, ubrał się i wśliznął po omacku do pokoiku. Zapalił lampę, usiadł przy biurku, na którym bielił się stos pasków wraz z listą adresową, i niewiele myśląc, zaczął pisać, naśladowując pismo ojca.

Miło mu było pisać i rad był, choć trochę się bał. Zapisane paski piętrzyły się przed nim. Od czasu do czasu odkładał pióro, zacierał ręce, i znów zaczynał pisać z zapalem, nastawiając ucha i uśmiechając się leciutko.

Napisał, odłożył pióro na miejsce, zgasił światło i na palcach powrócił do łóżka.

Tego dnia w południe ojciec zasiadł do stołu w wybornym humorze. Wcale się nie zorientował, ponieważ pracę tę wykonywał mechanicznie, mierząc ją na godziny i często myśląc przy niej o czym innym, a dopiero nazajutrz liczył zapisane paski. Poklepał syna po ramieniu i rzekł:

- Ech, Julku! Jeszcze z twego ojca lepszy pracownik, niż myślałeś! W dwie godziny machnąłem wczoraj wieczór o jedną trzecią więcej roboty niż zwykle! Jeszcze moja ręka jest sprawna, a i oczy pełnią swoją służbę.

Julek milczał szczęśliwy i tylko w duchu mówił: Biedny tata! Nie tylko mu ułatwiam robotę, ale przydaję radości, i czuje się młodszy i silniejszy. Dobra nasza! Nie traćmy odwagi!

Tak zachęcony powodzeniem, doczekał nocy, a gdy wybiła dwunasta, znowu wstał cicho, i dalej do roboty. I tak przez wiele nocy, jedna po drugiej. A ojciec ciągle jeszcze się nie zorientował. Raz tylko, wychodząc po kolacji, rzekł:

- Nie do uwierzenia, ile nafty wypala się od jakiegoś czasu w naszych lampach! Czy używamy tak dużo światła?

Julek drgnął, ale rozmowa na tym się skończyła, a nocna praca szła dalej. Jednakże, przerywając tak sen każdej nocy, chłopiec nie wypoczywał dostatecznie, toteż rankiem wstawał zmęczony,

a wieczorem, przy odrabianiu lekcji, ledwo otwierał oczy. Aż jednego dnia, pierwszy raz w życiu, usnął nad zeszytem.

- Synku! Co ty?... - krzyknął ojciec. - Do roboty! Dalej, śpioczu!

Julek otrząsnął się i zabrał się do lekcji.

Ale następnego wieczora i później było znów to samo. A nawet jeszcze gorzej. Drzemał nad książkami, wstawał późno, lekcje odrabiał aby zbyć, zdawał się zniechęcony do nauki. Ojciec zaczął na niego uważać, potem zamyślać się, wreszcie wyrzucać mu lenistwo.

- Julku! - rzekł pewnego dnia. - Co się z tobą dzieje? Nie jesteś już taki, jak dawniej. Bardzo mi się to nie podoba. Bardzo mnie to martwi!

Ten wyrzut, po raz pierwszy wypowiedziany tak ostrym głosem, zasmucił chłopca ogromnie.

„Prawda - pomyślał. - Nie może tak dalej być. Trzeba zakończyć tę pomoc i to złudzenie”.

Ale tego wieczora, jakby naumyślnie, ojciec wychodząc z domu, rzekł bardzo wesoło:

- Wiecie co? W tym miesiącu zarobiłem tymi adresami o trzydzieści dwa liry więcej niżeli w zeszłym!

Co rzekłszy, wydobył z szuflady paczkę cukierków, które kupił, żeby sprawić dzieciom uciechę z powodu tak powiększonego zarobku.

Julek znów nabrał otuchy i rzekł do siebie:

„Nie, drogi ojcze! Będę cię jeszcze łudził, jeszcze ci pomagał! Dobędę ostatnich sił, żeby nadażyć z lekcjami przez dzień, a nocami będę jeszcze pracował dla ciebie, dla mamy i braci...”

A ojciec tak mówił dalej:

- Trzydzieści dwa liry więcej, to nie bagatela! Cieszymy się, dzieci! Jedno z was tylko - tu wskazał ręką na Julka - martwi mnie i smuci.

Julek wysłuchiwał tego wyrzutu w milczeniu, połykając łzy, które mu się cisnęły do oczu, ale jednocześnie uczuł w sercu wielką, wielką słodycz.

I zapamiętałe pracował dalej. Ale nowe znużenie dodane do dawnego było coraz trudniejsze do przezwyciężenia.

Tak to szło przez jakieś dwa miesiące. Ojciec strofował Julka prawie co dzień i namawiał do nauki, wyrzucając mu lenistwo. Aż pewnego dnia poszedł do nauczyciela, żeby pomówić z nim o tym, a nauczyciel rzekł:

- Owszem, lekcje odrabia, bo to inteligentne dziecko; ale tego dawnego zapału do nauki nie ma. Drzemie w klasie, nie uważa, jest roztargniony. Ćwiczenia pisze coraz krótsze, aby zbyć, bazgrze je po prostu. Oj, jestem pewny, że przy dobrej woli mógłby zupełnie inaczej się uczyć.

Tego wieczora ojciec poprosił Julka na rozmowę i tak do niego mówił, z niezwykłą dla niego powagą:

- Julku! Przecież widzisz, jak ja pracuję, jak sobie życie skracam dla rodziny. Ty jednak nie chcesz mi tego ułatwić. Nie masz serca dla mnie ani dla matki, ani dla braci!

- Ach, nie! Nie mów tak, tato! - zawołał Julek, wybuchając płaczem i już otwierając usta, żeby wyznać wszystko, ale ojciec przerwał mu i rzekł:

- Wiesz, w jak ciężkich żyjemy warunkach. Wiesz, że aby wyżyć, trzeba dobrej woli i poświęcenia wszystkich w rodzinie. Wiesz, że ja sam musiałem podwoić pracę. W tym miesiącu liczyłem na sto lirów dodatkowej premii z kolei, a dowiedziałem się, że nie dają żadnej.

Usłyszawszy to, Julek cofnął wyznanie, które już mu się cisnęło na usta, i w mgnieniu oka odzyskując siłę woli, rzekł do siebie:

„Nie, tato! Nic ci nie powiem! Będę nadal w tajemnicy pracował dla ciebie. Zmartwienie, jakie ci sprawiam, wynagrodzę ci pomocą. W szkole i tak dostanę promocję. Teraz pierwsza i najpilniejsza rzecz to pomagać ci w utrzymaniu nas wszystkich i ulżyć ci w pracy, która cię zabija!”

Od tej rozmowy minęły znowu dwa miesiące. Dwa miesiące nocnej pracy i dziennego wyczerpania, rozpaczliwych wysiłków dziecka i gorzkich wymówek ojca.

Julek cierpiał z tego powodu, ostatnią rzeczą, jaką chciałby zrobić, było zmartwić ojca, którego tak bardzo kochał. Chłopiec chudł i był coraz bledszy z powodu pracy i cierpienia, zaś w miarę ubytku sił coraz bardziej zaniedbywał się w nauce. Nieszczęsny chłopiec zrozumiał wreszcie, że musi zaprzestać tej sekretnej pracy i mówił sobie co dzień wieczór:

„Tej nocy już będę spał. Nie wstanę...”

Zaledwie jednak wybiła dwunasta, zamiast wytrwać odważnie w swym postanowieniu, odczuwał wyrzuty. Zdawało mu się, że leżąc w łóżku, uchybia jakiemuś ważnemu obowiązкови, że wprost okrada ojca i rodzinę.

I znów wstawał cicho i myślał, że przecież którejś nocy ojciec obudzi się i zastanie go na pisaniu; że w końcu zorientuje się, przeliczywszy napisane z wieczora przez siebie paski, i w ten sposób wyda się i skończy wszystko naturalnie, samo przez się, bez jego udziału, bez tego aktu woli, do którego nie miał dosyć sił. I tak ciągnęło się to dalej.

Aż pewnego dnia ojciec wyrzekł jakby specjalnie słowa, które zdecydowały ostatecznie o jego decyzji. Było tak: matka popatrzyła na Julka, który wydał jej się jeszcze bardziej mizerny niż zwykle, i rzekła:

– Julku, jesteś chory, dziecko!... – Po czym zwróciwszy się do ojca, dodała: – Julek musi być chory. Zobacz tylko, jaki błąd! Julku, mój drogi, co tobie?

Ale ojciec rzucił tylko okiem na niego i rzekł:

– Kto ma nieczyste sumienie, ten nie może być zdrow. Nie było tak dawniej, kiedy był pilnym uczniem i kochającym synem.

Biedny chłopiec, gdy usłyszał te słowa, poczuł, jakby nóż utkwiał mu w piersi. Ach, nie zniesie tego dłużej! Nie może! Jego ojciec... Ten ojciec, który drżał dawniej, kiedy chłopak tylko zakaszłał... Czy już go nie kocha, że nie troszczy się o niego, o jego zdrowie?... „Ach nie! Ojciec – rzekł sobie chłopiec z sercem ściśniętym jakąś śmiertelną bojaźnią – teraz już naprawdę wszystko skończone, bo nie mogę żyć bez twojej miłości. Zdobędę się na siłę, powiem ci wszystko,

nie będę cię dłużej oszukiwał, będę się uczył jak dawniej! Niech się dzieje co chce, bylebyś mnie kochał po dawnemu, drogi mój, najdroższy ojciec! Och, teraz już jestem zdecydowany na wszystko!”

Ale tej nocy znowu, po prostu z przyzwyczajenia, wstał i poszedł raz jeszcze popatrzeć na mały pokój, gdzie tak długo czuwał skrycie i pracował. A gdy podszedł do stolika i zapalił światło, i zobaczył te czyste białe paski, na których już nigdy nie miał pisać nazwisk ludzi i miast, tych nazwisk, które już znał na pamięć, zrobiło mu się tak smutno, że chwycił nagle za pióro, żeby rozpocząć zwykłą pracę. Ale potracił przy tym książkę, która spadła z hukiem na podłogę. Krew uderzyła mu do głowy. Ojciec mógł się obudzić!... Nie złapałby go, to prawda, na żadnym złym uczynku; owszem, on sam postanowił powiedzieć mu wszystko. Ale przecież, usłyszeć jego kroki w ciemności... być tak przyłapanym w ciszy, o tej godzinie... Zbudzić i przestraszyć matkę... może jeszcze widzieć upokorzenie ojca, gdy wszystko się wyda... Na tę myśl skamieniał po prostu. Ale nie usłyszał nic. Nasłuchiwał przez chwilę u drzwi, które miał za sobą – i nic!

Cały dom był głęboko uśpiony.

Zaczął więc pisać z pośpiechem, a paski piętrzyły się przed nim. Pisząc, słyszał miarowy krok straży miejskiej w pobliskiej, pustej uliczce, potem turkot powozu, który nagle ustał; w chwilę później ciężki turkot wozów posuwających się jeden za drugim, a potem jeszcze głęboką ciszę, przerywaną od czasu do czasu dalekim szczekaniem psa. I pisał, pisał...

A tymczasem ojciec stał za nim. Zbudzony hałasem upadającej książki, zaczekał jakiś czas, wszedł do izdebki w chwili, kiedy turkot wozów tłumiał jego kroki i stał tam ze swoją siwą głową ponad ciemną główką syna. Widział, jak pióro jego biega po papierze, i w jednej chwili odgadł wszystko i zrozumiał, i niezmierna żalność i tkliwość zalała mu duszę. Stał bez tchu za plecami syna. Aż naraz Julek krzyknął przeraźliwie. Poczul, że ktoś obejmuje go, i usłyszał płacz ojca.

– O tato, tato, przebacz mi! – zawołał chłopiec.

- To ty mi przebacz! - odrzekł ojciec, łkając i pokrywając pocałunkami jego czoło. Zrozumiałem wszystko, wiem wszystko, i to ja, ja pragnę twego przebaczenia, moje najdroższe dziecko!

To powiedziawszy, wziął go na ręce, jak wtedy, gdy Julek miał kilka lat, i zaniósł do łóżka zbudzonej matki.

- Nasz syn od wielu miesięcy nie sypia i pracuje po nocach za mnie, kiedy ja zasmucałem jego serce, jego, który zarabiał na chleb dla nas...

Matka przycisnęła go do piersi, nie mogąc przemówić słowa ze wzruszenia, po czym rzekła:

- Idź spać, drogie dziecko, idź już spać!... Zanieś go do jego łóżka...

Ojciec wziął go w ramiona, położył do łóżka, poprawił mu poduszkę i otulił kołdrą.

- Śpij, synku, śpij!

Julek, zmęczony, usnął wreszcie i spał długo, pierwszym od tylu miesięcy spokojnym i cichym snem... A sny miał miłe, radosne, kolorowe. Kiedy zaś otworzył oczy, a słońce było już wysoko na niebie, poczuł najpierw, a potem zobaczył na brzegu łóżka siwą głowę ojca, który tak spędził całą noc i jeszcze spał, z czołem opartym o pierś syna.

Siła woli

28, środa

Tylko Stardi z naszej klasy miałby siłę zrobić to, co mały florentryńczyk. Dziś rano w szkole wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze: Garoffi mało nie oszalał z radości, bo staruszek odesłał jego album wzbogacony o dwa rzadkie znaczki z Gwatemali, których poszukiwał już od trzech miesięcy, a po drugie: Stardi dostał srebrny medal, jako najlepszy po Derossim uczeń w klasie. Ale byliśmy zdziwieni!

Kto by pomyślał w październiku, kiedy ojciec przyprowadził go do szkoły i powiedział do nauczyciela:

- Będzie pan musiał wykazać wiele cierpliwości, bo do nauki to on nie za bardzo...

Wołaliśmy na niego „barania głowa”, ponieważ trzeba mu było wszystko długo tłumaczyć, ale on się zawiązał i powiedział:

- Dostanę medal albo umrę! - i zaraz wziął się do nauki na śmierć i życie.

Uczył się w dzień, uczył się w nocy, uczył się w szkole, uczył się w domu, uczył się nawet na spacerze, zaciskając zęby i pięści, cierpliwy i zawzięty, dzień po dniu, nie przejmując się przewiškami, rozdając kuksańce tym, którzy mu przeszkadzali podczas lekcji. Prześcignął wszystkich, oprócz Derossiego, chociaż nie było mu łatwo. Na początku nie rozumiał ani w ząb matematyki, w jego ćwiczeniach było tyle błędów, że boki zrywać, a teraz rozwiązuje zadania, pisze poprawnie, wszystko umie, wszystko pamięta. Widać po nim żelazną wolę, siłę i upór. Uczy się w każdej chwili i w każdych okolicznościach, a gdy tylko uzbiera trochę pieniędzy, zaraz kupuje sobie książkę. Zebrał już sobie całkiem ładną biblioteczkę, a kiedyś w chwili dobrego humoru wymknęło mu się, że mnie zaprosi i pokaże swoje zbiory.

Ależ on się musiał napracować, żeby osiągnąć takie wyniki! Nauczyciel był dziś w nie najlepszym humorze, zniecierpliwiony, ale wręczając mu medal, powiedział:

- Brawo, Stardi! Kto jest wytrwały, zwycięża!

Stardi nie pysznił się wcale swoim medalem, nie uśmiechnął się nawet, a kiedy wrócił do ławki, podparł głowę pięściami i nadal siedział nieruchomo, słuchając lekcji. Najśmieszniej jednak było przy wyjściu, gdzie czekał na niego jego tata, który zupełnie nie mógł uwierzyć, że jego syn dostał medal. Ale kiedy go nauczyciel w tym upewnił, zaczął śmiać się z radości, trzepnął syna w kark i krzyczał:

- A toś się spisał, chłopie! A niech cię! - i patrzył na niego zdumiony i uśmiechnięty.

Wszyscy się zresztą uśmiechali, oprócz Stardiego, który pod nosem mamrotał wiersz na jutro.

Jestem pewny, że twój kolega Stardi nie skarży się nigdy na waszego nauczyciela. „Nasz pan był w złym humorze, był zniecierpliwiony” – wyraziłeś się niedawno z niechęcią. A pomyśl, ile razy ty sam okazujesz zniecierpliwienie. I to komu? Matce i ojcu, wobec których twoje zniecierpliwienie jest wykroczeniem. Twój nauczyciel ma nieraz aż nadto powodów do zniecierpliwienia. Zastanów się, ile już lat pracuje z uczniami, nie zawsze grzecznymi, nie zawsze wdzięcznymi za trud nauczania, często rozbrykanymi i leniwymi. Zastanów się, że i święty by się czasami na jego miejscu rozgniewał. A żebyś wiedział, ile razy nauczyciel idzie na lekcję chory, bo choroba nie jest obłożna i nie zwalnia go z pracy. Cierpi, więc się niecierpliwi, a ból powiększa się jeszcze, gdy widzi, że nic sobie z tego nie robicie albo że wykorzystujecie jego osłabienie. Szanuj, synu, swego nauczyciela. Ja też go szanuję. Jego praca poświęcona jest dobru setek dzieci, które kiedyś zapomną o nim. Szanuj go, bo on przekazuje ci wiedzę, rozwija twoje umiejętności, przekazuje wartości, wychowuje cię na dobrego i mądrego człowieka. Może kiedyś, gdy będziesz dorosły, przypomnisz sobie, czego cię nauczył, i być może poczujesz wstyd, że nie zawsze zachowywałeś się wobec niego z należnym mu szacunkiem.

Twój ojciec

Styczeń

Zastępca

4, środa

Mój tata miał rację. Nasz nauczyciel miał zły humor, bo był chory. Od trzech dni mamy zastępstwo z tym młodym, który sam wygląda jak uczeń, jest spokojny, miły i ma bardzo dużą wiedzę.

Dziś rano zdarzyła się, niestety, przykra rzecz. Klasa już pierwszego i drugiego dnia strasznie hałasowała, bo młody nauczyciel jest bardzo łagodny i ciągle tylko mówi:

– Cicho! Cicho! Cicho, proszę!

Ale to, oczywiście, nie skutkuje. Dziś było wprost nie do wytrzymania. Taki hałas, taki wrzask, że jednego słowa z lekcji nie można było usłyszeć. Nauczyciel ciągle wołał: „Cicho!”, aż zachrypnął. Dyrektor, który często chodzi po korytarzu, zatrzymał się dwa razy w drzwiach naszej klasy i patrzył. Wtedy wszyscy milkli. Ale jak tylko zniknął z oczu, natychmiast robił się zgiełk, aż uszy puchły. Garrone i Derossi uciszali resztę, ale bez skutku. Tylko Stardi siedział spokojnie, jak zawsze, podparty łokciami, z głową na pięściach i myślał pewnie o swojej sławnej bibliotece, a także Garoffi, który zajęty był przygotowaniem losów na loterię (po dwa grosze za los!), w której nagrodą był jego kałamarz kieszonkowy. Inni gwizdali, śmiali się, tłukli piórnikiem o ławki, rzucali w siebie kulkami z papieru. Nauczyciel próbował stawiać ich do kąta, ale na nic się to nie zdało. Wtedy, nie wiedząc już, co robić, zapytał gniewnie:

– I czemu to robicie? Czemu? Czy chcecie mnie sprowokować?! Proszę o spokój! Cisza!

Ale hałas jeszcze się wzmógł. Franti rzucił w niego papierową strzałą, inni zaczęli miauczeć jak koty, niektórzy wzięli się za łby,

słowem – zamęt był nie do opisania. Nagle wszedł woźny i powiedział:

– Przepraszam, pan dyrektor prosi pana do siebie.

Nauczyciel wyszedł pośpiesznie, a wtedy w klasie zrobiło się prawdziwe piekło. Naraz Garrone wskoczył na ławkę i zacisnąwszy pięści, zawołał głosem zduszonym z gniewu:

– Dość tego! Zamknijcie się! Pozwalacie sobie dlatego, że jest dobry! Żeby wrzeszczał, straszył, poniżał, stawiał pały, to byście siedzieli jak trusie! Banda głupków, nie klasa! Pierwszemu, który nie usłucha, wybije zęby, choćby jego ojciec na to patrzył!

Zrobiło się cicho. Garrone wyglądał jak wściekły lew, z oczu strzelały mu iskry i płomienie. Wszyscy zamilkli, nawet najwięksi krzykacze mieli spuszczone oczy. Czy bali się Garronego, czy zrozumieli swoją podłość wobec młodego nauczyciela?

Kiedy wrócił od dyrektora, zdenerwowany i przygaszony, było tak cicho, że żaden nie zipnął. Nauczyciel stanął zaskoczony, ale widząc, że Garrone stoi jeszcze na ławce czerwony i drżący, zrozumiał, co się wydarzyło, i rzekł swoim zwykłym miłym, spokojnym i wzruszonym teraz głosem:

– Dziękuję ci, Garrone!

Biblioteka Stardiego

Byłem dzisiaj u Stardiego, który mieszka naprzeciwko szkoły, i aż zzieleniałem z zazdrości, kiedy zobaczyłem jego bibliotekę. Nie ma setek książek, bo nie ma na nie zbyt dużo pieniędzy, ale w jakim porządku je utrzymuje – i te, które kupuje sam, i te, które dostaje od rodziców, i nawet swoje podręczniki szkolne. Tata kupił mu nowe półki i teraz pyszną się na nich kolorowe grzbiety książek: opowiadania, powieści, poezja. Wszystkie ustawione równo, nie tylko tematycznie, ale także według kolorów okładek i wielkości. Stardi zrobił też katalog, zupełnie jak prawdziwy bibliotekarz.

Czyta je, ogląda, przewraca kartki, wyciera z kurzu. Każda książka wygląda jak nowa, a przecież ma je już od dawna. Ile ja książek podarłem i zniszczyłem w tym czasie! Dla niego kupno nowej książki jest prawie świętem. Z każdą obchodzi się jak ze skarbem. Całą godzinę pokazywał mi książki i opowiadał o nich. Aż mnie oczy rozboleły od czytania. Poszliśmy potem do pokoju jego taty. Stardi jest do niego bardzo podobny – taki sam niski i gruby, i z taką samą dużą głową. Tata poklepał go po ramieniu i powiedział:

– To głowa, która daleko zajdzie, zaręczam ci!

A Stardi tylko przymknął oczy pod tą rubaszną pieszczotą i chyba słowa ojca sprawiły mu przyjemność. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie śmiem wygłupiać się z nim i żartować, i wierzyć mi się nie chce, że to mój kumpel z klasy. Kiedy na pożegnanie powiedział do mnie: „Cześć!”, to o mało nie odpowiedziałem: „Moje uszanowanie, proszę pana!”, bo jego poważna twarz wydawała mi się już taka dorosła. Kiedy wróciłem do domu, powiedziałem do taty:

– Nie rozumiem! Stardi nie ma zdolności, nie jest fajny, śmiesznie wygląda, a jednak mi imponuje!

– Imponuje ci, bo jest to chłopak z charakterem!

– Kiedy byłem u niego, ani razu się nie roześmiał, nie pokazał mi ani jednej zabawki, nie powiedział nawet pięćdziesięciu słów, a było mi z nim bardzo dobrze.

Tata odpowiedział:

– Bo go szanujesz.

Synek kowala

Tak, ale przecież szanuję także Precossiego, nawet więcej, niż szanuję. Jest on małym chudziwą, ma takie smutne, miłe spojrzenie, wystraszoną minę, a taki jest bojek, że mówi ciągle do wszystkich: „Przepraszam”. Chociaż jest chorowity i dużo opuszcza, to uczy się dobrze. Jego tata, kowal, pije. Często wraca w nocy z knajpy, bije

go nie wiadomo za co, niszczy jego zeszyty i książki. Precossi przychodzi do szkoły posiniaczony, zapuchnięty, z oczami czerwonymi od płaczu, ale zawsze zaprzecza, że to ojciec go bije.

- Znowu stary cię natłukł - mówią koledzy.

A on zaraz krzyczy:

- Nieprawda! Nieprawda! - by nikt nie śmiał naruszyć honoru jego ojca.

- Tego arkusza przecież nie spaliłeś sam? - pyta nauczyciel, pokazując na wpół spalony arkusz ćwiczeń.

- Tak, ja! - mówi Precossi drżącym głosem. - Upadł mi koło kuchenki i...

Wszystkim zaś wiadomo, że jego ojciec kopnął po pijanemu stół, przy którym pisał, zrzucając wszystko, razem z zapaloną lampą.

Bo oni mieszkają na poddaszu w naszym domu, w drugiej klatce, a sąsiadka wszystko opowiada mojej mamie. Moja siostra Sylwia słyszała raz, jak Precossi krzyczał, że ojciec chce go zrzucić ze schodów, bo prosił go o pieniądze na kupienie książki do gramatyki. Ten ojciec jest taki, że tylko pije i nie pracuje, a jego rodzina żyje w biedzie. Ile to razy Precossi przychodzi bez śniadania i dopiero ukradkiem zjada bułkę, którą mu da Garrone, albo jabłko przyniesione przez tę miłą nauczycielkę z początkowych klas, której był kiedyś uczniem. Nie zdarzyło się jednak, żeby powiedział: „Jestem głodny, mój ojciec nie daje mi jeść”. Nigdy!

Kowal wstępuje czasem po niego, jeśli przypadkiem znajdzie się gdzieś blisko szkoły. Błady, chwiejący się na nogach, z ponurą twarzą, z włosami opadającymi na czoło i przekrzywioną czapką. Precossi drży cały, kiedy go zobaczy na ulicy, ale zaraz biegnie na przeciw niego z uśmiechem, ojciec jednak nawet go nie widzi, myśląc o czymś innym.

Biedny Precossi! Zszywa sobie, jak umie, poszarpane zeszyty, pożycza książki do nauki, spina agrafkami porozrywaną koszulę, aż litość bierze, gdy się patrzy na jego ubranie. Ale uczy się, stara, i mógłby być najlepszym uczniem, gdyby mógł spokojnie pracować w domu.

Dziś rano przyszedł do szkoły z guzem na czole i podrapaną twarzą, więc chłopaki dalej do niego:

- Oho! Urządził cię pięknie twój ojciec! Nie powiesz chyba, że to nie on!

Precossi zaczerwienił się, zerwał z ławki i krzyknął głosem drżącym z oburzenia:

- Nieprawda! Mój tata nigdy mnie nie bije!

A potem w czasie lekcji łączy mu kapąły na ławkę, ale gdy ktoś spojrział na niego, to się uśmiechał, żeby nic po sobie nie pokazać. Biedny Precossi! Jutro mają przyjść do mnie Derossi, Coretti i Nelli; jego też zaproszę. Zatrzymam go na podwieczorek, dam mu parę książek, owoce do domu, żeby raz miał przyjemność. Co więcej mogę zrobić w takiej sytuacji?...

Miłe odwiedziny

12, czwartek

Dzisiejszy czwartek był dla mnie jednym z najmiłszych dni w tym roku. Chłopaki przyszli punktualnie, tak jak obiecali, tylko Precossiemu ojciec nie pozwolił przyjść. Derossi i Coretti jeszcze się śmiali ze spotkania z Crossim, który biegł szczęśliwy, bo jego tata już niedługo wróci z Ameryki. A wyglądał śmiesznie, bo niósł na sprzedaż główkę kapusty większą od jego własnej głowy. Miał sobie potem kupić pióro i ołówki.

Ale się bawiliśmy przez te dwie godziny! Derossi i Coretti to najfajniejsze chłopaki w naszej klasie. Mój tata bardzo ich polubił.

Coretti to diabeł, nie chłopak! Ciągłe tylko coś ruszał, przestawiał, prznosił! I chociaż już z rana pół wozu drewna rozładował do sklepu, nie posiedział ani chwili, tylko po całym domu biegał, wszystko oglądał, bez ustanku gadał, zwinny i szybki jak wiewiórka. Wszystkiego jest ciekawy, o wszystko pyta, ale jest dobrze wychowany i taktowny.

Derossi także podobał się mojemu ojcu. Ależ on zna geografię, jak sam nauczyciel! Zamknął oczy i mówił:

- Widzę teraz całe Włochy... Widzę Apeniny, jak ciągną się aż do Morza Jońskiego, widzę rzeki, zatoki, przylądki, wyspy, miasta...

I tak wymieniał ich nazwy po kolei, dokładnie, a my staliśmy przed nim i patrzyliśmy z podziwem. W godzinę nauczył się na pamięć prawie trzy strony, które miał powiedzieć pojutrze na obchodach rocznicy śmierci króla Wiktora Emanuela. Nelli patrzył w niego jak w obraz, zachwycony i rozradowany, gładząc fałdy swojego brzydkiego fartucha. Wielką przyjemność sprawiły mi te odwiedziny. Zostały mi po nich złote iskierki w sercu. Bardzo podobało mi się też, że odchodząc, wzięli małego Nellego między siebie i prowadzili go pod rękę, a on śmiał się tak, jak jeszcze nigdy. Kiedy wróciłem do jadalni, spostrzegłem, że na ścianie nie ma obrazka, który przedstawiał garbatego błazna Rigoletta. Ojciec zdjął obraz, żeby Nelli go nie zobaczył.

Pogrzeb Wiktora Emanuela

17, stycznia

Dzisiaj o drugiej, zaledwie nauczyciel wszedł do klasy, zawołał Derossiego, który podszedł do stolika, stanął na wprost nas, i zaczął przemawiać z uczuciem:

- Cztery lata minęły, jak w tym dniu, o tej właśnie godzinie, pod panteon w Rzymie wjechał wóz żałobny, na który spoczywały zwłoki Wiktora Emanuela II, pierwszego króla Włoch, zmarłego po dwudziestu dziewięciu latach panowania, w czasie których nasza wielka ojczyzna, rozerwana na sześć oddzielnych państw i uciskana przez obcych tyranów, stała się jednym, niepodległym, wolnym królestwem. Po dwudziestu dziewięciu latach panowania, które okrył sławą i prawością, odwagą w niebezpieczeństwach, mądrością w chwilach zwycięstw i wytrwałością w klęskach.

Wóz żałobny, na którym błyszcząca korona, przejechał przez ulice Rzymu, pod ulewą kwiatów, wśród uroczystej ciszy pogrążonych w smutku tłumów przybyłych z całego kraju. Poprzedzał go

legion generałów, mnóstwo ministrów i książąt, wiodąc za sobą las chorągwi, wysłańców trzystu miast włoskich, wszystko to, co stanowi potęgę i chwałę narodu. Wóz żałobny zajechał przed wspaniałą świątynię, gdzie czekał grobowiec królewski. Natychmiast dwunastu kirasjerów zdjęło trumnę z wozu.

Była to chwila, gdy naród włoski żegnał po raz ostatni swego starego, ukochanego króla, w której żegnał swego żołnierza i swego ojca, po latach sławnych i najszcześniejszych w swoich dziejach.

Wielka to była i uroczysta chwila. Wszystkie spojrzenia, cała dusza tłumów unosiła się ku tej trumnie, której sztandary osiemdziesięciu regimentów armii włoskiej, niesione przez osiemdziesięciu chorążych, salutowały po raz ostatni. Sztandary, okryte chwałą i krwią Włochów, przypominające tysiące poległych, najwspanialsze zwycięstwa, najświętsze ofiary i najżywsze cierpienia. Więc kiedy kirasjerzy zaczęli iść z trumną królewską, sztandary oddawały jej hołd, tak nowe, jak i stare, zdarte chorągwie spod Quito, spod Pastrengo, spod San Martino, spod Castel Fidando, osiemdziesiąt chust żałobnych, sto medali na trumnę padło, a ten brzęk zmieszany i dzwięczny, który wzbudził krew w żyłach wszystkich, rozległ się jak dzwon tysiąca ludzkich głosów mówiących razem: „Żegnaj, żegnaj, mężny, prawy królu! Będziesz żył w sercach twego ludu, póki słońce będzie świecić nad włoską ziemią”.

Franti wypędzony ze szkoły

21, sobota

Tylko jeden z nas śmiał się, kiedy Derossi mówił o pogrzebie króla. Oczywiście Franti! Nie cierpię go! To podły typ. Kiedy czyjś ojciec przyjdzie do szkoły, żeby dać synowi reprimendę, cieszy się, kiedy któryś z nas płacze, Franti śmieje się z tego.

Boi się Garronego, bo jest silny, natomiast Mularczyka szturcha i szczypie, bo mały i słaby; Crossiemu dokucza, bo ma bezwładną rękę, lekceważy Precossiego, choć go wszyscy szanują; naśmiewa

się z Robettiego, który uratował dziecko, bo chodzi o kulach. Napastuje wszystkich słabszych od siebie, a kiedy dojdzie do bójki, tłucze tak, że może okaleczyć kolegę. Jest coś wstrętnego w jego niskim czole i w tych rozbieganych, mętnych oczach, które się kryją prawie pod daszkiem ceratowej czapki. Nie boi się niczego, śmieje się w twarz nauczycielowi, zapiera się z bezczelną miną, zawsze się z kimś kłóci, przynosi do szkoły szpilki, żeby zniemacka ukłuć kogoś w ławce, i sobie, i innym obcina guziki od ubrania i gra w nie; jego książki i zeszyty są brudne, zniszczone, porozrywane, linijka wyszczerbiona, pióra pogryzione, paznokcie czarne, ubranie wyplamione i podarte w bójkach.

Podobno jego mama straciła zdrowie ze zmartwienia, a ojciec już trzy razy chciał go wyrzucić z domu. Matka czasem przychodzi dowiedzieć się o jego zachowanie w szkole, ale zawsze odchodzi z płaczem.

Jak on może być dobry, skoro nikogo nie kocha? Nie cierpi szkoły, nie cierpi wychowawcy, nie cierpi kolegów. Nauczyciel udaje czasem, że nie widzi jego występków, a ten, zamiast się zawstydzić, jest wtedy jeszcze gorszy. Nasz pan próbował z nim dobrocią, ale ten drań tylko się śmiał z niego; próbował gniewem, zwymyślał go strasznie, to twarz sobie rękami zakrył i wszyscy myśleli, że płacze, a on pękał ze śmiechu. Był raz na trzy dni wydalony ze szkoły, to wrócił jeszcze zuchwalszy, jeszcze bardziej rozpuszczony.

Derossi powiedział kiedyś do niego:

- Daj już spokój! Widzisz przecież, że nauczyciel martwi się przez ciebie.

A on na to:

- Zamknij się, bo rozwałę ci gwoździem brzuch!

Aż się doczekał, że dziś rano wreszcie go wyrzucili.

Było tak. Kiedy nauczyciel dawał do przepisania Garronemu brulion „O sardyńskim doboszu” (bo taki ma tytuł miesięczne opowiadanie na styczeń), Franti rzucił na podłogę petardę, która pękała z takim hukiem jak strzał z karabinu. Zatrzęsła się cała klasa, a nauczyciel zerwał się i krzyknął:

- Franti! Natychmiast do dyrektora!

- To nie ja! – odrzekł i beczelnie się śmiał.
- Do dyrektora! – powtórzył nauczyciel.
- Mowy nie ma! – odpowiedział zuchwale.

Wtedy nauczyciel stracił cierpliwość, skoczył, chwycił go za ramię i wyciągnął z ławki. A ten się jeszcze wyrywał, zębami zgrzytał, kopał i trzeba go było niemal siłą wlec. Nauczyciel poniósł go za kark aż do dyrektora, po czym wrócił do klasy, siadł przy swoim stoliku, zmęczony podparł głowę na rękach, a w twarzy miał tyle troski, znużenia i smutku, że przykro było patrzeć.

- Po trzydziestu latach pracy! – zawołał, trzęsąc siwą głową.

Żaden z nas nawet nie pisnął. Ręce mu drżały z gniewu, a ta prosta zmarszczka na czole była tak głęboka, że wyglądała jak rana. Biedny nauczyciel! Wszystkim nam było go strasznie żal! Ale Derossi wstał i tak powiedział:

- Proszę pana! Niech się pan nie martwi! My pana bardzo lubimy! Nauczyciel rozchmurzył się trochę i rzekł:
- Wróćmy do lekcji, dzieci.

O sardyńskim doboszu

Opowiadanie miesięczne

W pierwszym dniu bitwy pod Custozzą, 24 lipca 1848 r. sześćdziesięciu żołnierzy jednego regimentu naszej piechoty, wysłanych dla zajęcia samotnego domu na wzgórzu, zostało napadniętych zniemacka przez dwie kompanie armii austriackiej. Nieprzyjaciel ostrzelał ich z różnych stron tak, że zaledwie mieli czas schronić się w tym domu i zabarykadować, zostawiając po drodze kilku rannych i kilku zabitych.

Zaparłszy drzwi jak było można, rzucili się nasi do okien na dole i na pierwszym piętrze, i rozpoczęli żywy ogień przeciw napastnikom. Ci jednak zbliżali się w szyku, zachodząc półkolem i odpowiadając równie silnym ostrzałem.

Włoskim oddziałem dowodziło dwóch niższych oficerów i kapitan, wysoki, stary, chudy i surowy, z siwymi wąsami i z siwą czupryną. Był z nim mały dobosz, rodem z Sardynii, chłopak nieduży, który miał ponad czternaście lat, ale tak drobny, że wyglądał ledwo na dwanaście, ze smagłą, prawie oliwkową twarzą i czarnymi, błyszczącymi oczyma. Kapitan kierował obroną z izby na pierwszym piętrze, rzucając krótkie rozkazy jak strzały z pistoletu, a w jego marsowym obliczu nie widać było żadnego wzruszenia.

Dobosz, trochę pobladły, zwinny w ruchach, skoczył na stół i wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje za oknem. Poprzez dym ujrzał białe mundury austriackie zbliżające się z wolna przez pola.

Dom stał na urwistym wzgórzu, na samym wierzchołku, zaś po najbardziej stromej stronie wzgórza miał tylko jedno małe okienko w izdebce pod samym dachem. Może też i dlatego Austriacy nie ostrzeliwali tej strony domu, prażąc ogniem front i oba boki.

Był to ogień prawdziwie piekielny: grad ołowiu, który dziurawił mury i strącał dachówki, wewnątrz zaś gruchotał sufity, sprzęty, drzwi i okna, ciskając w powietrze kawały drewna, chmuiry wapna, ułamki cegiel i szkła, świszcząc, skacząc, rwąc na strzępy, co na drodze, że głowa pękała od trzasku. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy strzelających z okien upadał w tył na posadzkę, a wtedy przenoszono go na bok. Wielu z nich dźwigało się znowu i chwiejąc, przechodziło z izby do izby, rękoma przyciskając rany. W kuchni leżał już jeden zabity, z roztrzaskanym czołem. Tymczasem nieprzyjaciel zacieśniał oblężenie.

Aż nagle kapitan, który dotychczas był niewzruszony, zaniepokoił się i wyszedł pośpiesznie z izby, prowadząc za sobą sierżanta. Za chwilę przybiegł sierżant, zawołał małego dobosza i dał mu znak, żeby szedł za nim. Weszli na puste poddasze, gdzie kapitan pisał coś ołówkiem na arkuszu papieru, oparty przy małym okienku, przy którym wisiał sznur od studni.

Skończywszy pisać, kapitan złożył papier i patrząc na chłopca wzrokiem, przed którym drżeli wszyscy jego żołnierze, zawołał:

- Doboszu!

Dobosz przyłożył palce do skroni.

- Masz odwagę? - zapytał kapitan, nie odrywając od niego wzroku.

Oczy chłopcu rozbliły.

- Mam, kapitanie!

- Patrz tam! - rzekł kapitan, pociągnawszy go do okienka. - Widzisz, tam w dole, blisko pierwszych domów w Villa Franca, te błyski bagnetów! Tam stoją nasi. Bierz papier, chwyć się sznura, spuść się okienkiem, przeleć zbocze wzgórza, pole, dobiegnij do naszych i daj tę kartkę pierwszemu oficerowi, jakiego zobaczysz! Rzucaj pas i tornister!

Dobosz w mgnieniu oka odpiął pas i tornister, wsunął papier za pazuchę, sierżant przerzucił sznur na zewnątrz i obu rękami trzymał górny jego koniec, a kapitan pomógł chłopcu przeleźć przez okienko.

- Słuchaj - rzekł. - Ocalenie całego oddziału zależy od szybkości twych nóg i od twojej odwagi!

- Może pan na mnie liczyć, kapitanie! - odpowiedział chłopak, trzymając się sznura.

- Pochyl się w biegu! - zawołał jeszcze kapitan, przytrzymując sznur razem z sierżantem.

- Ojej! Czemu nie? - odkrzyknął chłopiec.

- Niechże cię Bóg prowadzi!

Za chwilę dobosz był już na ziemi, sierżant ściągnął sznur, a kapitan, przyłgnawszy niemal wąsami do szyby okienka, ujrzał chłopca, jak zbiegał ze wzgórza. Już był pewien, że się uda, że chłopca nikt nie spostrzeże, kiedy kilka białych obłoczków dymu, wznoszących się z ziemi przed biegnącym i poza nim, przekonało go, że Austriacy spostrzegli małego dobosza i że strzelają do niego. Ale chłopiec pędził na skręcenie karku. Nagle padł.

- Zabity! - ryknął kapitan, ściskając pięści.

Nagle chłopiec zerwał się i pobiegł znowu.

- Ach, upadł tylko! - szepnął kapitan i odetchnął. Chłopak leciał co siły, ale trochę kulał.

„Skreślił nogę...” – pomyślał kapitan.

Jeszcze kilka obłoczków dymu podniosło się za chłopcem to tu, to tam, ale już w oddali.

Był ocalony.

Kapitan wydał okrzyk triumfu. Patrzył jednak za nim i drżał, bo każda chwila była droga. Jeśli nie dobiegnie jak najprędzej, z wezwaniem o natychmiastową pomoc, jego dzielni żołnierze padną jeden po drugim albo też będzie musiał wraz z nimi oddać się w niewolę.

A chłopiec biegł. Biegł czas jakiś jak wiatr, potem wolniej i mocno kulejąc. I znów się zebrał i biegł, ale znać było, że mu sił ubywa, i zatrzymywał się coraz, coraz częściej.

„Musiała go drasnąć jakaś kula” – pomyślał kapitan, z drżeniem prawie śledząc wszystkie jego ruchy i pobudzał go, mówił do niego, przynaglał, jak gdyby chłopiec mógł go słyszeć, mierząc rozognionym okiem przestrzeń między biegnącym a błyskami bagnetów, które dostrzegł w dolinie, wśród pszenicznych pól ozłoconych słońcem.

A tymczasem świst kul i huk strzałów wstrząsał izbami pod nimi, a rozkazy oficerów gwałtownie ścierały się z jękami rannych, trzaskiem sprzętów i łomotem cegieł.

– Dalej! Prędej! – krzyczał stary dowódca, ścigając wzrokiem biegnącego dobosza. – Leć! Spiesz się! Do licha! Znów się zatrzymał... Ach! Biegnie znowu!... Prędej!...

Wtem wszedł oficer, donosząc, że nieprzyjaciel, nie przerywając ognia, wywiesił białą chorągiew i wzywa obłązonych do podania się.

– Nie odpowiadać! – wrzasnął kapitan wściekle, nie odrywając oczu od biegnącego chłopca, który był już w dolinie, lecz nie biegł, tylko ledwie się włókł. – Pospiesz się!... Leć, nieszczęsny! – krzyczał kapitan, ściskając zęby i pięści. – Zgiń, trupem padnij, łotrze, ale doleć! Ach, tchórz!... Siadł znowu!...

A chłopiec, którego głowę wzniesioną widział ciągle ponad łanem pszenicy, rzeczywiście z oczu mu zniknął, jakby padł na zie-

mię. Po chwili znowu widział głowę dobosza, aż póki jej w oddale-
niu nie zakryły zboża.

Wtedy zbiegł gwałtownie ze schodów. Kule grzmiały na pię-
trze, izby pełne były rannych; niektórzy z nich kręcili się w kółko
jak pijani, czepiając się sprzętów kurczowo; ściany i podłogi zbryz-
gane były krwią; trupy zawały przejścia; młodszy porucznik
miał prawe ramię zdruzgotane strzałem, a dym i proch zakrywały
wszystko grubą chmurą.

- Odwagi! - krzyknął kapitan. - Nie ustępować! Stać w miej-
scu! Posiłki idą! Odwagi...

Tymczasem Austriacy przysunęli się jeszcze bliżej. Wyraźnie
teraz widać było ich złowrogie twarze, a przez huk strzałów dawa-
ły się słyszeć ich okrzyki, urągające małej załodze i grożące rzezią.

Kilku przerażonych żołnierzy cofnęło się od okna, ale sierżant
zastąpił im drogę i zawrócił z miejsca. Powoli ogień obleşonych
słabł, a zniechęcenie malowało się na wszystkich twarzach. Nie
sposób było przeciągać obronę.

Wtem kanonada austriacka zwolniła, a jakiś głos krzyknął naj-
pierw po niemiecku, a potem po włosku:

- Poddajcie się!

- Nigdy! - zaryczał kapitan z któregoś okna.

I na nowo zaczęła się strzelanina, jeszcze bardziej zajadła i mor-
derna niż przedtem. Kilku naszych żołnierzy znów padło.

Niejednemu już oknu zabrakło obrońców, a kapitan wołał zdu-
szonym rozpaczą głosem:

- Nie przyjdą! Nie przyjdą!

I biegał jak szalony, ściskając konwulsyjnie rękojeść szabli, go-
tów raczej umrzeć, niż się poddać. Wtem z poddasza zbiegł sier-
żant, krzycząc ile siły:

- Idą! Idą...

- Idą! - powtórzył stary dowódca, głosem nieprzytomnym
z radości.

Na ten okrzyk wszyscy, którzy jeszcze mieli resztkę ducha
w sobie, zdrowi, ranni, oficerowie, żołnierze rzucili się do okien,

a morderczy ogień zagrział jeszcze raz. Można było dostrzec niepokój, a potem zamieszanie wśród oblegających.

Kapitan zebrał garść ochotników w dalszej izbie, żeby zrobić wycieczkę i bagnetami odeprzeć Austriaków od wzgórza, po czym znów skoczył na schody.

Zaledwie wpadł do izby, kiedy usłyszano gwałtowny tętent, któremu towarzyszyło przeraźliwe: hura! – a z okien ujrzano dwu- i różnego rodzaju czapki karabinierów włoskich, szwadron kawalerii pędzący co pary w koniach i piorunowe błyski szabel kręcących w powietrzu młyńce i spadających na karki, na głowy...

W tej chwili ochotnicy wypadli z pochylonymi bagnetami, a nieprzyjacielskie szeregi zachwiały się, zmieszaly i zaczęły uciekać w popłochu. Wkrótce potem plac boju został oczyszczony, dom wolny, a dwa bataliony włoskiej piechoty i dwa działa zajęły wzgórze.

Stary kapitan, złączywszy się ze swoim regimentem, walczył jeszcze wraz z tą garstką żołnierzy, jaka mu została. Jakaś zabłąkana kula zraniła go lekko w lewą rękę w czasie starcia na bagnety.

Dzień skończył się triumfem naszych. Ale nazajutrz walka rozgorzała na nowo, Włosi, pomimo nadludzkich wysiłków, zostali zwyciężeni przez przeważające siły austriackie, zaś rankiem 27 zaczęli smutny odwrót w stronę Mincio.

Dzielny kapitan, choć ranny, szedł pieszo razem z żołnierzami, znużony i milczący, a przybywszy pod wieczór do Quito nad Mincio, natychmiast zaczął szukać swego porucznika, który jako ranny został wcześniej zabrany przez ambulans. Wskazano mu kościół, w którym był urządzony prowizorycznie szpital wojenny. Wszedł. Kościół przepelniony był rannymi, których ułożono w dwóch szeregach na łózkach i na materacach leżących wprost na posadzce. Uwijało się tutaj dwóch lekarzy i kilku pielęgniarzy, a z różnych stron słyhać było stłumione krzyki i jęki.

Kapitan zatrzymał się na progu i patrząc dokoła, szukał swojego porucznika, gdy wtem jakiś cienki i słaby głos zawołał tuż przy nim:

- Panie kapitanie!

Obrócił się - był to mały dobosz.

Leżał wyciągnięty na łóżku, okryty czerwoną firanką z kościelnego okna, ręce i ramiona miał odkryte, twarz bladą i wychudłą, ale oczy zawsze błyszczące jak czarne perły.

- To ty, chłopcze? - zawołał kapitan zdumiony. I zaraz dodał surowym głosem: - Brawo! Spełniłeś powinność.

- Zrobiłem, co mogłem. Nic wielkiego... - odrzekł mały dobosz.

- Byłeś ranny - rzekł kapitan, szukając wzrokiem swego oficera na sąsiednich łóżkach.

- A cóż robić! - odpowiedział chłopiec, któremu odwagi do mówienia przydawała ogromna radość, że dostał pierwszą, i to prawdziwą ranę, bez czego nie śmiałyby oczywiście ust otworzyć wobec kapitana. - Chociaż pochylałem się, jak mogłem i tak mnie zaraz zobaczyli. Doleciałbym o dwadzieścia minut wcześniej, żeby mi nie wpakowali kulki. Szczęście jeszcze, że zaraz znalazłem adiutanta ze sztabu i że mogłem mu oddać tę kartkę. Ale niech lichy porwie, jaką miałem drogę! W gardle mi zaschło, umierałem z pragnienia, bałem się, że już nie dolecę; płakałem z wściekłości, myśląc, że każda minuta opóźnienia dla tych tam, co walczą na wzgórzu... No i jakoś się dowlokłem. Chwała Bogu! Ale, z przeproszeniem pana kapitana! Pan kapitan ma rękę skrwa-wioną...

Istotnie, ze skaleczonej ręki kapitana, spod zrobionego naprędce opatrunku, sączyło się kilka kropel krwi po jego palcach.

- Ja panu kapitanowi mocniej obwiążę! Pan kapitan pozwoli...

Kapitan podał lewą rękę chłopcu, a prawą wyciągnął, aby mu pomóc odwiązać zbyt luźny węzeł bandaża i poprawić go.

Ale chłopiec zaledwie głowę uniósł od poduszki, zbladł mocno i opadł znów na nią.

- Dość już, dość! - rzekł kapitan, widząc to, i cofnął zawiązaną rękę, którą mały dobosz chciał przytrzymać. - Pamiętaj teraz

o sobie, zamiast o innych, bo nawet małe draśnięcie może mieć złe skutki, kiedy je zaniedbasz.

Chłopiec wstrząsnął głową.

- O, musiałeś, biedaku, niemało krwi stracić - dodał kapitan, spojrzawszy na niego uważnie - kiedyś taki słaby!

- Dużo krwi?... Eh, panie kapitanie, żeby tylko tyle! Niech no pan kapitan spojrzy!

I ściągnął okrycie.

Kapitan cofnął się o krok, przejęty zgrozą.

Mały dobosz miał już tylko jedną nogę, prawą. Lewą amputowali mu aż do kolana, krwawe szmaty owijały tę straszną ranę...

W tej chwili przechodził lekarz wojskowy, mały człowieczek, tłusty, bez surduta, tylko w kamizelce.

- A, kapitanie - mówił szybko, zbliżając się do małego dobosza - to paskudny przypadek! Noga mogłaby być na pewno wyleczona, i to w najkrótszym czasie, gdyby jej chłopak nie sforsował w tak głupi sposób. Ale co z takim?... Ranny był, a leciał... Przyszło zapalenie, gangrena i trzeba było uciąć. No, ale chłopak zuch! To trzeba mu przyznać. Żeby zapłakał, żeby zakrzyknął, nie! Najdzielniejszy włoski chłopak, jakiego kiedykolwiek operowałem, słowo honoru! Dobra w nim krew!

I spiesząc się, odszedł.

A kapitan zmarszczył wielkie siwe brwi i utkwił spojrzenie w chłopcu, naciągnawszy na niego przykrycie, po czym, jakby mimowolnie, wpatrzony w małego dobosza, podniósł rękę do głowy i zdjął kepi.

- Panie kapitanie! - wykrzyknął zdumiony chłopiec. - Co pan kapitan robi?... Przede mną!

A wtedy ów szorstki żołnierz, który nigdy łagodnego słowa nie wyrzekł do swoich podwładnych, odpowiedział wzruszonym głosem:

- Jestem tylko kapitanem, a ty... bohaterem! - To mówiąc, wziął w ramiona małego dobosza i przytulił go do serca.

Naturalnie, wypracowanie o ojczyźnie też najlepiej napisał Derossi. Ale tymczasem Vatini spodziewał się na pewniaka, że dostanie pierwszy medal.

Lubiłem dotąd Vatiniego, choć jest trochę próżny i zbyt wymuskany, ale teraz obrzydł mi, kiedy siedząc z nim w jednej ławce, widzę, jak zazdrości Derossiemu. Chce z nim rywalizować, uczy się, stara, ale i tak nie może mu dorównać pod żadnym względem, bo Derossi jest z każdego przedmiotu dziesięć razy lepszy. Vatini aż palce gryzie. Karol Nobis też zazdrości Derossiemu, ale ma przynajmniej tyle dumy, że tego nie pokazuje po sobie. Vatini zaś zdradza się co chwila, skarży się w domu i opowiada, że nauczyciel jest wobec niego niesprawiedliwy. Kiedy Derossi odpowiada na pytanie tak szybko i dobrze jak zawsze, robi się zły na twarzy, spuszcza głowę, udaje, że nie słyszy – i zmusza się do śmiechu. Ale nie jest to szczyry śmiech. A że wszyscy o tym wiedzą, więc jak tylko nauczyciel pochwali Derossiego, zaraz patrzą na Vatiniego, który wygląda, jakby pieprz zgryzł, a Mularczyk robi na niego swój zajęczy pyszczek.

Na przykład dzisiaj... Wchodzi nasz pan i wyczytuje stopnie z egzaminów.

– Derossi: dziesięć piątek, pierwszy medal w klasie!

Nagle Vatini kichnął jak z moździerza, żeby zagłuszyć słowa nauczyciela. Nauczyciel natychmiast zrozumiał jego intencję i powiedział:

– Vatini! – rzekł. – Nie dopuszczaj do siebie węża zawiści. Ten gad niszczy mózg i psuje serce.

Wszyscy spojrzeli na niego, oprócz Derossiego. Vatini chciał coś odpowiedzieć, ale nie mógł. Siedział jak skamieniały i aż pobladł. Dopiero później, kiedy nauczyciel zajął się lekcją, patrząc, a Vatini pisze wielkimi literami na kartce: „Nie zazdroszczę tym, którzy dostają pierwsze medale przez protekcję i przez niesprawiedliwość”. Chciał posłać tę kartkę Derossiemu. Nagle

spostrzegłem, że sąsiedzi Derossiego coś knują, szepczą między sobą, a jeden wyciął szczyrykiem wielki medal z papieru, na którym namalował czarnego węża. Vatini tego nie widział. Kiedy nasz pan wyszedł, sąsiedzi Derossiego podnieśli się z ławki i poszli uroczyście ofiarować Vatiniemu papierowy medal. Cała klasa czekała na awanturę. Vatini cały drżał. A wtem Derossi krzyknął:

- Dajcie mi ten medal!

A oni:

- Dobrze! Jeszcze lepiej! Sam powinienes mu go ofiarować!

Derossi wziął medal i podarł go na drobne kawałki. W tym momencie właśnie nauczyciel wrócił i wzięliśmy się do lekcji. Miałem Vatinię na oku. Zaczerwienił się ze wstydu, wziął tę kartkę, jakby niechcący, zwinął, włożył w usta, pożuł, a potem wypluł pod ławkę. Przy wyjściu, przechodząc koło Derossiego, Vatini, trochę zmieszany, upuścił bibułę. Derossi, uprzejmy jak zawsze, podniósł ją, włożył mu do tornistra i pomógł zapiąć.

Vatini nie śmiał podnieść oczu.

Matka Frantiego

28, sobota

Niepoprawny ten Vatini! Wczoraj na lekcji religii, w obecności dyrektora, nauczyciel zapytał Derossiego, czy umie na pamięć te dwie zwrotki z naszej książki z wierszami, które zaczynają się tak:

*Gdzie tylko zwrócę spojrzenie,
Wszechmoc Twą widzę, o Boże...*

Derossi odpowiedział, że nie umie, a Vatini natychmiast:

- Ja umiem! - I uśmiechnął się złośliwie, zadowolony, że choć raz wie coś lepiej niż Derossi.

Ale nie udało mu się wyrecytować wiersza, bo nagle weszła do klasy matka Frantiego, wzburzona, z rozwichrzonymi siwymi włosami, obsypana śniegiem, popychając przed sobą syna, który na cały tydzień był wydalony ze szkoły. Był to przejmujący widok. Biedna kobieta zawołała błagalnie do dyrektora:

- Panie dyrektorze, bardzo pana proszę o przyjęcie go z powrotem do szkoły! Już od trzech dni jest w domu, ukrywałam go dołąd, jak mogłam, ale niech by się, Boże uchowaj, ojciec dowiedział o wszystkim, zabiłby go chyba. Już sama nie wiem, co mam robić!

Dyrektor usiłował wyprowadzić biedną matkę z klasy, ale nie chciała wyjść, gorzko płacząc i prosząc dalej:

- Gdyby pan wiedział, ile już wycierpiałam przez mojego syna! Niech mu pan przebaczy ten raz jeszcze, ten ostatni raz! Byłby chyba z kamienia, gdyby się nie poprawił... Chciałabym, żeby się poprawił... - tu wybuchnęła płaczem - bo to przecież moje dziecko, bo go kocham, bo umarłabym z rozpacz... Proszę go przyjąć, jeszcze ten raz, żeby się nie stało nieszczęście...

Zakryła oczy rękami i płakała. Franti stał ze spuszczonym wzrokiem, nieruchomy.

Dyrektor spojrział na niego, postąpił chwilę, jakby się namyślał, a potem rzekł:

- Franti, idź na swoje miejsce!

Wtedy jego mama zaczęła dziękować, nie pozwalając dyrektorowi dojść do słowa. Jeszcze przy wyjściu wołała:

- Synu, pamiętaj, dziecko! Zachowuj się dobrze! Dziękuję! Do widzenia panu!

Spojrziała jeszcze raz błagalnie na syna od progu i wyszła, zbierając szal, który jej spadł, blada, pochylona, z trzęsącą się głową, a gdy schodziła ze schodów, słyszeliśmy jej głuchy, ciężki kaszel.

Wtedy spojrział dyrektor w twarz chłopca i wśród milczenia całej klasy rzekł głosem, od którego zdrżeliśmy:

- Franti! Zabiłeś swoją matkę.

Wszystkie oczy zwróciły się na Frantiego. A ten niegodziwiec się uśmiechał...

...Piękne to było z twojej strony, Henryku, że rzuciłeś mi się na szyję po powrocie z religii. Usłyszałeś od nauczyciela wielkie i pocieszające słowa! Bóg, który nas sobie rzucił w objęcia, nigdy nas już nie rozłączy, synu! Gdy będę umierała i gdy twój ojciec będzie umierał, nie powiemy w rozpacz: „Już cię nigdy więcej nie zobacze!”. Bo my się spotkamy, zobaczymy się w innym, nowym życiu, w którym ten, co tu cierpiał, będzie pocieszony, a kto miłował na ziemi, odnajdzie drogę sobie duchy w świecie, gdzie nie ma winy, płaczu ani śmierci.

Na to wszakże nowe, lepsze życie trzeba zasłużyć. Słuchaj, dziecko! Każdy twój dobry czyn, każde poruszenie serca dla tych, którzy cię kochają, każde przychylnie uczucie dla twych przyjaciół, każda twoja szlachetna myśl są jak gdyby porywem tam, w górę, w ten lepszy świat. I porywem, który cię tam wznosi, jest każdy ból, każde cierpienie, bo każde z nich zmazuje jakąś winę, a każda łza zmywa jakąś plamę...

Postanów sobie, drogie dziecko, być lepszym każdego dnia. Kochać bardziej dziś, niż kochałeś wczoraj. Każdego ranka mów tak: „Muszę dziś zrobić coś takiego, żebym uczuł słodycz w sumieniu i żeby matka i ojciec cieszyli się ze mnie”. I proś Boga o siłę do spełnienia tego przedsięwzięcia: „Boże, chcę być dobry, szlachetny, odważny, uczciwy, szczerzy... Pomóż mi!”.

I módl się. Mów słowa proste i szczerze do Potęgi Najwyższej i do Nieskończonej Dobroci, która jest nad nami. Wznos serce i myśl do lepszego świata. Gdy widzę, jak mówisz pacierz, wydaje mi się niemożliwe, żeby cię ktoś nie widział i nie słyszał w niebie... Moja wiara w Najwyższą Potęgę, w ową Nieskończoną Dobroć wzmaga się, i pracuję z większym zapamię, z większą wytrwałością cierpię, z głębszą miłością przebaczam, i pogodniej myślę o śmierci...

O wielki i dobry Boże! Usłyszeć po śmierci głos matki, odzyskać dzieci, znów ujrzeć mego Henryka i objąć go w uścisku, który nie będzie już rozerwany nigdy, przez całą wieczność!

*Módl się, synu, módlmy się oboje, miłujmy się, bądźmy do-
brzy, żyjmy i umierajmy z tą nadzieją w duszy, moje drogie, moje
najdroższe dziecko!*

Twoja matka

Luty

Zasłużony medal

4, sobota

Dzisiaj rano sam rektor przyszedł rozdawać nam medale. Jest to starszy pan, ubrany na czarno, z siwą bródką.

Tuż przed dzwonkiem wszedł razem z dyrektorem do klasy i usiadł obok naszego pana. Zadał nam kilka pytań, po czym dał Derossiemu pierwszy medal. Zanim jednak wręczył następny, przez chwilę rozmawiał cicho z nauczycielem i dyrektorem, a nam wszystkim serca waliły i zadawaliśmy sobie wzrokiem pytanie, komu też da drugi.

A rektor powiedział:

- Na drugi medal zasłużył w tym tygodniu Piotr Precossi za ćwiczenia domowe, lekcje w szkole, za staranną kaligrafię, dobre sprawowanie i w ogóle za wszystko!

Obróciliśmy się wszyscy z radością w stronę Precossiego, a on wstał i był tak zmieszany, że nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje.

- Podejdź tu, chłopcze - rzekł rektor.

Precossi wyskoczył z ławki i podszedł do stołu nauczycielskiego. Rektor popatrzył ze współczuciem na jego bladą jak z wosku twarz, na drobne i mizerne ciało w pozawijanym i źle leżącym ubraniu, na te dobre, smutne oczy, spuszczone nieśmiało, z których odgadnąć można było smutny los chłopca, a potem, przypinając mu medal, powiedział do niego serdecznie:

- Oto twój medal, Precossi. Nikt nie jest godniejszy od ciebie, żeby go nosić. Daję ci go nie tylko za naukę i dobre chęci, ale za twoje serce, za twoje męstwo, za twój charakter, za postępowanie

godne dobrego, poczciwego syna. Prawda – zwrócił się do klasy – że za to także należy mu się medal?

– Tak ! Tak ! – zawołaliśmy wszyscy.

A Precossi zrobił ruch, jakby chciał coś przełknąć i powiódł po ławkach pełnym wdzięczności spojrzeniem...

– Idź więc, drogi chłopcze, i niech cię Bóg wspiera!

Rozległ się dzwonek na koniec dnia i nasza klasa zaczęła wychodzić jako pierwsza. Ledwie jednak wyszliśmy na korytarz, kogoż to widzimy? Kto stoi przy drzwiach i czeka? Ojciec Precossiego, ów kowal, jak zwykle blady, z wzrokiem mętnym, z włosami na oczach, z czapką na bakier, chwiejący się na nogach. Nauczyciel spostrzegł go natychmiast, szepnął coś rektorowi, który spieszenie wyszukawszy wzrokiem Precossiego, wziął go za rękę i poprowadził do ojca.

Chłopiec cały drżał. Nauczyciel i dyrektor także się zbliżyli, a my, cała klasa, otoczyliśmy ich kołem.

– Pan jest ojcem tego chłopca? – zapytał rektor kowala tak wesoło, jak gdyby byli przyjaciółmi. I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Cieszę się razem z panem z całego serca! Proszę spojrzeć – zasłużył sobie na drugą nagrodę wśród pięćdziesięciu czterech uczniów! Za ćwiczenia, za arytmetykę, za wszystko. To bardzo zdolny chłopiec i pełen najlepszych chęci. Wysoko zajdzie! To dobry chłopiec, lubiany i szanowany przez wszystkich. Może pan być z niego dumny, zapewniam pana!

Kowal słuchał najpierw z otwartą gębą i patrzył to na mówiącego, to na dyrektora, po czym spojrział na syna, który stał przed nim drżący, ze spuszczonej oczyma, i jakby przypomniał sobie i po raz pierwszy zrozumiał, co przez niego musiał wycierpieć ten biedny mały, i tę łagodność, i odwagę, z jaką cierpiał – drgnął, a na jego twarzy odmalowało się najpierw jakieś półprzytomne zdumienie, potem przejmujący ból, a wreszcie gwałtowna, pełna żalu tkliwość, i szybkim ruchem objąwszy głowę syna, przytulił ją do siebie. A myśmy się zaraz zaczęli do nich cisnąć, jeden przez drugiego. Ja zaprosiłem Precossiego do nas na czwartek, inni po-

klepywali go, dotykali jego medalu, i każdy mówił mu coś miłego. A kowal patrzył osłupiały, jak wyrwany ze snu, przyciskając ciagle do piersi głowę syna, który płakał ze szczęścia.

Postanowienie

5, niedziela

Ten medal Precossiego był moim wyrzutem sumienia. Tyle czasu minęło, a ja ani razu nie zasłużyłem na medal.

Za mało się uczę. Nie jestem z siebie zadowolony. I nasz pan, i ojciec, i mama – też nie są ze mnie zadowoleni. Nawet zabawa tak mnie już nie ciągnie jak dawniej, kiedy z ochotą się uczyłem, odrabiałem lekcje, a później pędziłem do swoich zabawek, jakbym ich nie widział przez miesiąc. Do stołu też nie siadam taki wesoły jak dawniej. Zawsze mam teraz w duszy jakiś cień, a wewnętrzny głos ciagle mi mówi: „Źle idzie! Źle idzie!”.

Kiedy patrzę wieczorem, jak przez plac z gromadą innych robotników idą z roboty chłopcy, przemęczeni, a jednak weseli, spieszący na kolację do domu, kiedy słyszę, jak się śmieją, jak głośno rozmawiają, jak poklepują się po plecach czarnymi od węgla albo białymi od wapna rękami, i pomyślę, że pracowali od świtu aż do tej pory, cały dzień stojąc to na dachu, to przed ogniskiem kuźni, to w wodzie w podziemnych szybach, za całe pożywienie mając tylko po kawałku chleba – to mi tak jakoś wstyd, że nie śmiem podnieść oczu! Bo cóż ja? Przez cały ten czas ledwo nabazgrałem jakieś cztery kartki – i to niechętnie.

Strasznie jestem zły na siebie! Dobrze też widzę, że mój ojciec jest w złym humorze. Chciałby mi powiedzieć, że go zasmucam, ale mu żal i jeszcze czeka... Kochany tato, ty tyle pracujesz! Wszystko, co jem, w co się ubieram, z czego się uczę i czym się bawię, to owoc twojej pracy – a ja nic nie robię!

Ach, nie. To zbyt niesprawiedliwe i za bardzo boli! Jeszcze dzisiaj, zaraz, zabiorę się do nauki jak Stardi! Zacisnę pięści i zęby,

i całą siłą mojej woli i mojego serca zacznę pracować. Przewycięzę wieczorne ziewanie, zerwę się wcześniej rano z łóżka, będę sobie wbijał do głowy lekcje bez wytchnienia, będę walczył z lenistwem bez pardonu, żeby tylko raz skończyć to obrzydliwe, beczynne i rozlazłe życie, które mnie psuje, a moich bliskich zasmuca.

Kolej żelazna

10, piątek

Wczoraj przyszli do nas Precossi i Garrone. Ale było przyjęcie! Choćby byli synami książąt, nie mogło być lepsze. Garrone był u mnie po raz pierwszy, przede wszystkim dlatego, że jest trochę dzikus i zresztą wstydzi się, że taki z niego dryblas, a jeszcze siedzi w trzeciej klasie. Gdy tylko odezwał się dzwonek, poszliśmy wszyscy otworzyć drzwi. Crossi nie przyszedł, bo jego ojciec nareszcie po sześciu latach wrócił z Ameryki. Mama zaraz uściskała Precossiego, a ojciec przedstawił jej Garronego, mówiąc:

- Oto Garrone! To nie tylko dobry chłopiec, ale prawdziwy rycerz i prawy człowiek!

A Garrone skłonił swą wielką rozczochraną głowę i uśmiechnął się do mnie ukradkiem.

Precossi miał na piersi medal i był bardzo wesoły i szczęśliwy, ponieważ jego ojciec znowu zabrał się do roboty i już od pięciu dni nie pił. Ciągle chciał mieć syna przy sobie i zupełnie się zmienił.

Zaraz zaczęliśmy się bawić; powyciągałem wszystko, co tylko mam.

Precossi stał w zachwycie przed moją koleją żelazną, która ma lokomotywę i jedzie sama przez pokój, jak się ją nakręci. Nigdy jeszcze nie widział takiej zabawki i wprost pożerał oczami czerwone i żółte wagoniki, które toczyły się za lokomotywą. Dałem mu klucz do nakręcania, żeby się pobawił. Ukłąkł, nakręcił i nie mógł oderwać oczu od kolejki. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby się czermsz tak cieszył.

„Przepraszam... przepraszam...” – powtarzał w kółko i zasłaniał rękami lokomotywę, żebyśmy jej nie zatrzymali, a wagoniki ustawiał i przestawiał ostrożnie, jakby były ze szkła, wycierał je co chwila i oglądał, to z dołu, to z góry, uśmiechając się radośnie do siebie.

Staliśmy wszyscy i patrzyliśmy na niego. Na tę cienką szyję, na uszy, które widziałem kiedyś zakrwawione, na ten kubrak z podwiniętymi do łokcia rękawami, z których wysuwały się wątle ręce, które nieraz musiały osłaniać od uderzeń jego bladą twarzą... Tak mi go było szkoda, że oddałbym mu bez żalu wszystkie moje zabawki, wszystkie książki, odjąłbym sobie od ust ostatni kawałek chleba, żeby mu dać, ściągnąłbym z siebie ostatnie ubranie, żeby go ubrać i jeszcze bym go uściskał i ucałował.

„Przynajmniej dam mu tę kolej – pomyślałem sobie. – Muszę się tylko zapytać taty, czy pozwoli”.

W tej chwili poczułem, że ktoś mi wsunął kartkę do ręki. Spojrzałem – była napisana ołówkiem przez mojego ojca:

„Precossi jest zachwycony twoją kolejką. On nie ma żadnych zabawek. Czy nie chciałbyś mu sprawić radości, Henryku?”

Natychmiast zebrałem oburącz lokomotywę i wagony, podałem Precossiemu i powiedziałem:

- Weź, to dla ciebie!

Patrzył na mnie, słuchał, ale nie rozumiał.

- To twoje – powtórzyłem. – Daję ci to!

A on spojrzał w osłupieniu na mojego ojca i na moją mamę, i zapytał:

- Ale dlaczego?

Więc mój tata powiedział:

- Henryk daje ci to dlatego, że jest twoim przyjacielem, że cię bardzo lubi i że w ten sposób chce uczcić twój medal, drogi chłopcze.

A Precossi, nie mogąc nadal wyjść ze zdumienia, zapytał nieśmiałym głosem:

- I... mogę to zabrać... do domu?

Więc my wszyscy:

- Oczywiście, że możesz! Jasna sprawa, że możesz!

Ale kiedy wieczorem żegnaliśmy się i już był w progu, jeszcze nie mógł uwierzyć i wyjść z tym wszystkim. Był taki rozczulający w tym swoim wahaniu i taki szczęśliwy! Z dziesięć razy powtórzył „przepraszam”, a jego usta drżały i uśmiechały się jednocześnie.

- Przyjdź kiedyś do kuźni - rzekł mi na odchodnym. - Zobaczysz, jak pracuje mój tata. I dam ci gwoździ...

Tymczasem mama przypięła do kurtki Garronego bukietek, żeby go zaniósł w jej imieniu swojej mamie. A Garrone swoim grubym głosem rzekł:

- Dziękuję - i nawet nie podniósł brody. Ale w jego wzroku błyszczała szlachetność.

Pycha

11, sobota

I pomyśleć tylko, że Karol Nobis otrzepuje sobie z obrzydzeniem rękaw, kiedy przechodząc, dotknie go Precossi... To dopiero pyszałek, co się nadyma, bo jego ojciec jest bogaty. Ale ojciec Derossiego też jest przecież bogaty! Nobis chciałby mieć ławkę tylko dla siebie, tak się boi, żeby się kto nie otarł o jego ubranie. Każdego mierzy wzrokiem od stóp do głów i ma zawsze lekceważący uśmiech na ustach. A niech Bóg broni, żeby go któryś trącił, gdy wychodzimy parami ze szkoły. O każde głupstwo zaraz rzuca w twarz przykre, obraźliwe słowa albo grozi, że jego ojciec przyjdzie się wstawić za niego. A przecież jego ojciec dobrze mu natarł uszu wtedy, kiedy to nazwał gałganiarzem syna węglarza.

Nie widziałem jeszcze tak złego chłopaka. Nikt się do niego nie odzywa, nikt się z nim nie żegna przy wyjściu i nikt mu nie podpowiada, jak nie umie lekcji.

A on nikogo nie może ścierpieć, a szczególnie lekceważy Derossiego, dlatego, że prymus, no i Garronego - ponieważ cała klasa

go uwielbia. Derossi nawet nie patrzy na niego, bo ma go w poważaniu, a Garrone, kiedy mu kto powtórzy drwiny Nobisa, powiada:

- Taka głupia pycha nawet splunięcia niewarta.

Ale raz Coretti, kiedy Nobis wyśmiewał jego czapkę z kociego futerka, rzekł mu:

- Słuchaj no! Do Derossiego idź i od niego ucz się być panem!

Wczoraj poskarżył się nauczycielowi, że Kalabryczyk go potrącił. Nauczyciel pyta Kalabryczyka:

- Czy zrobiłeś to umyślnie?

A ten z całą szczerością odpowiada:

- Nie, proszę pana, nieumyślnie!

Więc nauczyciel:

- Zanadto jesteś obrażalski, Nobis.

A on z tą swoją wyniosłą miną:

- To ja to powiem swojemu tacie!

Nauczyciel wreszcie się rozgniewał:

- Owszem, powiedz! Tak samo ci uszu natrze, jak ci już natarł.

A poza tym wiedz, że w szkole tylko nauczyciel sądzi i karze.

Ale zaraz ochłonawszy, dodał miękkiem głosem:

- Słuchaj, Nobis. Zmień to swoje niemiłe obejście. Bądź grzeczny, uprzejmy i dobry dla kolegów. Widzisz przecież, że są między nimi chłopcy różnych stanów, synowie bogatych rodziców i biednych robotników, a wszyscy się przyjaźnią, żyją po bratersku i widzisz, jak im z tym dobrze. Dlaczego nie postępujesz tak, jak inni? Niewiele potrzeba, żeby cię wszyscy polubili i zobaczyłbyś, jak by ci z tym było miło. No i jak? Nie masz mi nic do powiedzenia?

A Nobis, który stał ze swą lekceważącą miną, odrzekł zimno:

- Nie, proszę pana

- Siadaj - powiedział nauczyciel. - Żal mi cię. Jesteś chłopcem bez serca.

I wszystko wydawało się skończone, gdy nagle Mularczyk, który siedzi w pierwszej ławce, zwrócił swoją okrągłą twarz do Nobisa, siedzącego w ostatniej i zrobił tak znakomity i pocieszny zajęczy pyszczek, że cała klasa gruchnęła śmiechem.

Pan krzyknął na niego, ale sam musiał zasłonić usta, żeby ukryć śmiech.

W końcu nawet Nobis się roześmiał, ale kwaśno.

Ranni przy pracy

13, poniedziałek

Ten Nobis jest nie lepszy od Frantiego. Ani jednego, ani drugiego nie poruszył okropny widok, jakiego byliśmy dzisiaj świadkami. A było tak:

Po wyjściu ze szkoły przystanęliśmy na chwilę z ojcem, żeby popatrzeć, jak kilku pierwszaków na czworakach odgarnia czapkami i pelerynami kawałki lodu, żeby woda mogła prędzej ściekać, kiedy nagle, w głębi ulicy, pokazał się tłum ludzi. Szli szybko, twarze mieli zamrzwione i przerażone, mówili ściszonymi głosami. Widać było wśród nich straż miejską, a za nią dwóch mężczyzn dźwigających nosze. Chłopcy zbiegli się ze wszystkich stron, a tłum zbliżał się w naszą stronę. Na noszach leżał wyciągnięty człowiek, blady jak trup, z głową zwieszoną na ramię, z rozwichrzonymi i zakrwawionymi włosami, a krew leciała mu się z ust i z uszu. Przy noszach szła kobieta z dzieckiem na ręku, która wyglądała jak obłąkana i od czasu do czasu krzyczała:

– Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Za kobietą dreptał mały chłopczyk z książkami pod pachą i głośno płakał.

– Co się stało? – zapytał mój ojciec.

– To murarz – odrzekł ktoś z bliżej stojących – spadł z czwartego piętra przy budowie domu.

Tymczasem ludzie idący z noszami stanęli. Wiele osób odwróciło oczy, nie mogąc znieść straszego widoku. Dostrzegłem naszą dawną nauczycielkę, jak podtrzymuje inną, z pierwszej klasy, która omal nie zemdląła. Wtem ktoś trącił mnie łokciem.

Był to Mularczyk, blady i cały drżący. Z pewnością musiał myśleć o swoim ojcu. Też zaraz o nim pomyślałem. Ja przynajmniej,

siedząc w szkole, mogę być spokojny, bo wiem, że mój ojciec jest w domu i pisze przy swoim biurku, z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa; ale ilu moich kolegów musi się lękać, wiedząc, że ich ojcowie pracują w tym czasie na najwyższych rusztowaniach albo w pobliżu rozpędzonych kół jakiejś maszyny, i że jeden ruch, jeden fałszywy krok może sprowadzić na nich śmierć. To tak, jakby byli synami żołnierzy bijących się na wojnie. Mularczyk tymczasem patrzył, patrzył i drżał coraz mocniej. Mój tato spostrzegł to i rzekł:

- Idź do domu, chłopcze! Idź prędko do ojca, przekonaj się, że jest zdrów i cały. Idź, dziecko!

I Mularczyk poszedł z wolna, oglądając się co chwila. Tłum poruszył się znowu, a nieszczęśliwa kobieta przy noszach zawołała rozdzierającym głosem:

- Nie żyje! Umarł! Nie żyje!

- Ależ żyje! Nie umarł! Nie! - mówili ludzie, żeby ją pocieszyć.

Kobieta nie zważała jednak na nich, targając włosy w rozpacz.

Wtem usłyszałem oburzony głos:

- Śmiejesz się?

I w tej samej chwili zobaczyłem jakiegoś pana z brodą, który patrzył prosto w twarz Frantiego, a Franti uśmiechał się jeszcze. Wtedy pan z brodą zrzucił mu laską czapkę z głowy i krzyknął:

- Odkryj głowę, hultaju, kiedy niosą rannego przy pracy!

Tymczasem tłum oddalił się już i pośrodku ulicy pozostała tylko krwawa smuga...

Więzień

27, piątek

Nie! Coś podobnego chyba się jeszcze nigdy nie zdarzyło!

Wczoraj poszliśmy razem z tatą w stronę Moncalieri, żeby obejrzeć willę, która była do wynajęcia na przyszłe lato. W tym roku nie jedziemy do Chieri. Okazało się, że klucze miał jeden nauczyciel, który był jednocześnie sekretarzem właściciela willi. Oprowadził

nas po całym domu, a potem zaprosił do swego pokoju i poczęstował pyszną lemoniadą. Na stole pomiędzy szklankami stał drewniany kałamarz, wysmukłego kształtu, bardzo szczególnie rzeźbiony. Widząc, że mój tata przygląda mu się, nauczyciel wyjaśnił:

- To pamiątka. Ten kałamarz ma ciekawą historię.

I zaczął nam opowiadać: Przed kilku laty, kiedy był nauczycielem w Turynie, chodził w zimie dawać lekcje więźniom. Lekcje odbywały się w więziennej kaplicy. Był to okrągły budynek, w którego nagich i wysokich ścianach znajdowały się kwadratowe okienka, zakratowane dwiema sztabami na krzyż. Każde z nich wychodziło na maleńką celę. Nauczyciel wykladał swoją lekcję, chodząc po zimnej i mrocznej kaplicy, a jego uczniowie stali za zakratowanymi oknami, więc w półmroku nie było widać nic więcej, jak tylko wynędzniałe i ponure twarze, potargane, siwe brody i nieruchome oczy zabójców i złoczyńców. Najważniej ze wszystkich słuchał tych lekcji więzień oznaczony numerem 78, który najwyraźniej bardzo pragnął z nich skorzystać i patrzył na nauczyciela wdzięcznym, pełnym szacunku wzrokiem.

Był to młodzieniec z czarnym zarostem, nie tak może zły, co nieszczęśliwy. Był stolarzem i kiedyś w przystępie szalonego gniewu tak nieszczęśliwie cisnął heblem w majstra, który go wciąż prześladował, że zadał mu śmiertelną ranę, za co został skazany na kilka lat więzienia.

Był tak zdolny, że w trzy miesiące nauczył się czytać i pisać, książek nie można mu było nastarczyć, a im więcej się uczył, tym stawał się łagodniejszy, lepszy i tym bardziej żałował swojego występku. Pewnego dnia, po skończeniu lekcji, dał znak nauczycielowi, żeby się zbliżył do okienka, i oznajmił mu ze smutkiem, że nazajutrz będzie wywieziony do Wenecji, aby odbyć resztę kary w tamtejszym więzieniu. Żegnając go, prosił pokornym, wzruszonym głosem, aby mógł dotknąć jego ręki. Nauczyciel wyciągnął dłoń, więzień ucałował ją, po czym rzekł: „Dziękuję! Dziękuję!” - i zniknął w swej celi.

Nauczyciel więcej go już nie zobaczył.

Minęło sześć lat.

- Całkiem zapomniałem o tym nieszczęśniku - ciągnął nauczyciel - kiedy wczoraj z rana przed samym moim progiem spotkałem się oko w oko z jakimś biednie ubranym nieznanym, z dużą, czarną, nieco już szpakowatą brodą, który odezwał się:

- Czy to pan jest tym a tym nauczycielem?

A ja na to:

- A kim pan jest?

- Jestem więźniem numer siedemdziesiąt osiem - odparł. - Pan mnie sześć lat temu nauczył pisać i czytać. Może pan pamięta, jak wyciągnął pan do mnie rękę na ostatniej lekcji? Odsiedziałem karę i teraz jestem tutaj, by prosić, żeby pan przyjął ode mnie tę małą pamiątkę... drobiazg, który zrobiłem w więzieniu... Niech mi pan nie odmawia, proszę!

Zaniemówiłem ze zdumienia. A on, myśląc, że nie chcę przyjąć jego pracy, popatrzył na mnie ze smutkiem, tak jakby mówił: „Sześć lat cierpienia i te męki nie zdołały oczyścić moich rąk?”. A w jego oczach było tyle bólu, że natychmiast wyciągnąłem rękę i przyjąłem dar. Oto on...

Spojrzeliliśmy na kałamarz. Zdawał się wyrzeźbiony ostrzem gwoźdźcia z nadzwyczajną cierpliwością i wytrwałym trudem. Rzeźba przedstawiała pióro leżące na zeszytcie, a dokoła był napis:

„Mojemu nauczycielowi. Pamiątka od numeru 78 - sześć lat”.

A pod spodem drobnymi literkami: „Praca i nadzieja”.

Wyszliśmy, pożegnawszy nauczyciela, który milczał wzruszony.

Przez całą drogę z Moncalieri do Turynu myślałem tylko o więźniu z przyciśniętą do okienka twarzą, o jego pożegnaniu z nauczycielem, o kałamarzu zrobionym w więzieniu, a potem to wszystko śniło mi się jeszcze w nocy. Rankiem też myślałem tylko o tym, nie przeczuwając nawet, jaka mnie dziś w szkole czeka niespodzianka.

Gdy tylko skończyłem zadanie z arytmetyki na comiesięcznym egzaminie, powiedziałem siedzącemu obok Derossiemu całą hi-

storię o więźniu i kałamarzu, Jak ten kałamarz wyglądał z piórem na zeszytcie i z tym napisem dokoła: „sześć lat!”. Ledwie to powiedziałem, Derossi poderwał się i zaczął spoglądać bystro to na mnie, to na Crossiego, synka zieleniarki, który siedział w ławce przed nami, zgarbiony nad zeszytem i zagłębiiony w swoim zadaniu.

- Cicho! - powiedział nagle Derossi stłumionym głosem, chwytając mnie za ramię. - Wiesz? Crossi opowiadał mi przedwczoraj, że taki właśnie kałamarz podpatrzył w ręku ojca, który wrócił z Ameryki. Kałamarz był jak wieżyczka, ręcznie rzeźbiony, z wyobrazeniem zeszytu i pióra. To ten sam! A te „sześć lat”, wiesz, co mówił, że jego ojciec jest w Ameryce, to on był w więzieniu! Crossi był wtedy zupełnie mały i nie pamięta! Matka kryła to przed nim i on o niczym nie wie... Pamiętaj, nie pisnij o tym nikomu ani słowa!

Oniemiałem, patrząc na zgarbione plecy Crossiego. A wtedy Derossi, który już skończył zadanie, przelazł pod ławką, usiadł przy Crossim, wziął mu z rąk opowiadanie miesięczne, które Crossi miał przepisać, żeby za niego odrobić tę pracę. Potem jeszcze na dodatek dał mu piórniki i ołówek. A mnie kazał dać słowo honoru, że nikomu nie piszę słowa. Kiedy wychodziliśmy ze szkoły, szepnął mi z pośpiechem:

- Jego tata był tu po niego wczoraj. Dziś też pewnie przyjdzie... Rób to samo, co ja, pamiętaj!

Wyszliśmy na ulicę. Ojciec Crossiego stał nieco na uboczu i czekał. Był to człowiek z czarną brodą, trochę już szpakowaty, lichy ubrany, z twarzą wynędzniałą i zadumaną. Derossi uściskał rękę Crossiego w taki sposób, że błądy człowiek musiał to widzieć, i rzekł głośno:

- Do jutra, Crossi! Do widzenia, stary! - po czym uściskał go serdecznie.

Ja za nim tak samo.

Ale wtedy Derossi nagle zaczerwienił się jak ogień. I ja także. Ojciec Crossiego patrzył na nas przenikliwie, a w jego spojrzeniu, chociaż przyjaznym, było tyle podejrzliwego niepokoju, że aż mróz przeszył mi serce.

Przy łóżu „taty”

Opowiadanie miesięczne

Pewnego dżdżystego marcowego poranka mały chłopiec w wieśniaczej odzieży, przemokły i zabłocony, z zawiniątkiem pod pachą, stanął przed odźwiernym „Szpitala pielgrzymów” w Neapolu. Zapytał o swego ojca, podając list, który przyniósł ze sobą. Chłopiec miał twarz pociągłą, smagłą, bladawą, z zamyślonymi oczyma i zawsze wpółotwartymi grubymi wargami, przez które widać było białe zęby. Przyszedł z wioski leżącej w okolicach Neapolu. Jego ojciec, który wyjechał przed rokiem z domu, żeby szukać zarobku we Francji, powrócił do Włoch i wylądował w Neapolu, gdzie nie spodzianie zachorował. Miał tylko tyle czasu, żeby w paru słowach zawiadomić rodzinę o powrocie i o tym, że leży w szpitalu. Jego żona, zrozpaczona tą wiadomością, a nie mogąc ruszyć się z domu, bo miała chorą córeczkę, a najmłodsze dziecko na ręku, wysłała do Neapolu najstarszego synka. Dała mu na drogę kilka soldów, żeby pilnował ojca, „tatusia”, jak tam mówią. I tak chłopczyzna przywędrował dziesięć mil piechotą i stanął w nieznanym mieście.

Odźwierny, rzuciwszy okiem na list, zawołał dozorcę i powiedział mu, żeby zaprowadził małego do ojca.

- Do jakiego ojca? - zapytał dozorca.

Chłopiec, drżąc całym, żeby nie dowiedzieć się czego złego, podał nazwisko. Ale dozorca nie przypominał sobie takiego nazwiska.

- Taki stary robotnik wędrowny? - zapytał.

- Robotnik - odrzekł chłopiec jeszcze bardziej zalęknionym głosem - ale nie bardzo stary. Wędrowny robotnik... Tak.

- Kiedy przyszedł do szpitala?

Chłopiec rzucił okiem na list.

- Z pięć dni temu będzie.

Dozorca stał chwilę, drapiąc się w głowę, po czym jakby nagle przypomniał sobie coś, rzekł:

- Aha! Już wiem! Czwarta sala, łóżko w rogu.

- A czy bardzo chory?... Jak się czuje? - zapytał trwożliwie chłopiec. Dozorca spojrział na niego i nie odpowiedziawszy na pytanie, rzekł:

- Chodź ze mną!

Wstąpili na schody, przeszli szeroki korytarz i stanęli w otwartych drzwiach sali, skąd było widać łóżka ustawione we dwa długie rzędy.

- Chodź! - powtórzył dozorca, wchodząc.

Chłopiec zebrał odwagę i szedł za nim, rzucając w prawo i w lewo wystraszone spojrzenia na mizerne, blade twarze chorych. Jedni z nich mieli oczy zamknięte i wyglądali, jakby już byli nieżywi, inni patrzyli przed siebie błyszczącym od gorączki, przerażonym wzrokiem, jeszcze inni jęczeli i skarżyli się jak dzieci. Sala była mroczna, powietrze przesycone ostrą wonią lekarstw; dwie siostry miłosierdzia kręciły się wokół chorych z flaszeczkami w rękę. Doszedłszy w głąb sali, dozorca zatrzymał się przy jednym z łóżek, rozsunął zasłonkę i rzekł:

- Oto twój ojciec!

Chłopak uderzył w płacz, wypuścił zawiniątko spod pachy i uchwyciwszy rękę chorego, bezwładnie leżącą na kołdrze, przytulił głowę do jego piersi. Chory nie poruszył się nawet. Chłopiec podniósł się, popatrzył na ojca i znowu wybuchnął płaczem, a wtedy chory zwrócił na niego oczy.

Biedny tata, jakże był zmieniony! Syn nigdy by go nie poznał. Posiwiały mu włosy, broda urosła, miał twarz spuchniętą, poczerwieniałą, z naciągniętą i silnie błyszczącą skórą, usta zgrubiałe, oczy ledwo widoczne, wszystkie rysy zupełnie zmienione. Tylko czoło i czarne łuki brwi zostały te same. Oddychał z trudem.

- Tatusiu! Mój tatusiu! - zawołał chłopczyzna. - To ja! Czy mnie poznajesz, tato? To ja, Szymuś, twój Szymuś... Przyszedłem ze wsi... mama mnie przysłała. Przyjrzyj mi się, tatusiu drogi! Przemów słowo!

Ale chory, popatrzywszy na niego uważnie, zamknął oczy.

- Tatusiu, co ci jest, tatusiu!... Ja jestem twój synek, Szymuś!...

Jednak chory nie poruszył się i tylko ciężko dyszał. Wtedy, płacząc, chłopiec przysunął sobie stołek, usiadł i czekał, nie odrywając oczu od twarzy ojca.

„Pewno doktor przyjdzie – myślał sobie – to mi coś powie”.

I pogрузzył się w smutnym rozmyślaniu, przypominając sobie, jak to się ojciec w świat wypuszczał, jak się żegnał z dziećmi na statku, jak go potem wyglądali wszyscy z dobrą myślą i jak przyszła wiadomość, że jest chory, i jak matka wtedy gorzko płakała... I znów przychodziły mu na myśl straszne rzeczy. Widział ojca swojego martwym, matkę w żałobie, całą ich gromadkę w nędzy...

Długo tak siedział znieruchomiał, aż poczuł lekkie dotknięcie ręki na ramieniu. Odwrócił się szybko: to była zakonnica.

– Co jest z moim ojcem? Na co jest chory? – zapytał w pośpiechu.

– To twój ojciec? – zapytała zakonnica.

– Tak, ojciec... Przyszedłem ze wsi... Co mu jest? Na co jest chory?

– Nie smuć się, chłopcze! Bądź dobrej myśli. Zaraz tu przyjdzie doktor.

I oddaliła się, nie mówiąc nic więcej.

W pół godziny potem usłyszał dzwonek i ujrzał wchodzącego do sali doktora z asystentem. Zakonnica i dozorca szli za nimi. Idąc przez długą salę, zatrzymywali się przy każdym łóżku. Biednemu chłopcu zdawało się, że nigdy chyba nie dojdą do jego ojca, a z każdym krokiem lekarza jego trwoga rosła wraz z oczekiwaniem.

Wreszcie stanęli przy sąsiednim łóżku. Lekarz był wysokim, przygarbionym nieco, już starszym człowiekiem. Miał poważną twarz. Gdy zbliżył się do ojca, chłopiec wstał ze stołka i nie mogąc powstrzymać łez, rozplakał się.

Starszy pan popatrzył na niego.

– To synek chorego – rzekła zakonnica – przyszedł ze wsi dziś rano.

Lekarz położył chłopcu rękę na ramieniu, po czym pochylił się nad chorym, pomacał puls, dotknął czoła i zadał kilka pytań siostrze miłosierdzia, która odpowiedziała:

– Bez zmian...

Wtedy lekarz zamyślił się, po czym rzekł:

– Podajemy to samo...

Tu chłopiec odważył się i zapytał drżącym głosem:

– Co jest mojemu ojcu?

– Uspokój się, dziecko! – rzekł doktor, kładąc mu znowu rękę na ramieniu. – Twój ojciec ma różę w twarzy. To niebezpieczna rzecz, ale jest jeszcze nadzieja. Pilnuj go. Zostań przy nim. Twoja obecność sprawia mu ulgę.

– Ale kiedy ojciec mnie nie poznaje! – zawołał chłopiec zrozpaczonym głosem.

– Ale cię pozna. Nie bój się! Może jutro cię pozna. Miejmy nadzieję i bądźmy dobrej myśli.

Chłopiec chciał się jeszcze zapytać o różne rzeczy, ale nie śmiał. Tymczasem lekarz poszedł dalej, a on rozpoczął swoje czuwanie przy chorym. Nie mogąc wiele pomóc, poprawiał mu kołdrę, dotykał delikatnie jego ręki, opędzał go od much, pochylał się nad nim za każdym stęknieniem, a kiedy siostra dawała choremu napój lub lekarstwo, odbierał od niej szklankę czy łyżeczkę. Zdarzało się, że chory otwierał oczy i patrzył na niego; ale nie dał dotąd żadnego znaku, że go pozna, chociaż spojrzenie jego zatrzymywało się na nim coraz dłużej, zwłaszcza gdy chłopiec, płacząc, zakrywał chusteczką oczy.

I tak minął pierwszy dzień.

Chłopiec przespał noc skulony na dwóch zestawionych w kącie sali krzesłach, a ledwo wstał świt, znów się zabrał do swojej posługi przy ojcu.

Tego dnia zdawało się, że spojrzenie chorego zaczyna być trochę przytomniejsze, że pieszczotliwe słowa dziecka budzą jakiś błysk wdzięczności w jego źrenicach. Raz nawet poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć. Kiedy po krótkim odrętwieniu znów otworzył oczy, zdawało się, że wzrok jego szuka małego opiekuna.

Doktor był tego dnia dwa razy przy chorym i zauważył w jego stanie pewną poprawę. Pod wieczór, zbliżając do nabrzmiałych ust ojca lekarstwo, chłopiec spostrzegł jak gdyby lekki uśmiech. Nabrał więc ducha i nadziei. Zaraz też, spodziewając się, że chory coś nie-

coś zrozumie z jego słów, zaczął mu opowiadać o matce, o małej siostrzyczce, o tym, jak to powrócą obaj do domu, i pełnym miłości głosem zaklinał ojca, żeby był dobrej myśli. A choć chwilami wątpił, czy jest rozumiany, mówił nadal, bo zdawało mu się, że chory z ulgą i przyjemnością słucha jego głosu, w którym brzmiało głębokie przywiązanie, smutek – i nadzieja. I tak minął drugi, i trzeci, i czwarty dzień wśród małych polepszeń i nagłych pogorszeń, a chłopiec tak był oddany swoim zajęciom, że ledwie dwa razy na dzień przełknął kawałek chleba z serem, który przynosiła mu zakonnica. Niemal nie widział i nie słyszał, co się dzieje w sali; ani umierających, ani pospiesznych kroków sióstr wśród nocy, ani rozpaczliwego łkania tych, co odchodzili stąd od swych bliskich bez żadnej nadziei, ani tych wszystkich bolesnych i strasznych scen życia szpitalnego, które w innych okolicznościach przykułyby go do ziemi niewymowną zgrozą.

Godziny i dni mijały, a on był ciągle tam, przy swoim ojcu, baczny, staranny, drżący przy każdym jęku, przy każdym westchnieniu chorego, żyjąc pomiędzy nadzieją, która dodawała mu siły, a zwątpieniem, które mu mroziło serce.

Ale piątego dnia stan chorego nagle się pogorszył.

Doktor przyszedł, popatrzał i zwiesił głowę, jakby chciał rzec, że wszystko skończone, a chłopiec opadł na stołek i wybuchnął łkaniem.

Wyplakał się biedak, po czym zaczął rozmyślać. Pocieszała go jedna rzecz. Bo mimo pogorszenia zdawało mu się, że chory jest jakby przytomniejszy. Coraz częściej patrzył na chłopca, z coraz widoczniejszym rozrzewnieniem; od nikogo nie chciał brać lekarstwa ani napoju, tylko od niego i coraz częściej poruszał z wysiłkiem ustami, jakby chciał przemówić. Nieraz czynił to tak wyraźnie, że syn chwycił go za rękę, podniecony nagłą otuchą, i wołał radośnie:

– Tatusiu! Drogi tatusiu! Niedługo już będziesz zdrowy! Wróćmy na wieś, do domu, do mamy!... Będziemy się wszyscy cieszyli! Niedługo!... Niedługo!...

Była czwarta po południu, kiedy w takim właśnie przystępie radosnej nadziei chłopiec usłyszał nagle przy drzwiach sali ciężkie kroki i silny głos, który mówił:

- Do widzenia, siostro!

Było to tylko kilka słów, a chłopiec drgnął i dech mu zamarł w piersiach. W tejże chwili do sali wszedł człowiek z dużym tobołkiem w rękę, a w ślad za nim zakonnica.

Chłopiec krzyknął przenikliwie, porwał się, lecz jakby wrósł w ziemię. Człowiek obejrzał się, popatrzył przez chwilę i krzyknąwszy gwałtownie: Szymuś! - rzucił się ku niemu. Malec padł w ramiona ojca, łkając, prawie bez tchu.

Zakonnice, dozorczy, asystenci, wszyscy zbiegli się i stali zdumieni. Chłopiec nie mógł przemówić ani słowa.

- Mój Szymuś! Mój Szymuś! - powtarzał ojciec i patrzył ze zdumieniem na łóżko chorego i znów ścisnął i całował syna.

- Powiedz mi - rzekł wreszcie - co to wszystko znaczy? Przecież ciebie zaprowadzili do innego łóżka! A ja spać po nocach nie mogłem, bo tu matka pisze: „Posyłam go”, a ciebie nie ma i nie ma. Odkąd ty tu jesteś, chłopcze?... Jak się to mogło stać? A ja ledwo się wygrzebałem!... Ale teraz, ho, ho!... A mama? A Kasia? A braciszek? Jakże się mają?... Ale po co my tu jeszcze w szpitalu! Chodźmy, chłopcze! Jezus, Mario! Kto by to powiedział!...

W końcu chłopiec ochłonął i opowiedział naprędce o domu, o rodzinie, po czym rzekł:

- Jaki ja jestem szczęśliwy! Jaki szczęśliwy! Jakie to były smutne dni! Jakie ciężkie! - I znowu całował ojca, nie mogąc się oderwać od niego. Ale jednak nie ruszał się z miejsca.

- No to chodźmy! - rzekł ojciec. - Jeszcze tej nocy zajdziemy do domu. Chodź!

I wziął chłopca za rękę.

Chłopiec odwrócił głowę i popatrzył na chorego.

- No idziesz czy nie? - zapytał ojciec zdziwiony.

Chłopiec raz jeszcze spojrzął na chorego, a ten w tym właśnie momencie otworzył oczy i też popatrzył na chłopca. A wtedy potok słów rzucił się chłopcu do ust z głębi duszy:

- Nie, tato! Zaczekaj... Nie mogę... Nie mogę... Ten starzec, widzisz... Od pięciu dni jestem przy nim. Ciągłe patrzy na mnie...

Myślałem, że to ty... Pokochałem go. Widzisz, jak patrzy na mnie... Dawałem mu pić, byłem ciągle przy nim... On jest bardzo chory... Miej cierpliwość, tato! Ja nie wiem... Ja nie mogę... Ja nie mam serca odejść tak od niego... zostawić... Jutro wrócę do domu... Trochę jeszcze pobędę przy nim tutaj. Widzisz, jak patrzy ciągle... Nie wiem, kto to jest, ale gdyby tak umarł... sam miałbyś do mnie żal... Pozwól mi zostać przy nim, tato, pozwól!...

- Dzielny malec! - zawołał asystent.

A ojciec stał, niepewny, co czynić, patrząc to na syna, to znów na chorego.

- Kto to jest? - zapytał wreszcie asystenta.

- Wieśniak jak i wy. Tak samo jak wy wracał z wędrówki i tego samego dnia trafił do szpitala. Przynieśli go nieprzytomnego. Jeszcze dotąd nie przemówił. Może i on ma gdzieś rodzinę, dzieci. Może mu się zdawało, że wasz chłopiec to jedno z jego dzieci.

A gdy tak mówił, chory patrzył na chłopca wytężonym wzrokiem.

- To zostań! - rzekł ojciec do Szymusia.

- Nie na długo już... - szepnął z cicha asystent.

- Zostań! - powtórzył ojciec. - Masz dobre serce, synku! Ja zaraz idę do domu, żeby jak najprędzej pocieszyć matkę. Masz tu talar na swoje potrzeby. Bądź zdrow! Bądź zdrow, dobre dziecko!

Uściskał go, popatrzył na niego z rozczuleniem, raz jeszcze ucałował go w czoło i poszedł.

Chłopiec zbliżył się do łóżka, a chory, patrzący dotąd z niepokojem, zdawał się uspokajać w uczuciu błogości i pociechy.

Tak więc Szymuś powrócił do swego zajęcia opiekuna nieznanego starca, nie płacząc już, ale z tą samą baczną tkliwością, z tą samą wytrwałością, co przedtem. I znowu poprawiał mu kołdrę, znowu głaskał jego rozpaloną rękę i słodkimi słowy pocieszał go, dodawał odwagi.

I tak go pilnował przez cały dzień, i przez noc pozostał przy jego łóżku, i przez dzień następny.

Ale choremu było coraz gorzej. Twarz jego okropnie posiniała, oddech był utrudniony, rzucał się, wydawał niezrozumiałe okrzyki, a wzrastająca puchlina zniekształcała mu twarz.

Podczas wieczornej wizyty doktor powiedział, że biedak nie przeżyje nocy. A wtedy Szymuś podwoił starania i oczu nie spuścił z niego. Chory też patrzył i patrzył na chłopca, i od czasu do czasu poruszał wargami, jakby chciał coś rzec, a wyraz niezmiernej czułości błyskał wtedy w jego rozszerzonych źrenicach. I tej nocy także chłopiec go nie odstępował ani na chwilę, póki świt nie zaczął szarzyć w oknach i nie pojawiła się na sali siostra.

Zaledwie jednak siostra podeszła do łóżka i rzuciła na chorego okiem, natychmiast zaczęła wołać lekarza dyżurnego i dozorcę, który przyniósł światło.

Zbliżył się lekarz dyżurny, spojrział i rzekł:

- Umiera.

Wszyscy milczeli. Chłopiec ujął rękę chorego, jakby chciał go uchronić od śmierci. Chory otworzył na chwilę oczy, spojrział na niego i znowu je zamknął... Ale chłopcu zdawało się, że w tej krótkiej chwili czuje uścisk jego ręki.

- Ścisnął mi rękę! - zawołał.

Lekarz pochylił się nad chorym, słuchając jego oddechu, po czym wyprostował się z wolna. Zakonnica zdjęła krucyfiks ze ściany.

- Umarł! - krzyknął z bólem chłopiec.

- Idź, dziecko! - rzekł lekarz. - Twoja święta praca już skończona. Idź i bądź szczęśliwy, bo zasługujesz na to. Niech cię Bóg błogosławi. Bądź zdrow!

A siostra, która oddaliła się przed chwilą, podeszła do Szymusia, trzymając bukietek fiołków, wyjęty ze stojącego na oknie kubka.

- Nie mam ci co dać, dziecko! - rzekła. - Weź chociaż te kwiatki na pamiątkę ze szpitala.

- Dziękuję! - odpowiedział, biorąc bukietek jedną ręką, a drugą ocierając oczy. - Ale ja mam tak daleko iść, że zgubiłbym go w drodze...

I rozwiąawszy kwiateczki, posypał je po łóżku, mówiąc:

- Zostawię je memu biednemu zmarłemu...

I zaraz żegnać się zaczął.

- Dziękuję, siostrzo! Dziękuję, panie doktorze!

Wtem zwrócił się do zmarłego:

- Żegnam cię... - Urwał, szukając w myśli, jakby go tu nazwać.

A wtedy, wprost z serca przyszło mu na usta słodkie imię, którym go przed pięciu dniami w łzach witał...

- Żegnam cię, biedny tatusiu!

Wziął swoje zawiniątko pod pachę i wolnym krokiem wyszedł ze szpitalnej sali. Świtało.

W kuźni

18, sobota

Wczoraj Precossi przyszedł mi przypomnieć, żebym obejrzał ich kuźnię, która jest przy naszej ulicy. Dzisiaj więc, wracając z ojcem ze szkoły, wstąpiliśmy tam na chwilę. Kiedy zbliżaliśmy się, spostrzegłem, że z kuźni wybiega pędem Garoffi ze sporą paczką w rękę, przytrzymując poły wielkiego płaszcza, pod którym zwykle ukrywa swoje towary.

- Ach, wiem teraz, skąd ten handlarz Garoffi bierze te żelazne opiłki do polerowania, które sprzedaje potem za stare dzienniki! To dopiero...

Zaraz od drzwi kuźni zobaczyliśmy Precossiego, jak siedząc na ułożonych w kupkę cegłach, uczy się z trzymanej na kolanach książki. Zerwał się i zaprosił nas do środka.

Była to izba pełna węglowego pyłu, na której ścianach sterczały młotki, cęgi, sztaby, zawiasy i przeróżne żelastwo o dziwnych kształtach, w kącie zaś płonęło ognisko, które roziskrzył wielki miech poruszany przez pomocnika kowalskiego.

Ojciec Precossiego stał przy kowadle, a drugi pomocnik trzymał cęgami sztabę żelaza w ognisku.

- Ach! - zawołał kowal, zobaczywszy nas i zdjął czapkę z głowy.
- To ten dobry chłopiec, co podarował mojemu synowi kolejkę! Przeszedł popatrzyć, jak w kuźni robota idzie, prawda? Zaraz, zaraz wszystko pokażemy!

Mówiąc to, uśmiechał się i od razu zauważyłem, że nie ma już ponurej twarzy i nie patrzy spode łba jak dawniej.

Wtem chłopak wyjął z ogniska rozpaloną na jednym końcu sztabę, a kowal oparł ją na kowadle. Ze sztaby miał powstać żelazny łuk, z jakich robi się altany w kształcie klatek wygiętych owalnie u góry. Potem podniósł wielki młot i zaczął nim walić w rozpalony koniec sztaby, obracając ją na różne strony na kowadle i nadając jej przy tym coraz to nowe kształty. Fajnie było obserwować, jak pod szybkimi, pewnymi uderzeniami młota żelazo gięło się, zaokrąglalo i z wolna przybierało formę pierzastego liścia kwiatu, zupełnie tak, jakby to nie była twarda sztaba, ale miękkie ciasto ugniatane dowolnie ręką.

A tymczasem jego syn patrzył na nas z jakąś dumą, jak gdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie tylko, co potrafi mój tata”.

- No cóż - rzekł wreszcie kowal - widziałeś, jak się kuje żelazo?

I pokazał mi gotową sztukę, która wyglądała teraz jak pastorał biskupi. Potem odłożył ją na bok i wsadził w ogień następną.

- Piękna robota! - rzekł na to mój ojciec. I dodał: - Wrócił pan do pracy? Wróciła panu ochota do niej?

- A wróciła! - odrzekł kowal, ocierając pot z twarzy i wypoczywając chwilę. - A wie pan, kto mi ją powrócił?

Mój ojciec udał, że o niczym nie wie.

- Ten poczciwy chłopak - rzekł kowal, palcem wskazując syna.

- To dobre dziecko, co się przykładało do nauki i utrzymywało honor ojca, podczas gdy ojciec... co tam długo gadać, po knajpach pił, a syna traktował jak psa. Dopiero kiedy zobaczyłem ten medal...

Tu urwał, przelknął ślinę, a jego wielkie wąsy zadrgały jak od tłumionego płaczu. Ale wnet zwróciwszy się do chłopca, mówił żartobliwie:

- Chodź tu, mój mały! Chodź no tu, mój wielkoludzie, nie większy od wróbla na dachu! Niech no na ten twój dzióbek popatrzę!

Chłopiec podbiegł, kowal schwycił do wpół i postawił przed sobą na kowadle.

- No - rzekł - wyszoruj trochę facjatę swemu niegodziwemu ojcu, kiedy tak!

A Precossi zaczął obsypywać pocałunkami czarną twarz ojca i za chwilę sam był zupełnie umorusany

- I dobrze tak! - rzekł wtedy kowal i postawił chłopca na ziemi.

- I dobrze! Ma pan słuszość, panie Precossi! - zawołał z radością mój ojciec.

Pożegnawszy się z kowalem i z jego synem, wyszliśmy z kuźni. Ale jeszcze na progu dopędził nas mały Precossi, szepnął: „Przepraszam!” - i wsadził mi do kieszeni paczkę gwoździ. Podziękowałem mu serdecznie i zaprosiłem, żeby przyszedł w ostatki oglądać karnawałowy pochód z naszego okna.

Kiedy byliśmy już na ulicy, mój tata powiedział:

- Podarowałeś mu, synku, swoją kolejkę! Ale nawet gdyby była ona nie z żelaza, tylko ze złota i pereł, jeszcze byłaby darem zbyt małym dla tego dziecka, które własnym cierpieniem i miłością tak odmieniło serce swego ojca!

Pajacyk

20, poniedziałek

Całe miasto aż się trzęsie od karnawałowej wrzawy, bo idą ostatki. Na wszystkich placach stoją budy linoskoków i kuglarzy, przed naszymi oknami też stoi namiot z płótna, w którym występuje mała cyrkowa trupa z Wenecji, mająca wszystkiego pięć koni. Cyrk ulokował się pośrodku placu, a przy nim stoją trzy zakryte wozy, gdzie cyrkowcy przebierają się i w których również śpią. Zupełnie jakby trzy domki na kołach, każdy z kominem, z którego ciągle idzie dym i z okienkami, pomiędzy którymi suszą się na sznurku dziecinne ubranka. W jednym z nich mieszka kobieta, która karmi dzieciątko, gotuje i tańczy na linie.

Biedni ludzie! Bo tak się mówi z pogardą: „cyrkowiec”, a oni przecież uczciwie zarabiają na chleb, bawiąc wszystkich i ciężko pracując. Cały dzień biegają od wozów do namiotu w obcisłych, cienkich trykotach, w takie zimno, przegryzą coś naprędce, nawet nie siadając między jednym a drugim widowiskiem. Nieraz, kiedy cyrk jest pełen, zrywa się wicher, targa jego płócienne ściany, gasi światło i umarł w butach! Muszą oddawać pieniądze i pracować nocą, żeby na dzień jako tako znów wyporządzić namiot. Mają ze sobą dwóch chłopców, którzy też pracują. Mój tata poznał mniejszego, kiedy szedł przez plac – to synek właściciela cyrku, ten sam, którego widzieliśmy w zeszłym roku na placu Wiktora Emanuela, jak jeździł na koniu. Urósł, ma może z osiem lat i ładny z niego chłopiec. Ma okrągłą, smagłą twarz i mnóstwo czarnych kędziorów, które spadają spod spiczastego kapelusza. Przebrany jest za pajaca, jakby w biały, czarno wyszywany worek z rękawami. Buty też ma z białego płótna. Istne diablątko z niego. Wszystkim się podoba. Ciągłe jest czymś zajęty. Rankiem otulony w dużą chustkę przynosi w garnuszku mleko do swego drewnianego domku; potem biegnie po konia do remizy przy ulicy Bertola; później piastuje to najmłodsze, a jak matka weźmie je od niego, to znosi obręcze, drążki, kozły, sznury; czyści wozy, rozpala ogień, a kiedy ma wolną chwilę, to ciągle trzyma się matki.

Mój ojciec patrzy na niego z okna i wciąż mówi o nim i jego rodzicach, którzy wydają się bardzo poczciwymi ludźmi i bardzo do tego chłopca przywiązani. Wieczorem poszliśmy do cyrku. Było zimno, namiot był jeszcze prawie pusty, ale mały pajacyk nie dał się nudzić i tej małej garstce widzów. Przewracał nadzwyczajne kozły, stawał na głowie, uwieszał się koniom u ogonów, chodził na rękach, trzymając nogi w powietrzu, związał się jak skra, śpiewał, śmiał się, z tą swoją śliczną, smagłą twarzą zajmował sobą wszystkich. Jego ojciec, który miał czerwoną kurtkę, białe skórzane spodnie, buty z cholewami i szpicrutę w rękę, też patrzył na pajacyka, ale był smutny.

Mój tata też posmutniał; a kiedy podszedł do nas pan Delis, który jest malarzem, odezwał się do niego:

- Biedni ludzie, zabijają się tą pracą, a tak mało mogą zarobić! Pusta widownia! A ten malec jest taki miły! Co by tu można dla nich zrobić?

Malarz pomyślał i rzekł:

- Napisz coś o nich do gazety, tak jak to ty potrafisz. Opowiesz o pajacyku, a ja zrobię jego portrecik. Gazetę wszyscy czytają i przynajmniej raz ludziska się tu zlecą!

I tak zrobili. Mój ojciec napisał artykuł pełen ciepłych żarcików, i tak piękny, że aż serce miękło. Opowiedział w nim wszystko, cośmy widzieli z okna, i jaki ten mały jest miły, i jak go warto zobaczyć; a malarz naszkicował bardzo podobny i ładny portret, i gazeta wszystko to wydrukowała w sobotę wieczorem.

Rzeczywiście - na niedzielne przedstawienie przybyły tłumy.

Afisz głosił: „Przedstawienie na benefis pajacyka”. Tak go nazywali, jak mój ojciec w gazecie. Cyrk był napchany, wiele osób trzymało w ręku gazetę i pokazywało ją pajacykowi, który był uszczęśliwiony, śmiał się i chodził od widza do widza. Pomyśleć tylko! Jeszcze żaden dziennik tak go nie uhonorował, a i kasa była pełna. Mój tata siedział obok mnie. Wśród publiczności spostrzegłem dużo znajomych. W pobliżu drzwi, którymi wprowadzano konie, stał nauczyciel gimnastyki, ten sam, co służył jeszcze pod Garibaldiem, a naprzeciwko nas, w drugim rzędzie, siedział Mularczyk tuż przy swoim ogromnym ojcu. Ledwie spojrzałem, zaraz mnie zobaczył i na znak powitania zrobił zajęczy pyszczek. Trochę dalej stał Garoffi i liczył widzów, rachując, ile też trupa cyrkowców może zrobić.

Niedaleko nas, w pierwszym rzędzie, siedział Robetti, ten, który uratował dziecko, trzymając między kolanami obie swoje kule. Przytulony był do swego ojca, kapitana artylerii, który trzymał mu rękę na ramieniu.

Zaczęło się przedstawienie.

Pajacyk dokazywał cudów na koniu, na trapezie, na linie, a ile razy się pokazał - wszyscy bili brawo. Potem popisywali się inni,

zonglerzy, ekwilibryści, jeźdźcy ubrani w trykoty i błyszczący od srebra. Ale jak chłopca nie było na arenie, wszystkim go jakoś brakowało.

Naraz widzę, że nauczyciel gimnastyki stojąc przy wejściu, szepce coś właścicielowi cyrku, a ten rozgląda się po widowni, jak gdyby kogoś szukał. Jego oczy zatrzymały się na nas. Mój ojciec spostrzegł to i domyślił się, że nauczyciel gimnastyki wskazał go jako autora owego artykułu, więc żeby uniknąć podziękowań, wyszedł, mówiąc do mnie:

- Zostań, Henryku! Poczekam na ciebie na ulicy.

Przedstawienie już się kończyło. Ale pajacyk, któremu ojciec także coś szepnął, raz jeszcze wystąpił. Pędząc na galopującym koniu, cztery razy zmieniał postać i ubranie, ukazując się to jako pielgrzym, to jako marynarz, to znów jako akrobata, a ile razy przełatywał koło naszego miejsca, zawsze patrzył na mnie.

Gdy zeskoczył z konia, zaczął obchodzić widzów ze swoim spiczastym kapeluszem pajaca w rękach, a publiczność rzuciła mu soldy i cukierki. Też trzymałem przygotowane dwa soldy, ale gdy doszedł do mnie, spojrzął, schował kapelusz za siebie i poszedł dalej. Zrobiło mi się przykro. Dlaczego, pomyślałem, mnie omija? Tymczasem widowisko się skończyło. Właściciel podziękował publiczności, wszyscy wstali i zaczęli cisnąć się do wyjścia. Zagarnięty tłumem, znalazłem się już blisko drzwi, kiedy ktoś trącił mnie w rękę.

Odwróciłem się: to pajacyk ze swoją miłą twarzyczką, z tymi czarnymi lokami, uśmiechał się do mnie, trzymając pełne ręce cukierków. Wtedy zrozumiałem.

- Czy nie chciałbyś przyjąć tych cukierków od pajacyka?

Skinąłem głową i z jego dłoni wziąłem trzy czy cztery.

- No, to weź jeszcze w dodatku całusa...

- Dawaj dwa! - I przychyliłem ku niemu twarz.

Otarł sobie rękawem usta. Objął mnie ramieniem za szyję, dał mi dwa mocne całusy i powiedział:

- Jeden dla ciebie, a drugi dla twojego tatusia!

Dzisiaj, w czasie pochodu masek, widzieliśmy bardzo smutną scenę. Wszystko skończyło się dobrze, ale mogło być wielkie nieszczęście.

Na placu Świętego Karola, przystrojonym białymi, żółtymi i czerwonymi festonami, zebrały się tłumy ludzi. Kręciły się tam różnobarwne maski, przeciągały obwieszane chorągwiami, złoczone wozy w kształcie pagód, teatryków i łódek, pełne arlekinów, rycerzy, kucharzy, marynarzy i pasterek. Taki ścisk, taki zamęt, że nie wiadomo było, na co patrzeć, a jazgot trąb, rogów, tamburyków i bębnow po prostu rozdzierał uszy. Maski na wozach, skacząc i śpiewając, zaczepiały pieszych oraz tych, co patrzyli z okien, a oni też nie żalowali gardeł, krzycząc i rzucając im pomarańcze i cukierki. Za wozami zaś i za zbitym tłumem, jak okiem sięgnąć, widać było powiewające chorągiewki, błyszczące kaski, rozchwiane pióropusze, papierowe hełmy, olbrzymie czepce, nadzwyczajne zbroje, ogromne trąbiska, czerwone czapeczki, butle idące na nogach jak ludzie i kapelusze z dzwonekami, a wszyscy wyglądali jak wariaci.

Kiedy nasz powóz dotarł na plac, naprzeciwko nas nadjeżdżał wspaniały wóz zaprzężony w cztery konie pokryte makatami haftowanymi złotem, cały w girlandach sztucznych róż, na którym jechało kilkunastu panów, przebranych w stroje francuskiego dworu, w świetnych jedwabiach, w białych perukach, z kapeluszami składanymi pod pachą, ze szpadami u boków, z pękami wstążek i koronkowymi żabotami na piersiach. Wyglądali prześliznięci! Panowie ci chórem śpiewali francuską piosenkę i rzucali cukierki publiczności, która biła im brawo i krzyczała: „Wiwat!”

Nagle na lewo od nas jakiś człowiek podniósł ponad tłum małą dziewczynkę, pięcio-, może sześćioletnią, biedactwo płaczące rozpaczliwie, które trzęsło rączkami jak w konwulsjach. Człowiek przedarł się do wozu strojnych panów, a gdy jeden z nich schylił się, zawołał doń głośno:

- Weźcie, panowie, tę dziewczynkę! Zgubiła matkę w tłumie. Podnieście ją na rękę, matka musi gdzieś tu być blisko, to zobaczy. Nie ma innej rady!

Jakiś pan wziął małą na rękę, inni przestali śpiewać, a dzieciak darł się wniebogłosy, bijąc rękami i nogami w powietrzu. Pan zdjął maskę, a wóz sunął powoli dalej.

Tymczasem na przeciwległym końcu placu jakaś uboga zrozpaczona kobieta przedzierała się przez tłum, torując sobie drogę pięściami i łokciami, i krzycząc przeraźliwie:

- Marynia! Marynia! Mania! Dziecko zgubiłam! Porwali mi dziecko!... Zdusili!... Zdeptali!...

Krzyczała tak już od dłuższej chwili, to tu, to tam popychana przez tłum, przez który chciała się gwałtem przedrzeć.

Tymczasem pan na wozie trzymał małą na rękach, przytulając ją do wstążek i koronek na piersiach, a wzrokiem szukając matki. Daremnie jednak chciał uspokoić dziewczynkę, która, zakrywszy twarz rękami, krzyczała rozdzierająco. Inni panowie z wozu podawali jej cukierki i pomarańcze, ale odtrącała wszystko, coraz bardziej przerażona i rozdygotana.

- Ludzie! Szukajcie matki tego dziecka! - krzyknął pan.

Wszystkie głowy zwracały się to w prawo, to w lewo, jednak matki nigdzie nie było widać. Wreszcie przy samym wylocie ulicy Rzymskiej na plac ta właśnie kobieta rzuciła się z krzykiem do wozu.

Ach, nigdy jej nie zapomnę! Niepodobna była do ludzkiej istoty. Włosy rozwiane, zwichrzone, twarz wykrzywiona, odzież poszarpana, a krzyk radości i trwogi podobny był bardziej do ryku zwierzęcia niż do ludzkiego głosu. Z rykiem tym wyciągnęła ręce, zakrzywiwszy palce jak szpony. Wóz stanął.

- Niech pani trzyma swoją małą! - rzekł pan i ucałował dziewczynkę, podał ją matce. Kobieta chwyciła dziecko jak furia. Ale jedna z rączek maleńkiej nie mogła się przez chwilę wyplątać z wstążek i koronek pana, który, zdjawszy z palca brylantowy pierścień, włożył go szybkim ruchem na paluszek dziecka i rzekł:

- Masz! Będziesz miała na zaręczyny!

Matka podniosła głowę i stała jak wryta, a tłum widzów zaczął bić brawo. Wtedy pan włożył szybko maskę, towarzysze jego podjęli na nowo nutę francuskiej piosenki, a wóz, wśród okrzyków i oklasków, z wolna się oddalił.

Mali niewidomi

23, czwartek

Nasz pan jest bardzo chory. Przysłał na zastępstwo nauczyciela z czwartej klasy, który dawniej uczył w Instytucie Niewidomych, jest najstarszy ze wszystkich i tak siwy, że wygląda, jakby miał perukę z bawełny. I tak jakoś dziwnie mówi, jak gdyby śpiewał z wolna bardzo smutną i melancholijną pieśń. Jest jednak bardzo dobry i bardzo mądry. Zaledwie wszedł do klasy i zobaczył jednego z uczniów z zawiązanym okiem, zaraz do niego podszedł i zapytał, co mu się stało w oko.

- Szanuj, chłopcze, wzrok! Strzeż oczu! Dbaj o nie! - mówił mu, dowiedziawszy się, że to nic wielkiego.

A wtedy Derossi zapytał:

- Czy to prawda, panie profesorze, że pan uczył niewidomych chłopców?

- Prawda. Przez długie lata.

A na to Derossi z cicha:

- To niech nam pan coś o nich opowie!

Nauczyciel odszedł od ławki i siadł przy swoim stoliku. Wtedy Coretti rzekł głośno:

- Instytut ślepych jest przy ulicy Nicejskiej.

Nauczyciel pokiwał siwą głową.

- Ślepych... ślepych... Tak mówisz ślepych, jakbyś mówił chorych, biednych czy co tam jeszcze... Ale czy dobrze rozumiesz znaczenie tego słowa? Pomyśl tylko: być ślepym... Nie widzieć nigdy, nigdy nic! Nie odróżniać dnia od nocy, nie widzieć słońca i nieba,

ani rodziców własnych, ani nic z tego wszystkiego, co nas otacza, czego można dotknąć. Być pogrążony w wieczystej ciemności i jak gdyby pogrzebany w ziemi. Spróbujcie na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, że tak zostanieie na zawsze! Czy nie czujecie lęku i grozy? Czy nie wydaje wam się, że nie da się tego znieść, że zaraz zaczniecie krzyczeć, że zwariujecie chyba i umrzecie...

A przecież, moje dzieci, kto wejdzie po raz pierwszy do Instytutu Niewidomych podczas przerwy, a usłyszy tych biedaków, jak grają na skrzypcach, na fletach, jak rozmawiają głośno i ze śmiechem, kto zobaczy, jak wbiegają na schody i szybko z nich zbiegają, z jaką swobodą kręcą się po korytarzach, po sypialniach, ten nigdy by nie powiedział, że są tak nieszczęśliwi, jak są w istocie.

Trzeba im się tylko przyjrzeć.

Są tam chłopcy szesnasto- i osiemnastoletni, silni i weseli, którzy kalectwo swoje znoszą jakby od niechcienia, jakby nawet z brawurą, ale widać z gorzkiego i dzikiego wyrazu ich twarzy, ile cierpieli, jaką walkę musieli stoczyć ze sobą, zanim się pogodzili ze swoim nieszczęściem.

Są też inni, o twarzach bladych i łagodnych, w których uderza rezygnacja i taki przejmujący smutek, iż łatwo domyślić się, że jeszcze nieraz płaczą nad sobą w ukryciu. Ach, dzieci moje! Pomyślcie tylko, że wielu z tych nieszczęśników straciło wzrok nagle, w ciągu kilku dni, inni znowu oślepli po latach męki, po różnych okropnych operacjach, które okazały się daremne. Jeszcze inni, a takich jest bardzo wielu, urodzili się niewidomi, w jakiejś straszliwej nocy, która dla nich nigdy się nie kończy, weszli w świat jak w wielki czarny grób i nie wiedzą nawet, jak wygląda twarz człowieka.

Wyobraźcie teraz sobie, jak muszą cierpieć, kiedy myślą o różnicy pomiędzy nimi a ludźmi, którzy widzą, i kiedy sami siebie pytają z goryczą: „Dlaczego? Cośmy zawinili?”

Więc kiedy wspomnę wszystkie te oczy raz na zawsze zamknięte, te źrenice bez wzroku, bez światła, bez życia, a potem spojrzę na was, to zdaje mi się niepodobieństwem, żebyście nie czuli, jak ogromnie jesteście szczęśliwi! Pomyślcie tylko: we Włoszech żyje

około dwudziestu sześciu tysięcy niewidomych! Dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, którzy nie widzą jasności dnia! Rozumiecie? Przecież to cała armia, której przejście pod oknami naszej szkoły zabrałoby przynajmniej cztery godziny!

Nauczyciel zamilkł. W całej klasie nie było słyhać nawet oddechu.

Po chwili Derossi przerwał ciszę pytaniem, czy prawdą jest, że ludzie niewidomi mają zmysł dotyku bardziej wyczulony niż ci, co widzą?

Nauczyciel odrzekł:

- To prawda! I nie tylko dotyku. Wszystkie inne zmysły też doskonałą się u nich bardzo szybko, bo każdy z nich musi w pewnej mierze zastępować im wzrok. Bywają więc wyćwiczone tak, jak nie zdarza się u tych, którzy widzą.

Nieraz rano w sypialni jeden pyta drugiego: Czy dzisiaj jest słońce? - a który się prędzej ubierze, biegnie na dziedziniec, porusza w powietrzu rękami, żeby uczuć słoneczne ciepło, i wraca z dobrą nowiną: Jest słońce!

Po głosie mówiącej osoby umieją rozpoznać jej wzrost. My z oczu, ze spojrzenia odgadujemy duszę człowieka, oni - z dźwięku mowy. Całymi latami pamiętają brzmienie czyjś głosu, jego intonację. Rozpoznają też, czy w pokoju jest jedna osoba, czy więcej, choć tylko jedna mówi, a inni są całkiem nieruchomi. Samym dotknięciem poznają, czy łyżka jest dokładnie umyta. Małe dzieci po dotyku potrafią rozróżnić, czy wełna jest farbowana, czy ma naturalny kolor. A gdy idą parami przez ulicę, rozróżniają powonieniem niemal każdy sklep, nawet taki, w którym my nie czujemy żadnej woni. Strzelają z procy i po śwście pocisku wiedzą, gdzie padł, i idą prosto po niego. Biegają za kółkiem, grają w kręgle, skaczą przez skakanekę, wyrabiają pudełka, wycinają z drewna skrzypce, zupełnie jakby widzieli. Robią kobiałki, koszyki, przeplatając różnobarwną słomą dokładnie według rysunku. Takie mają czucie w palcach! To czucie jest ich wzrokiem, a jedną z największych przyjemności jest dla nich dotykanie jakiejś rzeczy i odgadywanie jej kształtu, jej wyglądu.

To bardzo poruszający widok, kiedy zaprowadzą ich do muzeum przemysłowego i pozwolą im tam wszystkiego dotykać! Trzeba widzieć, z jaką radością rzucają się na figury geometryczne, na sprzęty domowe, na instrumenty, narzędzia, na modele domów czy kościołów! Z jaką uciechą obwodzą dłonią każdy kształt, jak pocierają przedmioty palcami, jak wszystko obracają w rękach, żeby wiedzieć, jak to jest zrobione!

Słuchaliśmy z wielkim zaciekawieniem, a gdy nauczyciel umilkł, Garoffi zapytał, czy to prawda, że niewidomi chłopcy znacznie łatwiej uczą się matematyki.

Nauczyciel odparł:

– Rzeczywiście, arytmetyki uczą się bardzo łatwo. Mają do tego specjalnie przygotowane książki z wypukłym drukiem; przesuwiają po nich palcem, rozpoznają litery i wymawiają wyrazy. Czytają biegle. A jak się biedni wstydzą każdej pomyłki! Jak się zaraz czerwienią! Umieją również pisać.

Zdziwicie się może, gdy wam powiem, że piszą bez atramentu.

Mają przed sobą gruby, twardy papier z ruchomą metalową ramką, która odbija mnóstwo punkcików ułożonych według specjalnego alfabetu. Punkciki te wychodzą odbite wypukło po drugiej stronie papieru, tak że wodząc palcem po tych wypukłościach, z łatwością mogą czytać i to, co sami napisali, i pismo innych. Tym sposobem piszą wypracowania oraz listy między sobą. Podobnie piszą liczby i robią rachunki. Pamięciowe zadania geometryczne odrabiają z niesłychaną łatwością, może dlatego, że nie rozprasza ich żaden widok zewnętrznych przedmiotów, jak to się nam zdarza...

A jak szalenie lubią słuchać, kiedy im ktoś czyta! Jak uważają i zapamiętują wszystko! Nawet najmłodszy rozprawiają między sobą o gramatyce czy o historii! Siedzą rzędem w jednej ławce i nie obracając się ku sobie, rozmawia pierwszy z trzecim, drugi z czwartym albo z piątym, głośno, wszyscy razem, nie tracąc ani jednego słówka, tak mają wyostrzony i czujny słuch. I mogę was zapewnić, że bardziej przejmują się egzaminami niż wy. No i daleko bardziej

przywiązują się do swoich nauczycieli. Każdego nauczyciela potrafią rozpoznać po odgłosie kroków, po woni odzieży. Natychmiast wiedzą, czy jest w dobrym, czy w złym humorze, czy surowy, czy pobłażliwy, po dźwięku jednego słówka. A kiedy nauczyciel ich pochwali, kiedy ich zachęca, proszą, żeby ich dotknął i głaszczą go po rękawach, żeby wyrazić swą wdzięczność.

Żyją między sobą zgodnie i życzliwie, i są dobrymi kolegami!

W czasie przerw trzymają się zawsze razem albo grupkami. Dziewczeta, na przykład, tworzą grupy według instrumentów muzycznych, na których grają. Jest grupa skrzypaczek, flecistek, pianistek, które nigdy się nie rozłączają.

A jeśli kogoś taki biedak pokocha, to na całe życie! Wielką pociechą jest też dla nich przyjaźń i umieją się między sobą właściwie oceniać. Mają jasne i głębokie pojęcie dobra i zła. Żadne z was, moje dzieci, nie odczuwa tak żywo, z takim uniesieniem pięknego, szlachetnego czynu!

Vatini zapytał, czy dobrze grają.

- Uwielbiają muzykę! - ożywił się nauczyciel. - Muzyka to ich radość, ich życie! Niewidome dzieci, dopiero co przybyłe do Instytutu, potrafią stać dwie, trzy godziny bez zmęczenia, słuchając muzyki. Uczą się jej łatwo i grają z namiętnym zamiłowaniem. Jeśli któremu z nich nauczyciel powie, że nie ma zdolności do muzyki, sprawia mu to niesłychaną przykrość, ale wtedy zaczyna uczyć się sam, oddzielnie.

Ach, żebyście kiedyś mogli usłyszeć tę ich muzykę! Żebyście mogli zobaczyć, jak grają, z podniesionym czołem, z uśmiechem na ustach, zachwyceni harmonią, którą rozlewają w nieskończonym mroku, jaki ich otacza. Dopiero byście odczuli, ile w muzyce jest słodczy i boskiej pociechy. A jacy są szczęśliwi, jak promieniają radością, kiedy któremuś z nich nauczyciel powie: „Zostaniesz artystą”. Dla nich ten, kto jest mistrzem w muzyce, czy to w grze na fortepianie, czy na skrzypcach - jest niemal królem. Szanują go i uwielbiają. Jeśli powstanie spór - idą do niego, żeby rozsądził sprawę. Jeśli pokłóci się dwóch przyjaciół - idą do niego, żeby

ich pogodził. A najmniejsi tego, który uczy ich grać, traktują jak ojca. Żaden nie pójdzie spać, póki nie powie mu dobranoc. I ciągle gadają o muzyce. Już w łózkach, już późna godzina, wszyscy zmęczeni nauką i pracą, w półsenni – a jeszcze rozmawiają po cichu o operach, o kompozytorach, o instrumentach, o orkiestrze. Pozbawienie lekcji muzyki i odczytywania nut jest dla nich tak ciężką i bolesną karą, że człowiek nie ma odwagi ukarać kogoś z nich w ten sposób. Muzyka jest dla ich serca tym, czym światło dla naszych oczu...

Nauczyciel zamyślił się, podparłszy głowę, a wtedy Derossi zapytał, czy nie można by kiedyś pójść tam i ich poznać.

– Owszem, można – odparł nauczyciel – ale wy teraz jeszcze nie powinniście tam chodzić. Pójdziecie później, kiedy będziecie w stanie pojąć cały ogrom tego nieszczęścia i odczuć całe współczucie dla tych, którzy są nim dotknięci. To bolesny widok, moje dzieci.

A przecież przechodząc tamtędy, widzicie czasem chłopców siedzących w otwartych oknach, którzy, zdaje się, patrzą na szerokie, zielone doliny, na błękit gór, które widzicie hen, daleko. I pomyśleć, że oni siedząc tak i patrząc, nie widzą nic i nic nigdy nie zobaczą z tej niezmiernej piękności rodzinnego kraju. Czyż to nie ściska serca tak, jakbyście sami nagle stracili wzrok? Ci, którzy urodzili się niewidomi, mniej może budzą litości; nie widzieli nigdy nic, nie żałują niczego, bo nie mają o niczym wyobrażenia. Ale są tam też chłopcy, którzy postradali wzrok niedawno, którzy wszystko mają w żywej pamięci i doskonale rozumieją, co utracili! W dodatku uświadamiają sobie z rozpaczą, że co dzień bardziej zacierają się w ich myślach najdroższe obrazy, czują, że najmilsi, najbardziej kochani jak gdyby umierają w ich duszy...

Jeden z tych nieszczęśników tak mi o tym mówił z niewysłowionym smutkiem:

– Pragnąłbym gorąco, choć na moment odzyskać wzrok, żeby zobaczyć twarz mamy, bo już jej prawie nie pamiętam!

A kiedy matka przyszła go odwiedzić, dotykał jej twarzy rękoma, wodząc dłonią od czoła aż do brody, żeby poczuć jej drogic

rysy, i jakby nie mogąc pogodzić się z tym, że jej już nie zobaczy, wołał do niej: „Mamo!”, jakby błagając, żeby mu się dała ujrzeć, choćby na jedną chwilkę.

Nawet ludzie o sercach zahartowanych nieszczęściami, wychodząc stamtąd, płakali. Bo kiedy człowiek opuszcza to miejsce, zdaje mu się, że ci, co widzą niebo, słońce i współbraci, są jakimś szczęśliwym, niezasłużenie uprzywilejowanym wyjątkiem. Pewien jestem, że każdy z was, opuszczając tamte smutne progi, chciałby oddać odrobinę swego wzroku tym nieszczęsnym dzieciom, dla których słońce nie ma światła, a matka nie ma oblicza!

Chory nauczyciel

25, sobota

Wczoraj, po wyjściu ze szkoły, poszedłem odwiedzić mojego chorego nauczyciela.

Za dużo pracuje i dlatego jest chory. Pięć godzin lekcji dziennie, i to z takimi, jak my łobuzami, do tego jeszcze godzina gimnastyki i dwie godziny w szkole wieczornej, to znaczy za mało snu, jedzenie w przelocie i wyteżanie sił od rana do nocy, co zrujnowało mu zdrowie, jak mówi moja mama.

Mama zaczęła na mnie w bramie jego domu, a ja poszedłem sam na górę.

Na schodach spotkałem pana Coattiego, tego czarnego brodacza, co to zawsze swoim uczniom grozi, ale nigdy ich nie karze. Spojrzał na mnie srogimi oczyma i jak lew ryknął grubym głosem, odpowiadając na moje powitanie. Mimo tego żartu wcale się jednak nie roześmiał. Ja za to śmiałem się jeszcze, pociągając dzwonek na czwartym piętrze; ale spoważniałem natychmiast, kiedy służąca wprowadziła mnie do ubożego, przyciemnionego pokoju, w którym leżał mój nauczyciel. Leżał na niewielkim żelaznym łóżku, był błydy, z zarośniętą brodą. Kiedy wszedłem, podniósł rękę do czoła, żeby lepiej widzieć, i zawołał swym miłym, przyjaznym głosem:

- Henryk!

Podszedłem do łóżka, a on położył mi na ramieniu chudą rękę i rzekł:

- Dobrze, dziecko! Dobrze, żeś przyszedł odwiedzić swego chorego nauczyciela! Jak widzisz, kiepsko się miewam, mój drogi Henryku! A jakże tam idzie nauka w szkole? Jak się mają twoi koledzy? Wszystko dobrze, co? I beze mnie... obywatcie się doskonale, nieprawdaż, bez swego starego nauczyciela?

Chciałem odpowiedzieć, że nie, ale przerwał:

- Daj spokój, daj spokój! Wiem i tak, że jesteście mi życzliwi...

I westchnął. Spojrzałem na kilka fotografii, wiszących na ścianie. Spostrzegł to i powiedział:

- Widzisz, to wszystko moi uczniowie, którzy dali mi swoje zdjęcia. Od przeszło dwudziestu lat... Dobre chłopaki. To moje najmilsze pamiątki. Jak będę umierał, ostatnie moje spojrzenie powędruje do tych malców, wśród których ubiegło mi życie. Ty także dasz mi swoje zdjęcie, jak skończysz szkołę podstawową, prawda?

Sięgnął do stolika przy łóżku, wziął pomarańczę i wcisnął mi ją do ręki.

- Nie mam cię czym poczęstować - rzekł. - To taki poczęstunek chorego...

A ja patrzyłem na jego bladą twarz i miałem serce ściśnięte smutkiem, sam nie wiem czemu.

- Słuchaj, chłopcze - zaczął znów po chwili - spodziewam się wygrzebać jakoś z tej choroby. Ale gdybym się nie wygrzebał, uważasz, to przykładaj się bardziej do arytmetyki, bo to twoja słaba strona. Przewycięż się. Chodzi tylko o to, byś się przemógł, bo tobie nie brak zdolności, tylko skupienia, wpatrzania się w przedmiot, że tak powiem...

Tu odetchnął głęboko; widać było, że cierpi.

- Mam gorączkę - westchnął - że ledwo żyję... Pamiętaj, dziecko! Arytmetyka, zadania arytmetyczne, do tego się musisz ostro

zabrać! Nie uda się za pierwszym razem? Odpocznij – i znowu je za łeb! Nie uda się za drugim razem? Znowu odpocznij – i do nich! Spokojnie, wytrwale, bez niepotrzebnego pośpiechu, bez nabijania sobie głowy...

A teraz idź. Pokłoń się mamie. I nie drap się już więcej na te schody... Zobaczymy się w szkole. A jakbyśmy się już nie zobaczyli, wspomnij czasem swego nauczyciela, który był ci oddany.

Na te słowa rozplakałem się. A on:

- Pochyl się...

Przychyliłem głowę do poduszki, a on pocałował mnie we włosy. Potem rzekł:

- Idź już! – i odwrócił twarz do ściany.

A ja zbiegłem jak wiatr ze schodów, tak bardzo chciałem przytulić się szybko do mamy.

Ulica

25, sobota

...Patrzyłem dziś wieczorem na ciebie z okna, kiedy wracałeś od twego nauczyciela. Potrąciłeś jakąś kobietę. Uważaj bardziej na to, jak się zachowujesz na ulicy. Tam też są pewne obowiązki, które trzeba wypełniać.

Jeżeli kontrolujesz swoje kroki i swoje ruchy w jakimś prywatnym domu, dlaczego nie miałbyś tak samo czynić na ulicy, która jest domem dla wszystkich?

Pamiętaj, Henryku to, co ci powiem: ilekroć spotkasz starca lub kobietę z dzieckiem na ręku, kalekę o kulach, człowieka schyłego pod ciężarem albo rodzinę w żałobie, ustąp na bok przed nimi z szacunkiem, gdyż obowiązkiem naszym jest szanować starość, nędzę, miłość macierzyńską, kalectwo, pracę i – śmierć.

Ile razy widzisz, że wóz albo powóz może kogoś potrącić, usunąć go, jeśli to dziecko, ostrzeż, jeśli to człowiek dojrzały. Gdy

widzisz samotne, płaczące dziecko na ulicy, zapytaj zawsze, co mu jest i dlaczego płacze; a gdy starzec upuści swą laskę, schyl się i podnieś mu ją. Jeśli dwoje dzieci bije się na ulicy – rozłącz je, jeżeli dwóch dorosłych – oddal się; nie chciej być nigdy widzem brutalnych gwałtów, bo to obraża i znieczula serce.

Lecz gdybyś spotkał kiedy człowieka w kajdankach, idącego z dwoma strażnikami, nie przyłączaj się do okrutnej ciekawości tłumy; pomyśl, że człowiek ten może być niewinny.

Przestań rozmawiać z kolegą i śmiać się, kiedy mijasz kogoś niesionego na noszach lub widzisz ambulans, bo może tam być ktoś umierający, a może umarły; taki sam smutny pochód mógłby wyjść kiedyś z twego domu...

Patrz z szacunkiem na rzędy idących parami dzieci z różnych instytucji: na ociemniałych, głuchoniemych, niepełnosprawnych, na sieroty, na nieszczęśliwe, opuszczone dzieci. Pomyśl wtedy, że oto przechodzi nieszczęście i miłosierdzie ludzkie.

Zachowuj się tak, jakbyś nie widział, gdy napotkasz jakąś odrażającą lub śmieszoną ułomność. Odpowiadaj zawsze uprzejmie, gdy cię ktoś zapyta o drogę. Nie przyglądaj się nikomu ze śmiechem, nie biegnij bez potrzeby, nie krzycz. Miej też zwyczaj przydepnąć i zagasić każdą palącą się zapałkę, bo może być ona przyczyną nieszczęścia. Szanuj ulicę – ten dom wszystkich.

Wyrobienie, cywilizacyjne wykształcenie jakiegoś narodu ocenia się przede wszystkim ze sposobu, w jaki ten naród zachowuje się na ulicy. Tam, gdzie widzisz nieobyczajność, grubiaństwo na ulicy, znajdziesz je z pewnością i w domach. Poznaj więc ulice, synu. Ucz się miasta, w którym żyjesz. Gdybyś jutro znalazł się daleko od nich, jakże będzie ci miło mieć je w żywej pamięci – przebiegać je myślą, tę twoją małą ojczyznę, to twoje miasto, które przez tyle lat było ci całym światem. Tu stawiałeś pierwsze kroki przy boku swej matki, tu doznawałeś pierwszych wrażeń, tu umysł twój otwierał się na pierwsze pojęcia, tu znalazłeś pierwszych przyjaciół.

Bo to miasto jest ci również jak matka. Uczyło cię, rozweselało i strzegło. Poznawaj je w jego ulicach i w jego mieszkaniach. I kochaj je także, a gdy mu kto będzie uragać, stań w jego obronie.

Twój ojciec

Marzec

Szkoła wieczorowa

2, czwartek

Wczoraj tata zabrał mnie do szkoły wieczorowej w naszym okręgu. Światła były już zapalone i zaczęli się schodzić robotnicy.

Kiedy weszliśmy, dyrektor i nauczyciel byli bardzo rozgniewani, bo przed chwilą ktoś rzucił kamieniem w okno i wybił szybę. Woźny wybiegł na ulicę i złapał jakiegoś chłopaka, ale zaraz nadszedł Stardi, który mieszka naprzeciwko, i powiedział, że to nie ten.

- Widziałem na własne oczy - mówił - że kamień w okno rzucił Franti i jeszcze krzyknął do mnie: „A piśnij tylko słowo, to zobaczysz!”. Ale ja się nie boję.

Dyrektor powiedział, że Franti zostanie wydalony ze szkoły.

Przyglądałem się robotnikom, którzy wchodzili po dwóch, po trzech i było ich już chyba ze dwustu w sali. Nie wiedziałem, że to taka wspaniała rzecz, ta wieczorowa szkoła. Bo uczęszczają do niej i młodzi chłopcy, i brodaci mężczyźni, co wrócili z roboty, a teraz przychodzą tutaj z zeszytami i książkami, zupełnie jak my do klasy! Są tu stolarze, palacze z czarnymi twarzami, murarze z rękami pokrytymi wapnem, są ubieleni mąką pomocnicy z piekarni, a na sali czuć zapach lakieru, skór, oliwy, smoły, zapachy wszystkich rzemiosł i warsztatów!

Przyszedł też, wraz ze swoim kapralem, oddział robotników artyleryjskich, ubranych w mundury. Zaraz wszyscy zasiedli w ławkach, podnieśli deseczki, na których my opieramy nogi i pochylili się nad książkami. Kilku podeszło z otwartymi zeszytami do nauczycieli, prosząc o wyjaśnienia.

Ujrzałem tego młodego, wyelegantowanego nauczyciela, którego przezwaliliśmy „adwokacikiem”. Przy jego stoliku stało kilku robotników, a on poprawiał im ćwiczenia. Ten, co utyka na nogę, też tu był, widziałem, jak się śmiał z jakimś farbiarzem, który mu przyniósł zeszyt zasmarowany na różowo i na niebiesko. Był i mój nauczyciel, który dzięki Bogu, wyzdrowiał, i jutro już do nas wróci. Drzwi do wszystkich klas były otwarte na oścież.

Zdumiony byłem, gdy zaczęły się lekcje, jak wszyscy pilnie uważali, z jakim skupieniem słuchali wykładów.

- A przecież - mówił dyrektor - wielu z nich, żeby się nie spóźnić, przychodzi tu prosto z pracy, nie wstępując nawet do domu na posiłek, więc są głodni.

Tylko młodszym chłopcom po jakiejś półgodzinie lekcji zaczęły się kleić oczy, a kilku, którzy na dobre chrapnęli, oparliśy głowy o ławkę, nauczyciel zbudził, trącając ich piórem w ucho. Ale dorosli nie! Wszyscy słuchali lekcji z otwartymi ustami i żaden nie mrugnął nawet okiem. Okropnie śmiesznie wyglądało, jak ci wężale i brodacze siedzą w naszych ławkach.

Poszliśmy też na piętro. Pobiegłem do drzwi naszej klasy i zobaczyłem, że na moim miejscu siedzi jakiś robotnik z wielkimi wąsiskami, z obwiązaną ręką, którą pewno skaleczył przy maszynie, i powoli, powoli próbuje pisać. Ale najbardziej ucieszyło mnie, kiedy na miejscu Mularczyka, w tym samym rogu i w tej samej ławce, zobaczyłem jego ojca, olbrzymiego murarza, który siedział podparty łokciami, z brodą na rękach, oczy utkwivszy w książce, tak zagłębiony w nauce, że prawie nie oddychał. Nie był to zwykły zbieg okoliczności. To on sam przyszedł pierwszego wieczoru do dyrektora i poprosił:

- Niechże pan dyrektor będzie tak łaskaw i pozwoli mi siedzieć na miejscu mego „zajęczego pyszczka”. - Bo on go tak zawsze nazywa.

Kiedy wreszcie wyszliśmy z ojcem, zobaczyliśmy na ulicy bardzo wiele kobiet z dziećmi na ręku, czekających na swych mężów. I zaraz w bramie następowiała zamiana: ojciec brał od matki dzie-

cko, oddawał jej książki i zeszyty, i tak wracali do domu. Przez kilka chwil ulica pełna była ludzi i gwaru, po czym wszystko ucichło i ujrzelśmy już tylko wysoką, znużoną postać oddalającego się powoli dyrektora.

Walka

5, niedziela

Można się było tego spodziewać. Franti, wyrzucony przez dyrektora, postanowił się zemścić i zaczął się za rogiem na Stardiego, który po wyjściu ze szkoły wstępował zwykle po siostrę na ulicę Wielkoziółtą i razem wracali. Wszystko to widziała moja siostra Sylwia i wystraszona przybiegła do domu.

Było tak: Franti, w swojej ceratowej czapce wsadzonej na bakier, pobiegł na palcach za Stardim i szukając zaczepki, pociągnął z tyłu za warkocz jego siostrę tak silnie, że o mało jej nie przewrócił na plecy. Dziewczynka krzyknęła, jej brat się odwrócił, a Franti, o wiele wyższy i silniejszy od Stardiego, warknął:

- Jak piśniesz, to cię załatwię!

Stardi, nie namyślając się długo, choć mały i gruby, rzucił się na dryblasę i zaczął walić pięściami, gdzie popadło. Niewiele mu jednak mógł zrobić, bo Franti chwycił go za ramiona. Na ulicy były tylko dzieciaki i nikt nie mógł ich rozdzielić. Franti cisnął teraz o ziemię Stardiego, ten zerwał się w mig, ale znów runął, a Franti walił w niego jak w worek. W jednej chwili rozerwał mu ucho, podbił oko i trzasnął pięścią w twarz tak, że biednemu chłopcu krew z nosa poszła. Ale Stardi jest twardy! Ryknął tylko:

- Zabijesz mnie, ale ja ci zapłacę!

I oto Franti buch o ziemię, a Stardi już na nim, kopie go, łbem bodzie jak baran i wali w niego pięścią jak młotem.

Jakaś kobieta woła z okna:

- Brawo, mały!

A inne:

- On broni swojej siostry!

A jeszcze inne:

- Bij! Nie daruj! Dołóż mu solidnie!

A do Frantiego:

- Na mniejszych się rzuca! Tchórz podły!

A wtem Franti zerwał się i podstawił nogę. Stardi upadł, a ten na niego!

- Poddaj się!

- Nie poddam!

- Poddaj się!

- Nie!

W mgnieniu oka Stardi poderwał się, chwycił Frantiego w pól, przegiął go z szalonym wysiłkiem, wściekle cisnął nim o bruk i padł mu kolanem na piersi.

- O, łobuz, ma nóż! - krzyknął jakiś człowiek, nadbiegając, aby rozbroić Frantiego. Ale Stardi już chwycił drania obu rękami za ramię i tak go ugryzł w zaciśniętą pięść, że nóż z niej wypadł i zaczęła lecieć krew.

Teraz dopiero nadbiegli inni, rozdzielili ich i podnieśli. Franti powłókł się poturbowany, prawie na czworakach, a Stardi został na placu bitwy, strasznie podrapany na twarzy, z podbitym okiem, ale zwycięski, obok płaczącej siostry, wśród chłopców, którzy zbierali rozrzucone po ulicy książki i zeszyty.

- Zuch chłopak! - odzywały się dokoła głosy kobiet. - Nie dał skrzywdzić siostry! Obronił!...

Ale Stardi, który bardziej się troszczył o swój tornister niżli o zwycięstwo, zaraz zaczął oglądać najpierw książki, potem zeszyty, czy czegoś nie brakuje, czy wszystko w całości, powycierał je rękawem, obejrzał piórniki, każdą rzecz ułożył na swoim miejscu, po czym spokojny i poważny jak zwykle, rzekł do swojej siostry:

- Chodźmy już, bo mam zrobić zadanie na wszystkie cztery działania.

Dziś rano przyszedł po syna gruby pan Stardi, z obawy, żeby chłopak znowu nie spotkał się z Frantim. Ale mówią, że Franti już się nie pokaże na tej ulicy, bo by go chyba zaraz wzięli do paki. Bardzo wielu rodziców przyszło dziś pod szkołę, taki niepokój wzbudziła ta wczorajsza bójka. Był między innymi także handlarz drewnem, ojciec Corettiego, wykapany portret swego syna! Tak samo zwinny, wesoły, tyle tylko, że ma spiczaste wąsiki i dwukolorową wstążeczkę w dziurce od guzika. Znam już prawie wszystkich rodziców, którzy przychodzą po uczniów. Czasem to nawet nie rodzice przychodzą. Bo na przykład jest jedna babcia, zupełnie przygięta, w białym, wielkim czepcu, która czy śnieg, czy burza przychodzi cztery razy dziennie, odprowadzając swojego wnuczka z zerówki. Zdejmuje mu płaszcz, to znowu zakłada, wiąże mu krawat, otrzepuje go, muska, ogląda zeszyty. Zaraz widać, że tylko tym chłopakiem żyje, tylko o nim myśli i świata poza nim nie widzi. Przychodzi także czasem kapitan artylerii, ojciec Robettiego, tego o kulach, co uratował dziecko przed przejechaniem, a kto tylko z kolegów przejdzie koło niego, uśmiechnie się, albo go poklepie, żeby mu było weselej. Kapitan także każdemu się odklania albo poklepuje po ramieniu. Nie zdarzyło się, żeby kogoś pominął. Do wszystkich się schyla, wita albo żegna, a im któryś biedniejszy i w gorszej odzieży, tym bardziej zdaje się uradowany i tym bardziej mu dziękuje.

Ale także smutne rzeczy widzi się tam czasem. Na przykład jeden ojciec, co już od miesiąca nie przychodził do szkoły, bo mu synek umarł, przyszedł z drugim, młodszym, pierwszy raz po tej stracie. I kiedy zobaczył klasę, i kolegów swego zmarłego syna, poszedł do kąta i wybuchnął płaczem, zakrywszy twarz obiema rękami. Dopiero go dyrektor wziął pod ramię i zaprowadził do swojego gabinetu.

Są także ojcowie i matki, którzy znają po imieniu wszystkich kolegów swoich dzieci. Nieraz też przychodzą po braci dziewczyn-

ki z pobliskiej szkoły, a także uczniowie z gimnazjum. Jest też jeden starszy już pan, który, gdy widzi, że jakiś malec upuścił na ulicy pióro albo zeszyt, to zaraz mu podnosi. A przecież był pułkownikiem!

Zdarza się też widzieć pięknie ubrane panie, jak gawędzą przed szkołą z prostymi kobietami w chustkach na głowie i z koszami w ręku.

Jedna mówi:

– Ach, jakie trudne było dziś zadanie!

A druga:

– A ta gramatyka! Jezus Maria, myślałam, że się ten chłopak do świtu będzie uczył.

Kiedy któryś z uczniów zachoruje, zaraz wszystkie o tym wiedzą, a jak wyzdrowieje, to wszystkie się cieszą. Właśnie dzisiaj z osiem albo dziesięć pań otoczyło zieleniarkę, matkę Crossiego, dowiadując się o zdrowie ciężko chorego chłopca z zerówki, którego rodzice mieszkają na tym samym podwórzu, co ona.

Naprawdę wydaje się, że szkoła wszystkich zrównuje i wszystkich zaprzyjaźnia ze sobą!

Numer 78

6, środa

Widziałem wczoraj poruszającą scenę.

Już od pewnego czasu można było zauważyć, że biedna zieleniarka, przechodząc koło Derossiego, patrzy na niego z głęboką wdzięcznością. Bo też Derossi, po odkryciu tajemnicy kałamarza i więźnia nr 78, szczególną zyczliwością otacza jej syna, małego Crossiego, co ma rude włosy i krótszą rękę. Pomaga mu odrabiać lekcje w szkole, podpowiada, jak się Crossi zatnie, daje mu papier, pióra, ołówki, zupełnie jak bratu.

A wszystko dlatego, żeby mu wynagrodzić te nieszczęścia ojca, o których się niechcący dowiedział, a o których syn nic nie wie.

Więc ta matka tak na Derossiego patrzyła, tak patrzyła, jakby mu własne oczy chciała oddać za tę życzliwość dla dziecka, bo to dobra kobieta i żyje tylko dla syna. Derossi, który się nim opiekuje, który go wyróżnia, Derossi, panicz, pierwszy uczeń w klasie, wydaje jej się królewiczem z bajki i ma go za świętego prawie. Dobrze widziałem, że od dni kilku zieleniarka tak na Derossiego patrzy, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale się wstydzi. Aż wczoraj z rana odważyła się, zatrzymała go we drzwiach i rzekła:

- Jesteś taki dobry i opiekuńczy dla mojego syna - dziękuję ci bardzo. Proszę, przyjmij to na pamiątkę i w dowód wdzięczności.

I wyciągnęła z koszyka z jarzynami szkatuleczkę z białej, pozłocanej tektury. Derossi zaczerwienił się, cofnął i rzekł rezolutnie:

- Niech to pani da synowi. Ja nie przyjmę. Dziękuję!

Kobieta zasmuciła się strasznie i przepraszała zmieszonym głosem:

- Nie chciałam cię obrazić... To tylko trochę cukierków...

Ale Derossi potrząsnął głową, że nie przyjmie.

A wtedy z nieśmiałością wyjęła z koszyka pęczek różowych rzodkiewek i rzekła:

- Weź chociaż te rzodkiewki, świeżuteńkie, zanieśesz mamie... Derossi uśmiechnął się na to.

- Nie! Bardzo dziękuję, ale nic nie chcę. Zrobię, co będę mógł, dla pani syna, bo jest moim kolegą i fajnym chłopakiem, ale nic nie przyjmę. Dziękuję!

- Ale... chyba nie obraziłeś się na mnie? - zapytała trwożliwie kobieta.

- Ależ skąd! Nie, nie! - powtórzył z uśmiechem Derossi i odszedł, a zieleniarka aż klasnęła w ręce.

- A cóż to za dobre dziecko! Jakie kochane! Jeszcze takiego w życiu nie widziałam.

No i tak się skończyło tymczasem. Ale o czwartej zamiast matki przyszedł po Crossiego ojciec, błady i smutny jak zwykle. Zatrzymał przy wejściu Derossiego, a ze sposobu, w jaki na niego patrzył, poznałem od razu, iż domyśla się, że Derossi odgadł jego tajemnicę.

Więc patrząc tak, rzekł smutnym i wzruszonym głosem:

- Jesteś, chłopcze, bardzo dobry dla mojego dziecka... Dlaczego jesteś dla niego taki dobry?

Derossi stanął cały jak w ogniu, tak się zaczerwienił. Widać było, że chciałby po prostu powiedzieć szczerze:

„Bo jest nieszczęśliwy. Bo i pan, jego ojciec, był bardziej nieszczęśliwy, niż winny, i odpokutował pan szlachetnie swą winę, bo ma pan dobre serce...” Ale, choć to wszystko można było wyczytać na jego twarzy, zabrakło mu odwagi, żeby wypowiedzieć w słowach; czuł przy tym jakąś trwogę i nawet jakiś wstręt wobec człowieka, który kogoś zabił i sześć lat przesiedział w więzieniu. A ten biedak, jak gdyby odgadł wszystko, pochylił się do ucha Derossiemu i rzekł półgłosem:

- Jesteś życzliwy dla dziecka, ale nie pogardzasz i ojcem...?

A Derossi zaprzeczył gwałtownie:

- Och, nie! O nie! Całkiem przeciwnie...

A wtedy ten blady, smutny człowiek uczynił nagły ruch, jakby chciał Derossiego objąć za szyję. Ale nie śmiał widać i dotknąwszy tylko jego jasnych włosów, podniósł potem swoją rękę do ust i pocałował ją, patrząc na chłopca mokrymi od łez oczyma, jakby chciał mu powiedzieć, że to dla niego ten pocałunek. Po czym wziął syna za rękę i odszedł szybkim krokiem.

Zmarły uczeń

13, poniedziałek

Zmarł ten chłopczyk, kolega mego brata z zerówki, co mieszkał w tym samym domu, co zieleniarka. Panna Delcati, moja dawna nauczycielka, przyszła w sobotę po południu powiedzieć o tym naszemu panu, a Garrone i Coretti zgłosili się zaraz, że pomogą nieść trumnę.

Był to bardzo pilny dzieciak; w zeszłym tygodniu jeszcze dostał medal. I bardzo był dobry. Ogromnie lubił mego brata i nawet

raz podarował mu skarbonkę. Moja matka, gdy go spotykała, zawsze go przytuliła. Nosił czerwoną czapeczkę, w której wyglądał jak czerwony grzybek. Jego ojciec jest tragarzem na kolei.

Wczoraj, w niedzielę, o wpół do piątej po południu, poszliśmy do nich do domu, żeby go odprowadzić do kościoła. Mieszkają na parterze. W podwórzu zastaliśmy już wielu chłopców z zerówki z matkami. Trzymali palące się świece. Było także pięciu czy sześciu nauczycieli i kilku sąsiadów.

Panna Delcati i ta młodsza nauczycielka z czerwonym piórem były w mieszkaniu i widzieliśmy przez okno, jak płakały. Matka chłopczyka też głośno szlochała. Dwie panie, pewno matki jego szkolnych kolegów, przyniosły dwa wieńce.

Równo o piątą pochód ruszył do kościoła. Najpierw szedł chłopiec z krzyżem w ręku, potem ksiądz, potem trumna. Taka mała, małuśka trumienka! Biedne dziecko! I była przykryta czarnym sukniem, a wieńce kwiatów opasywały ją wkoło. Na suknie był przypięty medal i trzy pochwały, na które sobie chłopiec przez ten rok zasłużył. Trumnę nieśli Garrone, Coretti i jeszcze dwóch chłopców z tej samej klatki. Za trumną szła panna Delcati i tak płakała, jakby to było jej własne dziecko. Za nią szli nauczyciele, a za nauczycielami uczniowie i koledzy; niektórzy, zupełnie mali jeszcze, nieśli bukietki fiołków, patrząc z osłupieniem na trumnę, a matki prowadziły ich za ręce, trzymając zapalone świece. Jeden z malców spytał:

- To on teraz nie przyjdzie do szkoły?

Kiedy trumnę wynieśli z sieni, dał się słyszeć z okna rozpaczliwy krzyk matki zmarłego, ale zaraz ją z powrotem wprowadzili do mieszkania. Wyszedłszy na ulicę, spotkaliśmy idących dwoma rzędami uczniów z jakiegoś kolegium, którzy na widok trumny, nauczycielek i nauczycieli, natychmiast odkryli głowy.

Biedny mały! Idzie już spać na zawsze ze swoim medalem! Nie zobaczymy już nigdy jego czerwonej czapeczki!

Był zdrowy, a w cztery dni już go nie ma. Ostatniego dnia, jak opowiadała jego matka, jeszcze chciał wstać i uczyć się zadanych

słówek... A medal to musieli mu na łóżeczku położyć, bo się bał, że mu ktoś zabierze.

Nikt ci go już nie zabierze, biedaku. Śpij z Bogiem! Będziemy cię zawsze wspominać w naszej szkole!

W przeddzień uroczystości

13 marca

Dzisiejszy dzień był weselszy od wczorajszego. Trzynasty marca! Przeddzień rozdawania nagród w teatrze Wiktora Emanuela; doroczna uroczystość, wielkie, piękne święto! Tym razem nie wniosą świadectw na scenę chłopcy wybrani na chybił trafił z tej czy innej szkoły, żeby je przedłożyć panom, którzy rozdadzą nagrody. Wcale nie! Dyrektor przyszedł dziś na koniec lekcji i powiedział tak:

- Chłopcy, przynoszę wam wspaniałą wiadomość!

Potem zawołał:

- Coraci! Kalabryjczyk!

Kalabryjczyk podniósł się w ławce...

- Czy chciałbyś być w grupie tych, którzy jutro w teatrze zainoszą władzom świadectwa do nagród?

Kalabryjczyk odpowiedział, że chce.

- Dobrze! - odparł dyrektor. - Tym sposobem będziemy mieć także reprezentanta Kalabrii. Władze miejskie postanowiły, żeby dziesięciu lub dwunastu chłopców, pochodzących z różnych części Włoch, a uczęszczających do różnych klas, przedstawiło im świadectwa do nagród. Mamy dwadzieścia oddziałów szkolnych i pięć oddziałów pomocniczych, razem sześć tysięcy uczniów. W tak dużej liczbie z łatwością znajdziemy chłopca z każdej prowincji kraju. W sekcji Torquata Tassa jest dwóch przedstawicieli naszych wysp: jeden Sycylijczyk i jeden Sardyńczyk. W szkole „Boncompagni” jest mały florentyńczyk, synek snycerza; w szkole „Tomasseo” jest mały rzymianin; jest paru weneccjan i Lombardczyków, Romaniolów też znajdziemy; neapolitańczyk, synek urzędnika, jest w szkole „Monvi-

so”; a my, z naszej szkoły, damy genueńczyka i ciebie, Coraci, Kalabryjczyka! Dodawszy Piemontczyka będziemy mieli dwunastu. Czyż to nie będzie piękne? Wasi bracia ze wszystkich części kraju zbiorą się, aby wam rozdać nagrody. To tak, jakby całe Włochy wam je dawały.

A teraz posłuchajcie: na scenie pojawi się cała dwunastka. Przyjmijcie ich głośnymi oklaskami. Chociaż to jeszcze dzieci, ale będą reprezentować swoje kraje jak dorośli ludzie. W końcu mała, trójkolorowa chorągiewka jest tak samo symbolem Włoch, jak i duża chorągiew, nieprawdaż? Powitajcie więc ich gorącym aplauzem. Dajcie dowód, że wasze małe, dziesięcioletnie serca czują zapał, że wasze dusze unoszą się na widok świętego obrazu ojczyzny!

To powiedziawszy, dyrektor wyszedł, a nauczyciel uśmiechnął się i rzekł:

– A więc, Coraci, zostałeś deputowanym z Kalabrii!

A my w śmiech i bijemy brawo! I zaraz po wyjściu na ulicę wzięliśmy go pod kolana i podnieśliśmy z triumfalnymi okrzykami:

– Wiwat deputowany z Kalabrii! Wiwat!

Ma się rozumieć, że to był żart, ale bynajmniej nie dla ośmieszenia, ale żeby go uczcić serdecznie, bo wszyscy go bardzo lubimy. Więc tak go niesiemy i krzyczymy, a on się tylko uśmiecha, a tu na rogu ulicy widzimy pana z czarną brodą, który też się śmieje.

Na to Kalabryjczyk:

– To mój tata! Puszczajcie!

A my nic! Maszerujemy w najlepsze dalej i dopiero kiedy dotarliśmy do tego pana, oddaliśmy mu syna i rozbiegliśmy się, każdy w swoją stronę.

Rozdanie nagród

14 marca

Około drugiej wielki teatr był już zapchany ludźmi. Parter, galeria, loże, balkon – wszystko pełne. W oczach migwały tysiące twa-

rzy, uczniowie, panie, nauczyciele, kobiety z ludu, dzieci; taki był ruch, taki szum piór, wstążek, jedwabi, taki szmer przeciągły i uroczysty, że aż serce rosło!

Cały teatr był obwieszony trójkolorowymi draperiami, na czerwono, biało i zielono.

Z obu stron parteru ustawiono po kilka stopni; z jednej strony uczniowie mieli wchodzić na scenę po nagrody, a z drugiej schodzić z nagrodami. Na froncie sceny stał rząd czerwonych foteli, a na oparciu środkowego wisiał wieniec z wawrzynu; całą zaś głębię sceny ozdabiała mnóstwo chorągwi. Z jednej strony ustawiono pięknie nakryty stół, na którym leżały nagrody, związane trójkolorowymi wstążkami. Orkiestra stała poniżej sceny, jak zwykle w teatrze; nauczyciele i nauczycielki zajęli już połowę pierwszej, przeznaczonej dla nich, galerii; ławki i przejścia w orkiestrze zajmowała może setka małych chórzystów, którzy trzymali w rękach rozwinięte nuty; a jeszcze to tu, to tam przechodzili nauczyciele i nauczycielki, ustawiając rzędem tych, którzy mieli otrzymać nagrody, a matki poprawiały im włosy i krawaty.

Kiedy wszedłem z rodzicami do loży, zobaczyłem w przeciwległej loży nauczycielkę maluchów, która, śmiejąc się, ukazywała śliczne dołeczki w okrągłej twarzy, a z nią wychowawczynię mego brata i tę, co ją nazywają „zakonnica”, ubraną na czarno, i moją dawną nauczycielkę, która była tak blada i kaszlała tak głośno, że słycać ją było z jednego końca sali w drugim.

Na parterze zobaczyłem sympatyczną facjatę Garronego i mały, jasny łepiek Nellego, który stał przytulony do jego ramienia. Nieco dalej spostrzegłem Garoffiego ze spiczastym nosem jastrzębia, który był bardzo zajęty kompletowaniem listy nagrodzonych i miał w ręku sporą paczkę, którą pewnie będzie później handlował. Ano, zobaczymy jutro.

Tuż przy drzwiach stał ze swoją żoną handlarz drewnem, oboje odświętnie wystrojeni, a przy nich syn, który ma dostać trzecią nagrodę z drugiej klasy. Osłupiałem, nie widząc jego zwykłej czapki z futerkiem ani brązowej kurtki. Wyelegantowany był jak panisko.

Na jednej z galerii ujrzałem przelotem Vatiniego, z wielkim, koronkowym kołnierzem, ale zaraz mi zniknął gdzieś sprzed oczu. Na proscenium, pełnym publiczności, stał kapitan artylerii, ojciec Robettiego, tego, co chodzi o kulach, co wyratował od śmierci malca z zerówki.

Równy z wybiciem drugiej orkiestra zaczęła grać, a jednocześnie przez schodki z prawej strony weszli na scenę pan syndyk, pan prefekt, pan asesor, pan inspektor i wielu innych panów, ubranych na czarno, którzy zasiedli na czerwonych fotelach. Nagle orkiestra ucichła, a nauczyciel szkoły śpiewu zbliżył się z batutą w rękę. Na jego znak wszyscy chłopcy, siedzący w ławkach orkiestry, wstali i zaczęli śpiewać chórem. Jak pięknie! Wszyscy słuchali nieruchomo jak zaczarowani. Bo był to tak słodki, czysty, powolny śpiew, jak gdyby w kościele albo w raju... Gdy umilkł, zagrzmiały oklaski, a potem zrobiło się znów cicho. Miało się zacząć rozdawanie nagród. Na scenie stał już mój dawny nauczyciel z drugiej, ten z rudą głową i bystrymi oczyma, bo to on właśnie miał wyczytywać nazwiska nagrodzonych. Czekano tylko na przybycie dwunastki chłopców, którzy mieli przedstawiać świadectwa. Gazety zapowiedziały, że chłopcy wybrani zostali ze wszystkich części Włoch. Publiczność wiedziała o tym i oczekiwała ich przyjścia, patrząc ciekawie na boczne drzwi, którymi mieli wejść. Pan syndyk, inni panowie milczeli i cały teatr milczał w oczekiwaniu...

Nagle wbiegli aż na proscenium i stanęli rzędem, dwunastu, z uśmiechem radości i dumy. Cały teatr, trzy tysiące ludzi zerwało się z miejsc, wybuchając grzmotem oklasków jak burza.

Chłopcy stali przez chwilę zupełnie oszołomieni.

– Oto Włochy! – zawołał jakiś donośny głos z łoży.

Wszyscy byli bardzo wzruszeni. Poznałem zaraz Coraciego, naszego Kalabryjczyka; był ubrany na czarno, jak zawsze. Jeden pan z władz miejskich, który siedział z nami, a znał wszystkich, pokazywał ich po kolei mojej matce.

– Ten mały blondynek jest przedstawicielem Wenecji. Rzymianin to ten wysoki, kędzierzawy.

Ze trzech ich może było z bogatych rodzin, a reszta dzieci robotników. Ale ślicznie wyglądali w swych ludowych strojach! Florentryńczyk, najmniejszy ze wszystkich, był przepasany wpół błękitną szarfą. Zaraz też przemaszerowali z paradą przed panem syndykiem, który każdemu z nich ścisnął rękę, zaś pan, co przy nim siedział, przedstawiał mu z uśmiechem każdego, z jakiego jest miasta:

- Florencja, Neapol, Bolonia, Palermo...

A co który przeszedł, to mu cały teatr klaskał, aż grzmiało. Po tej paradzie przed panem syndykiem pobiegli wszyscy do stolika po leżące na nim świadectwa; nauczyciel zaczął odczytywać z listy nazwy szkół, klas oraz nazwiska nagrodzonych, którzy zaczęli wstępować na scenę równym, dostojnym krokiem.

Zaledwie weszli pierwsi, kiedy za sceną odezwała się cicha muzyka samych skrzypiec. Przez cały czas rozdawania nagród trwała ich słodka, jednostajna pieśń, jakby szmer łagodnych głosów matek, nauczycieli i nauczycielek cieszących się razem z nagrodzonymi chłopcami.

Tymczasem chłopcy, wywoływani z listy, zbliżali się jeden po drugim do siedzących panów, którzy podawali im nagrody, przemawiając do nich ciepło. A jak pokazał się jakiś malec, to zaraz ci najmniejsi na galeriach i na parterze zaczęli klaskać; niemało też osób klaskało tym, którzy byli biednie ubrani albo mieli ubrania w narodowych barwach.

A te pierwszaki! Wgramoliło się to na scenę, stanęło i nie wiedziało, co ze sobą zrobić i gdzie się obrócić. Cały teatr pękał ze śmiechu! W końcu jeden maluch, z wielką różową kokardą na plecach, ledwo się wdrapał na schodki, zaplątał się w dywan i bęc, leży! Skoczył pan prefekt, podniósł go, postawił na nogi, a wszyscy się cieszą i klaszczą, że taki zuch idzie po nagrodę...

Inny znowu, przyciskając nagrodę obu rękami, pośliznął się przy zejściu na schodach i spadł. Panie krzyknęły, ale nic mu się nie stało, i choć wywinął parę kozłów, nagrody nie puścił!

Różni tam byli pomiędzy nimi, można się było napatrzeć! Były twarze poważne, były wystraszone, były czerwone jak wisiénki, ale

były też małe filuty, które się wszystkim tym panom prosto w oczy śmiały, a ledwie zeszyły ze sceny, zaraz je matki chwyciły na ręce i zabierały ze sobą do domu.

Wreszcie przyszła kolej na naszą szkołę! No, z tych bardzo wielu znałem. Szedł Coretti, od stóp do głów w nowym ubraniu, z tym swoim pięknym uśmiechem, w którym odsłaniał rzędy białych zębów. Nikt by się nie domyślał, ile on już dziś cetnarów drewna przydzwigał od rana! Pan syndyk, dając mu świadectwo, zapytał, co znaczy ten czerwony znak, który ma na czole, i trzymał mu rękę na ramieniu. Poszukałem oczyma na parterze jego rodziców: śmiało się oboje, zakrywając usta dłońmi.

Potem szedł Derossi, cały ubrany na niebiesko, w błyszczących butach, z jasnymi kędziorami, szczupły, zgrabny, z podniesionym czołem, tak piękny, tak ujmujący, że chętnie bym go wyściskał! Wszyscy panowie w fotelach podawali mu rękę i każdy mu powiedział coś miłego.

Wtem rudy nauczyciel zawołał:

– Juliusz Robetti!

I oto ukazał się nasz drogi Robetti na kulach... Wszyscy uczniowie ze szkół w naszym mieście wiedzieli o jego wypadku. W mgnieniu oka przez salę przebiegł szmer i rozległy się oklaski jak teatr długi i szeroki! Od okrzyków drżały ściany! Mężczyźni powstali z miejsc, panie powiewały chusteczkami, a biedny chłopiec zatrzymał się pośrodku sceny, drżący i oszołomiony. Pan syndyk wstał, podprowadził go sam, a wręczwszy mu nagrodę, ucałował w czoło i uściskał serdecznie. Potem odczepił ten wianek z wawrzynu, który był nad jego fotelem, i zawiesił mu go na rączce od kuli. A że chłopiec drżał coraz silniej, odprowadził go sam do parterowej łoży, gdzie stał jego ojciec, kapitan, który chwycił chłopca na ręce i posadził go przy sobie w łoży wśród nieopisanej burzy okrzyków: „Niech żyje! Niech żyje!”

Tymczasem ciągle jeszcze za sceną grały skrzypce swoją cichą, słodką pieśń, a chłopcy szli i szli...

Szli ze szkoły „Consolata”, prawie sami synowie kupców; szli ze szkoły „Vanchiglia”, synowie robotników; szli z „Boncompagni”,

gdzie przeważnie uczą się dzieci rolników; a na koniec szli ze szkoły „Raineri”.

Zaledwie przeszli, sześciuset chłopców w orkiestrze odśpiewało następną, piękną pieśń; potem przemawiał pan syndyk, a po nim pan asesor, który swoją mowę zakończył, zwracając się do chłopców tak:

- Zanim opuścicie te mury, pokłońcie się z miłością i czcią tym, którzy pracują z wami; którzy wam poświęcają wszystkie siły. Oto oni! - i skłoniwszy głowę, wskazał ruchem ręki galerię nauczycieli.

A wtedy chłopcy powskakiwali na ławki, na krzesła, wyciągając ręce do nauczycieli i nauczycielek, wykrzykując nazwiska ulubionych wychowawców, i wydając okrzyki płynące prosto z serca.

Na galerii zrobił się też nieopisany ruch. Nauczyciele i nauczycielki odpowiadali uczniom też wzruszonymi głosami, a kapelusze, ręce, chusteczki, wszystko to chwiała się w powietrzu w stronę chłopców.

Potem orkiestra znów zagrała hymn narodowy, a publiczność raz jeszcze pozdrowiła grzmiącymi oklaskami dwunastu małych reprezentantów włoskich prowincji, którzy w prześlicznej grupie, spleceni ramionami, stali na proscenium w powodzi rzucanych im kwiatów.

Spór

20, poniedziałek

Nie! To naprawdę nie przez zazdrość, że on dostał nagrodę, a ja nie, pokłóciłem się dziś rano z Corettim. Wcale nie przez zazdrość! Bo on zaczął. Nauczyciel posadził go koło mnie, a ja pisałem kaligrafię w moim nowym zeszytcie. Wtem trącił mnie łokciem tak, że zrobił mi się okropny kleks nie tylko w zeszytcie, ale też na miesięcznym opowiadaniu, które wziąłem do przepisania od chorego Mularczyka i podłożyłem sobie pod kartkę.

Powiedziałem mu naturalnie kilka słów do słuchu.

A on na to z uśmiechem:

- To nienaumyślnie!

Wiem dobrze, że nienaumyślnie, znam go przecież, ale tak mnie to zezłościło, że się uśmiecha, że pomyślałem sobie: „Dostałeś, ptaszku, nagrodę, to się zaraz puszysz!”.

I aż się we mnie zagotowało.

Niewiele myśląc, jak go nie wyrznię łokciem, aż zamazał sobie rękawem całą zapisaną stronę.

Poczerwieniał ze złości i krzyknął:

– Ale ty – to umyślnie! – i podniósł rękę.

Nauczyciel to zobaczył i powstrzymał go. Siadł, ale szepnął do mnie:

– Poczekam na ciebie przed szkołą!

A mnie tymczasem złość minęła i było mi głupio i wstyd.

„Nie – pomyślałem – Coretti z pewnością nie chciał mi zrobić na złość!” I zaraz mi się przypomniało, jak widziałem go w jego domu, kiedy pracował, kiedy pomagał chorej matce, a potem kiedy mnie odwiedził, i jak się spodobał mojemu tacie. Dałbym nie wiem co, żeby to wszystko cofnąć! Żebym nie zachował się wobec niego tak paskudnie! Przypomniałem sobie, co mi radził ojciec:

„Zawiniisz – proś o przebaczenie!”.

Ale coś mnie jednak powstrzymywało. Było mi wstyd przyznać się, przepraszać. Patrzyłem więc na niego spod oka i widziałem, że ma kurtkę rozdartą na plecach, może właśnie od noszenia drewna, i poczułem, że bardzo go lubię, i mówiłem sam do siebie: „Co tam, przepraszę go!”. A jednak to małe słówko „przepraszam” uwięzło mi w gardle. On zaś spoglądał na mnie z ukosa od czasu do czasu i zdawał się bardziej zmartwiony, niż rozgniewany. Wówczas i ja patrzyłem na niego z ukosa, bo chciałem pokazać, że się go nie boję.

Wtedy powtórzył jeszcze raz:

– Zobaczymy się przed szkołą!

A ja:

– Zobaczymy się przed szkołą!

I znowu mi się przypomniało, co mówił mi raz ojciec:

„Jeśli zawiniłeś, broń się, ale nie uderzaj!”.

I zaraz sobie postanowiłem:

„Będę się bronił, ale go nie uderzę”. Ale taki byłem z siebie niezadowolony, tak smutny, że nawet nie słyszałem, co mówi nauczyciel.

Aż przyszedł koniec lekcji.

Kiedy znalazłem się sam na ulicy, spostrzegłem, że idzie za mną. Zatrzymałem się i czekałem na niego z linijką w ręku. Podszedł – podniosłem linijkę.

A on:

– Nie, Henryku! – rzekł z tym swoim miłym, dobrym uśmiechem, biorąc mnie za rękę. – Nie! Bądźmy przyjaciółmi po dawnemu!

Tak mi się głupio zrobiło i zupełnie jakby mnie kto popchnął, rzuciłem mu się na szyję. On też uściskał mnie i rzekł:

– Nigdy już żadnych kłótni między nami! Zgoda?

– Nigdy! Przenigdy! – zapewniłem.

I rozstaliśmy się uradowani.

Ale kiedy wróciłem do domu i opowiedziałem wszystko ojcu, myśląc, że mu tym sprawię przyjemność, tata zachmurzył się i rzekł:

– To nie on, ale tyś powinien być pierwszy podać rękę do zgody, bo to ty zawiniłeś! A po chwili:

– Jak ty się ośmieliłeś podnieść linijkę na lepszego od siebie, na syna żołnierza!

I rozgniewany wyrwał mi ją z ręki, złamał na pół i cisnął nią o ścianę.

Moja siostra

24, piątek

...Czemu, Henryku, gdy rozgniewałeś ojca swoim złym postępkim wobec Corettiego, jeszcze i mnie chciałeś dokuczyć?

*Sprawileś mi wielką przykrość! Czy nie wiesz, że jak byleś ma-
lutki, całymi godzinami stałam przy twojej kołysce, zamiast się
bawić z innymi dziećmi? A jak zachorowałeś, wstawałam w nocy
z mego łóżeczka, żeby zobaczyć, czy nie masz gorączki. Czy nie
rozumiesz, że gdyby w nasz dom uderzyło największe nieszczę-*

ście, ja byłabym ci za matkę, i tak bym cię jak matka kochała? Czy nie wiesz, że kiedy zabraknie nam kiedyś i ojca, i matki, ja będę twoją najlepszą przyjaciółką? Jedyną, z którą będziesz mógł rozmawiać o naszych drogich rodzicach i o swoim dzieciństwie i która – gdyby trzeba było – pracowałaby dla ciebie, żebyś miał co jeść i mógł się uczyć. Czy nie wiesz, że zawsze będę cię kochać, nawet jak już będziesz duży, że zawsze będę ci wierna i będę myśleć o tobie, ponieważ wyrosliśmy razem w jednym gnieździe?

Och, Henryku, bądź pewien, że gdy już będziesz mężczyzną, a spotka cię zło i poczujesz się samotny wśród ludzi, będziesz mnie szukał, przyjdiesz do mnie, i powiesz: „Sylwio, siostrzyczko, pozwól mi zostać ze sobą, porozmawiajmy o tych czasach, kiedy byliśmy szczęśliwi. Porozmawiajmy o naszej mamie, o naszym domu, o tych dobrych dniach, takich dziś odległych!”.

I będziemy o nich rozmawiali, Henryku, i zawsze znajdziesz ramiona siostry otwarte!

Przebacz mi, że cię dzisiaj zasmucam tymi wyrzutami. Nie będę chowała urazy i choćbyś znowu powiedział mi coś niemilego – zapomnę! Ty i tak pozostaniesz zawsze moim drogim bratem i będę pamiętać tylko o tym, że się tobą opiekowałam, kiedy byłeś malutki, że razem z tobą kochałam ojca i matkę, że patrzyłam na ciebie, jak rosteś, i przez tyle lat byłam najwierniejszą towarzyszką twego życia.

Tymczasem zaś, żeby dać ci dowód, że się nie gniewam, a także widząc, jak jesteś zmęczony, przepisałam za ciebie miesięczne opowiadanie „Krew romańska”, które miałeś zrobić za chorego Mularczyka; znajdziesz je w lewej szufladzie twojego stolika.

Napisz mi więc teraz jakieś dobre słowo w tym samym zeszytacie, a ja je przeczytam wieczorem.

Twoja siostra Sylwia

*

...Nie jestem godzien rąk twych ucałować.

Henryk

Krew romańska

Opowiadanie miesięczne

Tego wieczoru w domu Ferruccia ciszej było niż zwykle. Ojciec, który prowadził mały sklepik spożywczy, udał się po zakupy do Forti, a matka zabrała tam także małą Ludwisię do doktora, który miał jej zoperować chore oko. Oboje mieli powrócić dopiero nazajutrz rano.

Północ już była blisko. Posługująca we dnie kobieta odeszła jeszcze o zmroku.

W domu pozostał tylko trzynastoletni Ferruccio i jego stara, sparaliżowana na obie nogi babka.

Ten dom to był właściwie domek. Mały, parterowy domek stojący tuż przy gościńcu na dobrym strzał z fuzji od wioski, niezbyt odległej od Forti, które jest miastem Romanii.

Za całe sąsiedztwo miał on niezamieszkaną rudere, która przed dwoma miesiącami spłonęła, a na której widać było jeszcze napis „Oberża”.

Za domkiem był mały ogródek otoczony żywopłotem, do którego prowadziła niska, wiejska bramka; drzwi sklepiku, będące drzwiami domu, wychodziły prosto na gościniec. Dokoła zaś rozciągała się okolica pusta, szerokie pola uprawne zasadzone morwą.

Wieczór był wietrzny i dżdżysty.

Ani babka, ani Ferruccio jeszcze nie spali i siedzieli w jadalnej izbie, która była zarazem kuchnią, przedzieloną od ogrodu małą komórką, zastawioną starymi gratami.

Ferruccio powrócił do domu dopiero o jedenastej po kilkugodzinnej wyprawie, a babka czekała na niego, nie zmrzywszy oka, pełna niepokoju, przykuta do swego obszernego fotela, na którym spędzała całe dnie, a często i kawał nocy, gdyż ciężka duszność nie zawsze pozwalała jej się położyć do łóżka.

Deszcz wzmagął się, wiatr bił nim w małe szyby okien; noc stała się zupełnie czarna.

Ferruccio powrócił zmęczony, zablocony, w podartej kurtce i z wielkim siniakiem na czole. Jak zwykle, on i jego towarzysze ci-

skali w siebie kamieniami, najpierw dla zabawy, a potem przyszło do bijatyki; co gorsza, przegrał wszystkie swoje groszaki, a czapkę zostawił gdzieś w rowie.

W kuchni, oświetlonej tylko małą lampką stojącą w rogu stołu blisko fotela, nie było zbyt jasno: a jednak biedna babka natychmiast dostrzegła, w jak nędznym stanie wraca wnuk, i po części odgadła, po części wyciągnęła z niego szczegóły jego włóczęgi. Ogromnie kochała tego chłopca. Ile razy się z kimś pobił, zawsze się spłakała. I teraz też tak było.

- Ach, nie! - mówiła później po długim milczeniu. - Nie masz ty serca dla twej starej babki! Nie masz serca, kiedy w taki sposób korzystasz z tego, że nie ma w domu ojca ani matki, i tak mnie ciężko zasmucasz! Przez cały prawie dzień zostawiłeś mnie samą. Jesteś bez żadnego współczucia dla kaleki! Strzeż się, Ferruccio. Na złą drogę wchodzisz! Na drogę, co cię może zaprowadzić do smutnego końca. Stara już jestem... Widziałam niejednego, co tak zaczynał jak ty, a bardzo źle kończył. Zaczyna się od wałęsania poza domem, od ciskania kamieniami, od przegrywania groszy, a potem, powoli, powoli przechodzi się od kamieni do noża, od zabawy do hazardu, od gry do innych występków, do nadużyć aż... do kradzieży!

Ferruccio stał i słuchał, o trzy kroki od fotela babki, oparty o kredens, z głową spuszczoną, ze zmarszczonymi brwiami, cały jeszcze rozgrzany świeżo stoczoną bójką. Jego piękne, kasztanowate włosy spadały mu na czoło, błękitne oczy były nieruchome.

- Od gry prosta droga do kradzieży! - powtórzyła babka, ocierając łzy ze starych oczu. - Pamiętaj, moje dziecko, o tym! Przypomnij sobie tę zakałą całej okolicy, tego Witka Mozzoni, który teraz włóczy się po mieście. Nie miał jeszcze dwudziestu czterech lat, kiedy już dwa razy w więzieniu siedział. Jego biedna matka przeżyć tego nie mogła i serce jej pękło... Znałam ją! A jakże! A ojciec to aż gdzieś za morze wywędrował z tego wstydu i z tej desperacji! Pomyśl tylko o tym hultaju, którego ojciec twój wstydzi się pozdrowić, choć go dobrze zna! Nie zobaczysz go inaczej, jak tylko w kompanii takich samych jak i on łotrzyków albo i jeszcze gorszych, aż

do tego niechybnego dnia i terminu, w którym pójdzie na galery! Otóż znam go od dziecka, i patrzyłam na niego. Tak samo zaczynał jak i ty! Bacz, chłopcze, abys nie doprowadził ojca i matki do tego, do czego on doprowadził swoich rodziców.

Ferruccio milczał. Nie był to zły chłopiec. Przeciwnie. Całe to jego urwisostwo wynikało raczej z nadmiaru energii, z jakiejś dzikiej fantazji, z nieokiełznanej odwagi, a nie ze złych skłonności. Jego ojciec czuł, że syn w głębi serca jest zdolny do dobrych uczuć, a w potrzebie i do męskiego, szlachetnego czynu, więc nie hamował go zbyt, czekając, aż sam osądzi swoje wykroczenia. Był to w istocie dobry chłopiec, ale uparty i strasznie samowolny, a choćby mu się serce ścisnęło z żalu, nigdy przez usta nie przeszło mu słowo przyznania się do winy lub prośby o przebaczenie. Nieraz miał duszę pełną najtkliwszych wyrazów, ale duma i zaciętość trzymały je jakby na uwięzi.

Tymczasem staruszka, widząc, że uparcie milczy, zaczęła znowu narzekać:

- Ach, Ferruccio! Żebyś też choć jedno słówko żalu powiedział. Jedno słówko skruchy! Widzisz przecie moje ciężkie kalectwo i że mi już mało do śmierci brakuje!

I ty masz serce zasmucać do łez matkę swojej matki, twoją starą babkę, dla której ostatni dzień jest już bliski.

Kiedy cię kołysałam, gdy byłeś maleńki, mówiłam zawsze: to będzie moja pociecha! A teraz - śmierć mi przyspieszasz! Nie żal mi życia. Oddałabym chętnie resztę dni moich, byleś był znowu takim dobrym, takim posłusznym dzieckiem jak wówczas, kiedy cię pierwszy raz prowadziłam do kościoła, pamiętasz, Ferruccio, a ty kwiatków i trawy nakładłeś mi do kieszeni, a ja cię śpiącego na rękę przyniosłam do domu. Wtedy kochałeś jeszcze swoją babkę. A teraz, kiedy mi to kalectwo odjęło nogi, kiedy tak mi potrzeba twego przywiązania jak powietrza do oddechu, kiedy już nikogo nie mam na ziemi, na wprost jestem nieżywa... teraz... Boże mój!

Już, już miał się Ferruccio rzucić do kolan babki, tak go przemoгло wzruszenie, kiedy wtem wydało mu się, że słyszy jakiś szmer w zastawionej rupieciami komórcie, która wychodziła na ogród.

Nie mógł się jednak zorientować, czy to wiatr porusza okiennicą, czy też co innego.

Nadstawił ucha...

Deszcz ustawał. Szmer się powtórzył. Nawet babka go usłyszała.

- Co to? - spytała zaniepokojona.

- To deszcz - zamruczał chłopak.

- A więc jakże, Ferruccio - przemówiła po chwili, ocierając łzy - przyrzekasz mi, że będziesz dobry? Że już te stare oczy nie będą przez ciebie płakały?

Wtem nowy szmer dał się słyszeć.

- To chyba nie deszcz?!... - zawołała staruszka, blednąc. - Idź no i zobacz!

Natychmiast jednak chwyciła go za rękę.

- Nie! Nie! Zostań tutaj...

I zamarli tak, wstrzymując oddech. Ale nie było nic słyhać, tylko krople spadającej wody.

Wtem dreszcz przeszył serce obojga. I babce, i wnukowi wydało się, że podłoga w komórce skrzypnęła pod czyimiś krokami.

- Kto tam? - zapytał chłopiec, z trudnością odzyskując oddech. Nikt nie odpowiedział.

- Kto tam? - powtórzył Ferruccio na wpół zmartwiałym z przestraszenia.

Zaledwie wymówił te słowa, kiedy oboje z babką wydali okrzyk przerażenia. Do izby wpadło dwóch ludzi, jeden pochwycił chłopca i zatkał mu ręką usta, drugi zaś zacisnął gardło staruszce. Pierwszy rzekł:

- Ani piśnij, jeśli ci życie miłe!

A drugi:

- Milcz! - i podniósł nóż nad kalekę.

Jeden i drugi mieli twarze obwiązane ciemnymi chustkami, że tylko oczy błyszczały złowrogo.

Przez chwilę słyhać było tylko przyspieszony oddech wszystkich czworga, zmieszany z szumem słabnącego deszczu. Staruszka dyszała chrapliwie, a jej oczy były ogromne z przerażenia.

Wtem złoczyńca trzymający chłopca szepnął mu do ucha:

- Gdzie ojciec chowa pieniądze?

Chłopiec, szcękając zębami, odpowiedział cicho:

- Tam... w skrzyni...

- Chodź, prowadź - rzekł człowiek.

I powłókł go do komórki, trzymając mu rękę na gardle. W komórce stała na podłodze zgaszona latarka.

- Gdzie skrzynia? - zapytał.

Chłopak pokazał skrzynię. Wtedy, żeby być pewnym chłopca, rabuś rzucił go na kłęczki przed skrzynią, ścisnął mu kolanami szyję, tak że gdyby krzyknął, mógłby być zduszony, i trzymając nóż w zębach, a latarkę w jednej ręce, wydobył drugą z kieszeni zakrzywione żelazo, podważył zamek, zakręcił, wyłamał, oderwał wieko, zaczął gwałtownie wszystko przewracać, naładował kieszenie, skrzynię zatrzasnął, a ścisnąwszy znów chłopca za gardło, powłókł go tam, gdzie drugi trzymał na wpół uduszoną staruszkę, z twarzą posiniałą i otwartymi ustami.

- Znalezione? - zapytał z cicha.

- Znalezione! - odrzekł tak samo towarzyszy. I zaraz dodał: - Pilnuj teraz wyjścia.

Zbój puścił na to staruszkę i pobiegł do drzwi do ogrodu, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, po chwili cichym, podobnym do gwizdnięcia głosem zawołał z komórki:

- Jazda!

Wtedy ten, który jeszcze trzymał chłopca, pokazał mu nóż, potrząsnął nim przed staruszką, z wolna otwierając oczy, i rzekł:

- Jeżeli które piśnie słowo, wróć i zabiję!

I patrzył na oboje strasznymi oczyma.

W tej chwili wszakże dało się na gościńcu słyszeć śpiewanie wielu głosów.

Rabuś odwrócił się gwałtownie ku drzwiom i przy tym ruchu chustka opadła mu z twarzy.

- Mozzoni! - krzyknęła babka.

- A przekłeta! - ryknął rozpoznany złoczyńca. - Musisz umrzeć!

I rzucił się z podniesionym nożem do staruszki, która opadła zemdlona. Wymierzył cios.

Zanim jednak dotknęło jej ostrze noża, Ferruccio krzyknął przeraźliwie i błyskawicznym rzutem zasłonił babkę swym ciałem.

Morderca umknął, potrąciwszy stół, tak że lampka spadła i zgasła.

Chłopiec osunął się z wolna z łona babki, upadł na klęczki i tak pozostał, z rękoma obejmującymi ją w pół, z głową wspartą o jej kolana.

Minęło kilka chwil. Ciemność zalegała izbę. Śpiew idących wieśniaków rozpląnął się z wolna po dalekich polach. Staruszka ocknęła się z omdlenia.

- Ferruccio! - zawołała ledwo zrozumiałym głosem, szcękając zębami.

- Tak, babciu! - odpowiedział chłopiec.

Staruszka usiłowała przemówić, ale zgroza paraliżowała jej język. Trzęsła się więc tylko przez chwilę w milczeniu. Nareszcie zapytała z wysiłkiem:

- Czy... już... ich... nie ma?

- Nie.

- Nie zabili mnie? - wyszeptała jeszcze stłumionym głosem.

- Nie, babciu! Babcia jest... ocalona! - odparł Ferruccio słabym głosem. - Babcia żyje... Droga babciu... Tylko pieniądze zabrali. Ale... niedużo. Tata prawie wszystko zabrał ze sobą.

Staruszka zaczęła lżej oddychać.

- Babciu! - przemówił Ferruccio, ciągle jeszcze na klęczkach, ściskając ją w pół rękoma. - Droga babciu! Babcia mnie kocha, prawda?

- Och, Ferruccio, biedny mój chłopcze! - odpowiedziała kaleka, kładąc mu ręce na głowie - jakże się musiałeś przerazić! O Boże miłosierny! Zapal no światło, dziecko! Albo nie! Zostańmy tak jeszcze chwilę. Jeszcze się boję.

- Babciu - rzekł chłopiec. - Babcia tyle zawsze miała ze mną zmartwienia.

- Nie, dziecko! Nie! Kto by tam teraz o tym myślał. Zapomniałam już o wszystkim, drogie dziecko moje. Moje ukochanie!

- Tyle zmartwienia miała babcia przeze mnie - mówił dalej Ferruccio głosem, który drżał - ale... ja przecież babcię zawsze kochałem... Zawsze... Babcia mi przebaczy? Niech babcia mi przebaczy!

- Ależ tak, dziecko drogie! Przebaczam! Przebaczam ci z serca! Jakżebym ja się na ciebie mogła gniewać? Podnieś się z kolan, drogi chłopcze, podnieś! Tyś dobry! Tyś bardzo dobry i kochany! Zapalmy światło! Nabierzmy odwagi! Wstań, Ferruccio, wstań!

- Dziękuję ci, babciu! - mówił chłopiec coraz słabszym głosem. - I jestem teraz taki szczęśliwy! Babcia zawsze pamiętać o mnie będzie... Nieprawdaż? Zawsze... pamiętać będzie babcia o swoim... Ferruccio...

- Ferruccio! Dziecko! Co tobie? - zawołała niespokojnie starsuszka i kładąc mu na ramionach ręce, pochyliła się nad jego głowę, jakby chciała mu spojrzeć w twarz.

- Niech babcia pamięta... - wyszeptał jeszcze chłopiec gasnącym głosem. - I uściska... mamę i... ojca... i... Ludwisię... Bądź zdrowa... Babciu!

- W imię boskie, co ci jest? - zawołała babka, podnosząc z trudem głowę chłopca, która opadła jej na kolana, a potem z nagłym przenikliwym krzykiem: - Ferruccio!... Ferruccio!... Dziecko moje!... Kochanie moje!... O, ratujcie mnie, wy rajscy anieli!...

Ale Ferruccio już nie odpowiedział. Mały bohater, zbawca matki swej matki, uderzony w krzyż nożem mordercy, oddał już swą piękną i gorącą duszę Bogu.

Umierający Mularczyk

28, wtorek

Biedny Mularczyk jest bardzo ciężko chory. Nasz nauczyciel powiedział nam, żebyśmy go odwiedzili, więc umówiliśmy się - Garrone, Derossi i ja, że pójdziemy razem. Stardi też miał iść, ale

pan zadał nam ćwiczenie o pomniku Cavoura, więc poszedł oglądać ten pomnik, żeby opis był dokładniejszy.

Tak na próbę, zaprosiliśmy też ze sobą tego pyszałka Nobisa; ale powiedział krótko: „Nie” – i koniec. Vatini też się wymówił, może ze strachu, żeby sobie nie pobielić ubrania.

Poszliśmy we trzech po szkole, o czwartej. Deszcz lał jak z cebra. Na ulicy Garrone zatrzymał się i z gębą zapchaną chlebem zapytał:

– A co mu kupimy? – i zabrzdąkał dwoma soldami, które miał w kieszeni.

Złożyliśmy się każdy po dwa soldy i kupiliśmy trzy duże pomarańcze, po czym weszliśmy na poddasze. Derossi odpiął przed drzwiami swój medal i schował go do kieszeni

– Dlaczego? – zapytałem.

– Czy ja wiem... – odpowiedział. – Zdaje mi się, że delikatniej będzie pójść bez medalu...

Zapukaliśmy. Otworzył nam ojciec, ten olbrzym murarz. Twarz miał stroskaną i jakby przestraszona.

– A wy co za jedni?

Garrone wysunął się naprzód.

– Jesteśmy kolegami Antosia ze szkoły. Przynieśliśmy mu pomarańcze...

Olbrzymi murarz pokiwał głową i westchnął:

– Oj, biedny Antek! Nie poje on już chyba tych pomarańcz... nie poje...

I wierzchem ręki otarłszy sobie oczy, zaprosił, żebyśmy weszli.

Weszliśmy do izdebki na strychu i ujrzeliśmy Mularczyka, który spał na małym, żelaznym łóżku. Matka pochylona nad łóżkiem, z zakrytą rękami twarzą, ledwie się odwróciła, żeby na nas spojrzeć. Na ścianie nad nim wisiały pędzle, sito do wapna, kielnie. Nogi chorego okryte były ubieloną gipsem kurtką ojca. Biedny chłopiec okropnie wychudł, nos mu się wydłużył, był strasznie blady i bardzo prędko oddychał...

Och, Antosiu kochany, mój mały kolego, taki dobry i wesoły, jak mi cię żal, jak żal! Co bym dał za to, żebym mógł zobaczyć, jak robisz zajęczy pyszczek, biedny Mularczyku!

Garrone położył mu pomarańcze tuż przy twarzy, na poduszce. Zapach zbudził Antka. Wziął pomarańczę do ręki, ale zaraz ją wypuścił i wlepił oczy w Garronego.

- To ja, Garrone - odezwał się Garrone cicho. - Poznajesz mnie?

Mularczyk uśmiechnął się leciutko, podniósł z trudem z łóżka swoją wychudłą rękę i podał ją koledze.

Garrone ujął ją w obie dłonie i uściśnął, mówiąc:

- Nie bój się, nic się nie bój. Niedługo wyzdrowiejesz i przydziesz znów do szkoły, a nasz pan posadzi cię koło mnie! Zgoda?

Ale Mularczyk nic nie odpowiedział, tylko jego matka zaczęła płakać.

- Ach, biedaczysko moje, biedaczysko! Taki dobry, taki pocziwy, a teraz Pan Bóg chce nam go zabrać! O Jezu!...

- Ciszej - krzyknął zrozpaczony murarz - ciszej, na miłość boską, bo zwariuję.

A potem do nas, dysząc ciężko:

- Idźcie, idźcie już, chłopcy! Dziękuję... Idźcie! Tu nie macie co robić... Do domu idźcie! Dziękuję...

A Mularczyk zamknął oczy i zdawało się, że umiera.

- Może byśmy w czymś pomogli? - zapytał Garrone.

- Nie, chłopcze, nie! Idźcie do domu. - Mówiąc to, zagarnął nas ręką ku drzwiom i zamknął je za nami. Zaledwie jednak doszliśmy do połowy schodów, słyszymy, że woła:

- Garrone! Garrone!

Pobiegliśmy wszyscy trzej z powrotem.

- Który to Garrone? - pyta murarz ze zmienioną twarzą.

- Niech idzie... Dwa razy go wołał... Czeka... Prędko! Ach, Boże Wszchemogący! Może to dobry znak!

- Do widzenia! - rzekł do nas Garrone. - Zostanę tutaj!

I skoczył do izby za ojcem.

Derossi miał oczy pełne łez. Powiedziałem:

- Czy płaczesz z powodu Mularczyka? Kiedy przemówił, to może jeszcze wyzdrowieje.

- Może - odpowiedział Derossi. - Ale teraz nie o nim myślałem. Myślałem o tym, jaki dobry jest i jaką piękną ma duszę Garrone!

Hrabia Cavour

29, środa

...Masz opisać pomnik hrabiego Cavoura. Nie jest to rzecz trudna. Kim jednak był Cavour dla naszej ojczyzny, tego jeszcze teraz w pełni nie zrozumiesz. Na razie zapamiętaj tylko, że przez długie lata był on premierem w Piemontcie, że wysłał na Krym naszą armię, która zwycięstwem pod Czernają zmasała dawną klęskę pod Nowarą i przywróciła sławę oręża włoskiego, że przeprowadził przez Alpy sto pięćdziesiąt tysięcy Francuzów, żeby wypędzić Austriaków z Lombardii, że rządził Włochami w najświetniejszej epoce naszej rewolucji i dał największą podniętę do naszego zjednoczenia, a dzisiejsze Włochy są przede wszystkim dziełem jego genialnego umysłu, niewzruszonej stałości i prawie nadludzkiej pracowitości.

Wielu generałów przeżywało straszne godziny na polach bitew, ale on przeżył najstraszniejsze w czterech ścianach swego gabinetu, w śmiertelnej trwodze, aby olbrzymie jego dzieło - odrodzenie ojczyzny, nie runęło, jak niedokończony gmach, gdy ziemia drży w posadach. A takie to właśnie godziny były mu w bezsenne noce, które spędzał w walce ze sobą, w niepewności tak wielkiej, że mogła pomieszać rozum.

Ta olbrzymia i burzliwa praca skróciła mu życie o jakieś dwadzieścia lat.

Trawiony gorączką, walczył z chorobą, żeby tylko dłużej służyć ojczyźnie.

- Dziwna rzecz - mówił na łożu śmierci. - Nie mogę już czytać, nie mogę pisać, a tyle jest rzeczy do zrobienia!

A kiedy gorączka się wzmagala i opuszczały go siły, mówił do lekarzy głosem niemal rozkazującym:

– Leczcie mnie, śpieszcie się, bo umysł mi się mąci, a potrzebuje jego jasności dla ważnych spraw kraju.

Kiedy już godziny jego były policzone, kiedy całe miasto obległo z niepokojem jego dom, a król stał przy jego wezgiłowi, tak mówił z wysiłkiem:

– Tyle rzeczy powinienem ci powiedzieć, królu... tyle rzeczy przekazać... ale już nie mam sił... nie mogę... I to mnie zabija, że już nic dla mojej ziemi i dla ciebie, królu, nie mogę zrobić...

Myśl jego zwracała się ciągle do spraw państwa, do prowincji, które miały się z nami połączyć, do wielkiego, nieskończonego jeszcze dzieła jedności narodowej.

Świadomość nikła już prawie, a on jeszcze wołał:

– Nauczajcie dzieci... kształćcie młodzież... Rządzcie wolnomyślnie krajem!

Już śmierć nad nim stała, a jeszcze wołał generała Garibaldię, z którym się kiedyś poróżnił, żeby szedł naprzód, naprzód... Jeszcze dopominał się o Rzym dla Włoch, o Wenecję. Miał wizję przyszłości Włoch i Europy, śniło mu się jakieś najście obcych ras i obcych plemion, pytał o wojsko, o wodzów, drżał o swój lud, o kraj...

Jego wielkim bólem było nie to, że życie z niego uchodzi, ale to, że musi odejść, gdy ojczyzna potrzebuje jego służby. Tej służby, która strawiła w ciągu kilku lat potężne siły jego organizmu.

Umarł z okrzykiem bojowym na ustach, a jego śmierć była tak wielka, jak życie.

A teraz pomyśl, Henryku, czym jest nasza praca wobec tych olbrzymich wysiłków ducha i umysłu, praca, która ci przecież nieraz ciąży!

Czym są nasze troski, nasze bóle, a nawet nasza śmierć w porównaniu z tytanicznym trudem i lękiem o losy narodu, z ostatnią godziną tych olbrzymów, którzy sercem podparli rosnącą budowę ojczyzny, czują, że to serce zamiera...

Pomyśl o tym, synu, gdy będziesz przechodził przed tym drogim dla każdego Włocha marmurem, a pochyliwszy z czcią czoło, wymów w swoim sercu: „Chwała!”

Twój ojciec

Kwiecień

Wiosna

1, sobota

Pierwszy kwietnia! Jeszcze tylko trzy miesiące! Dzisiejszy ranoek był chyba najpiękniejszy ze wszystkich w ciągu roku. W szkole było mi bardzo wesoło, bo umówiliśmy się z Corettim, że pojutrze pójdziemy zobaczyć króla. To znaczy Coretti weźmie mnie ze sobą, bo jego ojciec zna króla. Cieszyłem się też, że mama obiecała pójść ze mną do Domu Małego Dziecka na Corso Valdocco. Ale już chyba najbardziej cieszyłem się, że Mularczyk czuje się lepiej i że wczoraj wieczorem nasz pan, przechodząc, powiedział mojemu ojcu:

- Dobrze będzie! Dobrze!

Ach, jaki cudny był ten wiosenny ranoek! Z okien szkoły widać było czyste niebo, drzewa pokryte świeżą zielenią, a na oknach i na balkonach – doniczki i bukiety kwiatów.

Nauczyciel wprawdzie się nie śmiał, bo on się nigdy nie śmieje, ale był w tak dobrym humorze, że nawet prostopadła zmarszczka zniknęła mu z czoła, gdy żartując, tłumaczył nam zadanie przy tablicy. Widać było, że z ogromną przyjemnością oddycha świeżym powietrzem, które wpadało z ogrodu, pełne zapachu kwiatów i skopanej ziemi, tak że zaraz musiało się myśleć o spacerach na wsi.

Ponieważ okna były otwarte, było słyhać, jak gdzieś niedaleko kował uderza w kowadło, a jakaś kobieta śpiewa, usypiając dziecko. Z daleka dolatywał też dźwięk trąb ze szkoły wojskowej. Wszyscy cieszyliśmy się tym gwarem, tylko nie Stardi. Kiedy kował zaczął silniej kuć, a kobieta głośniej śpiewać, nauczyciel przerwał lekcję i słuhał przez chwilę. Potem, patrząc w okno, rzekł:

- Niebo, które się uśmiecha, matka, która śpiewa, obywatel, który pracuje, dzieci, które się uczą – oto rzeczy piękne i dobre!

Przy wyjściu ze szkoły zauważyłem, że wszyscy inni też byli weseli; chłopcy szli, tupiąc energicznie, wielu nuciło półgłosem, zupełnie jak przed czterodniowymi feriami. Nauczycielki żartowały, jedna z nich skakała ze swoimi uczniami, jakby sama była dziewczynką, rodzice uczniów rozmawiali ze sobą, śmiejąc się, a matka Crossiego, zieleniarka, miała w koszu taką ilość fiołków, że pachniało w całym korytarzu. Nigdy się też tak nie ucieszyłem, jak tego ranka, na widok mamy, która czekała na mnie na ulicy.

Pobiegłem do niej zaraz, mówiąc:

- Ale jestem dziś szczęśliwy! Dlaczego, mamó, jestem taki wesół?

A mama uśmiechnęła się i rzekła:

- Bo jest wiosenna pogoda w tobie i na świecie!

Król Humbert

2, poniedziałek

Punktualnie o dziesiątej mój tata dostrzegł przez okno Coretiego z ojcem, którzy, zgodnie z umową, czekali na mnie na placu. Zawołał mnie i rzekł:

- Pospiesz się, Henryku, już są! Idź, zobacz twojego króla!

Pognałem jak strzała.

Obydwaj Coretti, i duży, i mały, byli dziś podnieceni, weseli, a ich nadzwyczajne podobieństwo jeszcze nigdy nie uderżyło mnie tak mocno, jak tego ranka. Ojciec przypiął do kurtki medal za odwagę i dwa odznaczenia, i wyglądał bardzo odświętnie. Ruszyliśmy od razu na dworzec, gdzie w pół do jedenastej miał przybyć król. Ojciec Coretti palił fajkę i zacierał ręce.

- Wiecie, dzieci, że nie widziałem króla od wojny w sześćdziesiątym szóstym? Bagatela! Piętnaście lat i sześć miesięcy, jak ob-

szył! Najpierw trzy lata we Francji, potem w Mołdowie... Dobrze mówię! Piętnaście! A tu go przecież nie mogłem widzieć, trzeba trafiać, że ani razu nie byłem w mieście, kiedy przyjeżdżał! A mówią, że nie ma przeznaczenia...

Ojciec Coretti mówił o królu: Humbert – jakby to był jego kolega. Humbert dowodził 16 dywizją, Humbert miał dwadzieścia dwa lata i tyle a tyle miesięcy, Humbert dosiadał konia tak i tak.

– Piętnaście lat – powtórzył, idąc wielkimi krokami, że ledwie mogliśmy nadążyć. – Bardzo bym chciał go zobaczyć! Znałem go jako księcia, a zobaczę króla... No i ja też się trochę zmieniłem... Z żołnierza przeszedłem na sprzedawcę drewna.

I roześmiał się głośno. Mały Coretti zapytał:

– Tato, a czy król cię pozna?

Ojciec śmiał się.

– Oj, synu mój kochany! Że ja go poznam, to co innego! On był jeden między żołnierzami. A żołnierzy, takich jak ja, było jak much. Cóż to, miał się każdemu przypatrywać, czy co?

Skręciliśmy na Corso Wiktora Emanuela. W stronę stacji kolejowej szło mnóstwo ludzi. Szła kompania alpejska z trąbami, a dwóch karabinierów pędziło galopem na koniach. Jeden koń był siwy i ciągle stawał dęba.

Ojciec Coretti ożywił się.

– Bardzo, ale to bardzo się cieszę, że go znów zobaczę. Przecież to generał mojej dywizji! Ot, jak się to człowiek prędko postarzał! A pamiętam, jakby wczoraj ten ranek dwudziestego czwartego czerwca. Tornister żołnierski na plecach, karabin w ręku, a tu dookoła... proch pachnie, bo zaraz miała się zacząć bitwa. Humbert przelatywał z adiutantami to tu, to tam, a tutaj już armaty zaczynały grzmieć. Wszyscy patrzyliśmy na niego, a żołnierze mówili: „Żeby go tylko jakaś kulka nie polizała!”. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że zaraz znajdę się przed lancami austriackimi. O cztery kroki, mówię wam, nie więcej! A to był piękny dzień! Niebo jak lustro. A upał – Chryste Panie! Zobaczymy teraz, czy można wejść. Spróbujemy!

Doszliśmy właśnie do stacji. Były tu już tłumy ludzi, powozy, stowarzyszenia z chorągwiami. Grała muzyka wojskowa. Pan Coretti próbował wejść na podjazd, ale mu się nie udało. Postanowił więc stanąć w pierwszym rzędzie tych, którzy się tłoczyli u wyjścia. Udało mu się wejść i jeszcze nam zrobił miejsce przy sobie. Ale tłum chwiał się i popychał nas to w jedną, to w drugą stronę. Coretti zauważył pierwszy słup podjazdu, gdzie straż nikomu nie pozwalała stanąć.

- Chodźcie, dzieci! - zawołał nagle i ciągnąc nas za ręce, w dwóch skokach przebył pustą przestrzeń i stanął przy słupie

Natychmiast podszedł strażnik i rzekł:

- Tu nie wolno stać.

- Jestem z czwartego batalionu czterdziestej dziewiątej dywizji - odpowiedział Coretti, dotykając swojego medalu.

Strażnik popatrzył na niego i rzekł:

- No to zostańcie.

- A co? Nie mówiłem - zawołał z triumfem pan Coretti. - To jest zaczarowane słowo, ten czwarty, z czterdziestej dziewiątej! Jeszcze czego! Żebym ja nie mógł tu stać i patrzeć wygodnie na mojego generała, ja, co byłem w jego batalionie! Jeśli go wtedy mogłem widzieć nos w nos, to i teraz powinienem go tak widzieć! I co ja gadam: generał. Przecież był komendantem mego batalionu przez dobre pół godziny, bo to on dowodził batalionem, kiedy nas ustawiał, a nie major Ulbrich, do licha!

Tymczasem widać było w poczekalni i przed nią ogromny ruch panów i oficerów, a na podjeździe stawały rzędem powozy ze służbą w czerwonej liberii. Coretti zapytał ojca, czy księżę Humbert miał szablę w ręku, kiedy ustawiał bataliony.

- Naturalnie, że musiał mieć szablę, ażeby odbić lancę, która mogłaby go przebić jak każdego innego! Ach, te łotry z piekła rodem! Jak szarańcza spadli nam na karki. Jak się nie zaczną uwijać! A my też! Tu ludzie, tu armaty, co tylko żyło, tak się w oczach kręciło, jak ten diabelski młyn! A w takie otręby szło, jakby wicher koła obracał... Wszystko się pomieszało jak groch z kapustą. Szwolężero-

wie z Aleksandrii, ułani z Foggi, bersalierzy, kawaleria, diabeł wie co jeszcze, tak że nawet komendy zrozumieć nie można było. Aż tu słyszę krzyk: „Książę! Książę!” – i widzę lance jak te błyskawice. – Cel! pal! Chmura dymu zakryła naraz wszystko. Kiedy opadła, ziemia była pokryta końmi i ułanami. Niektórzy byli martwi, inni na szczęście tylko ranni. Obejrzałem się i widzę: pośrodku naszego batalionu stoi Humbert na koniu, spokojnie, i tylko patrzy na nas, jakby chciał zapytać:

„Jak tam moje zuchy?”

A my zaraz zaczęliśmy krzyczeć: „Wiwat!”. Tak prosto w twarz mu krzyczeliśmy, jak wariaci. To była chwila!... Niech licho porwie, jaka to była chwila!... O, nadjeżdża pociąg!

Muzyka zaczęła grać hymn narodowy. Cywilni i wojskowi podbiegli, publiczność wspięła się na palce.

– E, nie wyjdzie tak zaraz, bo będą mowy – rzekł jeden ze straży. Pan Coretti nie mógł się powstrzymać w opowiadaniu.

– Hej, kiedy o nim myślę, to jakbym go tam widział... Były przecież i choroby, i trzęsienia ziemi, i licho wie co, a on zawsze stał mężnie; tak go widzę, jak go wtedy widziałem w środku naszego batalionu, z tą spokojną twarzą. Pewny jestem, że on też dobrze pamięta naszą czwórkę, nawet teraz, kiedy już jest królem, i że chciałby nas kiedyś wszystkich razem zobaczyć przy swoim stole, jak nas wówczas widział. Cóż! Teraz ma generałów, szambelanów, dwór. A wtedy miał tylko nas, żołnierzy biedaków... Oj, żeby ja mógł z nim pogadać tak w cztery oczy... Nasz generał!... Dwadzieścia dwa lata! Jak świeca! Nasz książę, co naszym bagnetom się powierzył! Piętnaście lat go nie widziałem... Nasz Humbert! Eh!... A jeszcze ta muzyka człowiekowi wątrobę przewraca!

Wtem przerwał mu wybuch okrzyków. Tysiące kapeluszy zaczęło powiewać w powietrzu. Czterech czarno ubranych mężczyzn wsiadło do pierwszego pojazdu.

– To on! – krzyknął pan Coretti i wpatrywał się jak urzeczonony. Potem rzekł cicho:

– Matko Boska! Jak też posiwiiał!

Wszyscy trzej zdjeliśmy czapki; odkryty pojazd zbliżał się powoli w naszą stronę wśród okrzykującego, machającego kapeluszami tłumu. Spojrzałem na pana Corettiego. Wydał mi się zupełnie inny. Był jakby wyższy, poważny, trochę blade, sztywno oparty o kolumnę.

Pojazd zbliżył się tak, że był od niego o dwa kroki.

- Niech żyje! - krzyczano dokoła.

- Niech żyje! - krzyknął z innymi pan Coretti.

Król spojrział mu prosto w twarz i zatrzymał wzrok przez chwilę na jego medalach.

A pan Coretti całkiem stracił głowę i jak nie ryknie:

- Czwartą batalion czterdziestej dziewiątej kompanii!

Król, który tymczasem patrzył gdzie indziej, zwrócił się znów nagle w naszą stronę i patrząc bystro w oczy Corettiemu, wyciągnął do niego rękę.

Skoczył Coretti, chwycił ją, uściśnął z całej mocy. Pojazd ruszył, tłum się poruszył, zakolysał i oddzielił nas na chwilę od pana Corettiego. Ale zaraz zobaczyliśmy go znowu.

Był zdyszany, oczy miał wilgotne i z wyciągniętą w górę ręką wołał syna po imieniu.

- Prędej, chłopcze! Prędej, póki ręka ciepła jeszcze od uścisku króla... I pogłaskał syna po twarzy, mówiąc:

- To tak, jakby cię król pogłaskał.

Potem stał jeszcze, uśmiechnięty, ze zgasłą fajką w ręku, wśród ciekawego tłumu, który go otoczył dokoła.

- To jeden z batalionu czterdziestej dziewiątej! - mówiono.

- To żołnierz, co zna króla...

- To król poznał tego żołnierza...

- Król do niego rękę wyciągnął...

- Prośbę królowi dał... - rzekł jeden głośniej.

Wyprostował się na to Coretti i nagle odwrócił.

- Nie! - zawołał. - Nie dałem mu żadnej prośby! Dałem mu zupełnie co innego, jeśli chcecie wiedzieć!

Wszyscy wlepili w niego oczy, a on z prostotą odparł:

- Oddałem za niego krew!

Wczoraj mama zabrała mnie pod wieczór do Domu Dziecka przy Corso Valdocco, gdzie chciała polecić przełożonej małą siostrzyczkę Precossiego.

Pierwszy raz w życiu widziałem dom, gdzie mieszkają dzieci, które nie mają rodziców, albo rodzice nie mogą się nimi opiekować. Bardzo mi się podobało! Między dziewczętami i chłopcami było ze dwieście takich małych, że nasze pierwszaki mogłyby uchodzić w porównaniu z nimi za dorosłych!

Przyszedliśmy w chwili, kiedy się to całe bractwo tłoczyło do jadalni, gdzie stały dwa niskie, bardzo długie stoły, z mnóstwem okrągłych dołków, w każdym dołku miseczka pełna ryżu i fasoli, a przy niej łyżka. Wielu maluchów przewracało się, idąc i leżało jak gruszki na ziemi, póki któraś z opiekunek nie przybiegła i nie postawiła takiego na nogi. Inne zatrzymywały się przed pierwszą lepszą miseczką i dalej łyżkę do buzi! Opiekunki wołały: „Dalej! Dalej!” – to zrobi taki parę kroków i znów łaps za łyżkę! I tak idzie to „dalej!” – i to pochłepywanie, że nim dojdą do swoich miejsc, w miseczkach zostaje już tylko połowa zupy.

Nareszcie z wielkim trudem i po wielu wołaniach: „Na miejsca! Na miejsca!” – ustawiono je w jakim takim porządku i zaczęła się modlitwa. Ale te dwa rzędy, które miały stać plecami do stołu i patrzeć na obraz, nie mogły się jakoś rozstać z miseczkami i odwracając głowy, spoglądały na swoje porcje, żeby im ktoś czasem nie podjadł. Ręce były złożone, pacierz na ustach, a fasola z ryżem w sercu.

Zacząło się jedzenie. Co za widowisko! Tu jedno dwiema łyżkami zajada, tu drugie ręką wprost się napycha, tu trzecie wybiera po jednym ziarnku fasoli i do kieszeni kładzie, a inne przez fartuszek zupę cedzi i z pozostałej fasoli ugniata sobie ciasto w fartuszku. Były i takie, co nie jadły, tylko muchy łapały po stole; i takie, co zakrzusiwszy się, rozpryskiwały fontanny ryżu dokoła. Jadalnia wyglądała zupełnie jak wielki kurnik z kurczętami. Ale bardzo było

miło patrzeć na nie! Szczególnie na dwa długie rzędy dziewczynek, wszystkie z włosami związanymi na czubku, że tylko się mie- niły w oczach wstążeczki czerwone, niebieskie, zielone.

Nagle opiekunka zapytała dziewczynek:

- A gdzie rośnie ryż?

A one wszystkie razem wykrzyknęły z pełnymi buziami:

- W kuchni!

Na to inne, poprawiając:

- W wodzie!

Po jedzeniu – spacer. Przed wyjściem dzieci wzięły swoje koszyczki wiszące nisko na ścianie, a potem rozbiegły się, wyciągając z nich różne zapasy: chleb, kawałki sera, jajka gotowane, skrzydełka kurczaka, jakieś owoce. W jednej chwili ogród pokrył się okruszynami, jak gdyby ktoś je posypał dla całej chmury ptactwa. A maluchy jadły w najdziwaczniejsze sposoby i bardzo się przy tym brudziły.

Tymczasem do ogrodu przysła moja mama. Natychmiast przybiegła do niej gromadka dzieci, pchając się i tak podnosząc buzie do całowania jakby gdzieś do trzeciego piętra. Jedno ofiarowało jej skórkę pomarańczy, drugie kawałek chleba, którego już dojeść nie mogło, a jakaś dziewczynka obdarzyła ją zerwanym z krzaka liściem. Przysła też jedna „chora”, z wielką asystą koleżanek i pokazała jakiś mały pęcherzyk na końcu paluszka, którym wczoraj dotknęła zapalanej świecy. A inne, by zwrócić na siebie uwagę, podsuwały mamie pod nos jakieś małe robaczki, muszki, guziki od swoich ubrań, kwiatki, z ważnymi minami, jakby to były największe dziwa!

Jakiś malec z opatrunkiem na głowie opowiadał mamie krzykliwie jakąś historię o tym, jak skądś spadł, ale nie można było zrozumieć ani słowa. Inny przypiął się do niej jak rzep i szeptał jej w ucho:

- A mój tatuś robi miotły, aha!

A tymczasem tysiące nieszczęść przytrafiało się na wszystkich ścieżkach ogrodu i na wszystkich grządkach. Tu dzieciak darł się, że nie może rozwiązać supła na chustce do nosa; tu dwaj inni skakali sobie do oczu o większą z dwóch części jabłka; tu jeszcze jakieś bobo przewróciło się i strasznie płakało.

Przed odejściem moja mama wzięła na ręce jedno, drugie, trzecie dziecko, a wtedy przybiegła reszta i wszystkie też chciały być przytulone.

- Poplamiaj pani sukienkę! - mówiły opiekunki.

Mama nie zwracała uwagi na sukienkę, ale chciała wszystkie dzieci pogłaskać, przytulić czy chociaż dotknąć na „do widzenia”. Maluchy tłoczyły się przy niej i ciągle im było za mało czułości. Ledwie udało się jej uciec od nich z ogrodu. A wtedy pobiegły wszystkie do płotu i wyciągając rączki przez sztachety, wołały:

- Pa! Pa!... Niech pani jutro przyjdzie! Niech pani przyjdzie!

Mama, idąc, głaskała jeszcze te wyciągnięte łapki. Jej suknia była poplamiona, pełna okruszyn, wygnieciona, włosy potargane, oczy pełne łez, ale sprawiała wrażenie wesolej, jakby wyszła z najlepszej zabawy.

A zza płotu dolatywał jeszcze świergot, podobny do świergotu ptaszków:

- Pa, pani, pa! Niech pani tu do nas przyjdzie!...

Na gimnastyce

5, środa

Jest tak ciepło, że mamy teraz gimnastykę na boisku.

Garrone był wczoraj u dyrektora, kiedy przyszła matka Nellego i prosiła, żeby dyrektor zwolnił jej syna z nowych ćwiczeń. Wiadać było, że każde słowo dużo ją kosztuje. Mówiąc, trzymała rękę na głowie Nellego.

- On nie może... - tłumaczyła.

Ale Nelli był strasznie zmartwiony, że mają go wyłączyć z ćwiczeń i że czeka go kolejne upokorzenie...

- Zobaczysz, mamó - prosił prawie ze łzami - zobaczysz, że potrafię wszystko jak inni!

Mama popatrzyła się na niego ze smutkiem, potem zawahała się i rzekła:

- Obawiam się, że jego koledzy...

Chciała pewnie powiedzieć: „Boję się, że go wyśmieją”... - ale nie skończyła.

Nelli przerwał:

- Niech tam, mamó! Co mi szkodzi! Zresztą jest Garrone. Jeśli on się nie śmieje ze mnie, to dla mnie najważniejsze.

Więc go puścili do nas.

Nauczyciel, taki z bliźną na szyi, który walczył pod dowództwem Garibaldiego, zaprowadził nas zaraz do słupów, które są bardzo wysokie i trzeba wleźć na sam czubek, i stanąć prosto na poprzecznej belce u góry.

Derossi i Coretti wdrapali się jak wiewiórki. Także mały Precossi wlaź zwinnie, chociaż nie był odpowiednio ubrany do takich ćwiczeń. A jeszcze w dodatku pod słupem stanęło kilku i żeby go rozśmieszyć, wołali, przedrzeźniając go:

- Przepraszam! Przepraszam!

Stardi zasapał się, zacerwienił jak indyk, zgrzytał zębami jak pies, kiedy się wścieknie, ale żeby miał zaraz pęknąć, to by i tak się wdrapał. I rzeczywiście, udało mu się. Nobis też wszedł. A kiedy już był u samej góry i stanął na belce, zrobił taką minę, jakby był cesarzem. Vatinemu się nie powiodło - dwa razy się zsunął. Żeby łatwiej wejść, wszyscy nacieraliśmy sobie ręce kalafonią. Przyniósł ją naturalnie ten handlarz, Garoffi. Nakupił tego, porobił torebki z papieru, ponasypywał i sprzedawał nam znacznie powyżej wartości. Garrone wspinał się na słup z zapchaną chlebem gębą, jakby wejście było dziecinnie proste. Jestem pewny, że gdyby mu jednego z nas na plecy wsadzono, to i z nim byłby się wdrapał. Gruby, bo gruby, ale mocny jak wół!

Ale po Garronem miał się wspiąć Nelli. Ledwie go zobaczyli, że się chwycił słupa tymi swymi długimi, cienkimi rękami, zaraz jedni zaczęli podśpiewywać, a inni chichotać. Garrone przełknął chleb i popatrzył dokoła takim wzrokiem, że śmiech natychmiast ustał.

Nelli zaczął się wdrapywać. Odpoczywał co chwila, ciężko dyszał, na twarzy zrobił się prawie fioletowy, a pot mu kapał z czoła.

- Schodź! - zawołał nauczyciel.

A on – nie! Zaciął się, uparł, i nie!

Tylko czekałem, jak się puści i zleci wpool żywy. Biedny Nelli! Pomyślałem, jakby musiała cierpieć moja mama, gdybym ja był na jego miejscu, a ona patrzyłaby na mnie. I tak mi się go zrobiło żal, że nie wiem, co bym dał za to, żeby on się tylko mógł wdrapać... Żeby go jakoś od dołu pchać, ale żeby nikt nie widział...

Tymczasem Garrone, Derossi i Coretti wołali:

– Dalej, Nelli!... Dalej!... Dobrze! Trzymaj się! Jeszcze trochę! Jeszcze!

Zrobił więc gwałtowny wysiłek, aż jęknął, ale był już teraz o jakieś dwadzieścia centymetrów od poprzecznej belki.

– Brawo! Brawo! Brawo! – krzyczeli tamci. – Jeszcze odrobinię!... Dalej go! Jeszcze!

Aż Nelli pochwycił belkę.

Wszyscy zaczęliśmy klaskać.

– Brawo – rzekł nauczyciel – i dość tego! Schodź już, schodź!

Ale Nelli chciał się koniecznie dostać na czubek jak inni.

Odpoczął trochę, zebrał siły i udało mu się przełożyć łokcie za belkę; tak podparty, dźwignął się, oparł kolana, potem stopy i podniósł się wyprostowany, promieniejący, uśmiechnięty. Znowu zaczęliśmy mu brawo bić, a wtedy on odwrócił głowę i spojrzał na ulicę.

Popatrzyłem także i poprzez krzewy pnące się po sztachetach ogrodu zobaczyłem jego mamę, która chodziła po chodniku, nie mając odwagi, by podnieść oczy. Wreszcie Nelli zszedł, wszyscy mu gratulowali, a on podniecony, rozgrzany, z błyszczącymi oczami, był jakby nie ten sam. Przy wyjściu jego mama podeszła do niego i z niepokojem zapytała:

– Jak ci tam, biedaku, poszło? Co?

Wszyscy, ilu nas było, zaczęliśmy jeden przez drugiego wołać:

– Doskonale! Świetnie!

– Wdrapał się jak kot!

– Jak każdy z nas!

– Silny jest, mocny!

– Taki zwinny!

- Od żadnego z nas nie gorszy!

Krzyczeliśmy na wyścigi, a mama Nallego aż topniała z radości! Chciała dziękować, ale nie mogła przemówić, uściśnęła nam ręce, pogłaskała tego dryblasza Garronego, jakby był małym dzieckiem, i zabrała syna do domu.

Byli już kawałek od szkoły, a my patrzyliśmy jeszcze za nimi, jak idą spieszonym krokiem, jak rozmawiają z ożywieniem, oboje tak szczęśliwi, jakby szczęśliwszych od nich nie było na całym świecie.

Nauczyciel mego ojca

11, wtorek

Wczoraj byliśmy z tatą na niezwyklej wycieczce. A zaczęło się tak: przedwczoraj przy obiedzie tata czytał gazetę. Naraz wydał okrzyk zadziwienia, a potem powiedział:

- A ja myślałem, że od jakichś dwudziestu lat nie żyje! Wiecie co? Mój pierwszy nauczyciel ze szkoły podstawowej, Wincenty Crosetti, ma teraz osiemdziesiąt cztery lata. Czytam właśnie, że ministerstwo dało mu medal za sześćdziesiąt lat nauczania. Sześćdziesiąt lat! Rozumiecie? I dopiero dwa lata temu przestał uczyć w szkole! Mieszka w Kordowie, tam skąd pochodziła nasza dawna ogrodniczka z willi Chieri...

I po chwili dodał:

- Henryku, pojedziemy go odwiedzić!

I już przez cały wieczór mówił tylko o nim. To wyczytane niespodzianie nazwisko pierwszego nauczyciela przypomniało mu tysiące rzeczy z tych czasów, kiedy był małym chłopcem: imiona kolegów, śmierć matki.

- Pan Crosetti! - wołał co chwila, nie mogąc się uspokoić.

- Mógł mieć - opowiadał nam - ze czterdzieści lat, kiedy mnie uczył. Dziś jeszcze go widzę! Niski człowieczek, trochę pochylony, z jasnymi oczyma. Surowy był, ale dobry, zupełnie jak ojciec, który kocha dzieci, ale im nie pობłaża, kiedy przeskrobia. Pochodził ze

wsi, wykształcił się dzięki ciężkiej pracy, wszystkiego sobie odma-
wiając. Moja mama bardzo go szanowała i lubiła, a ojciec uważał
za przyjaciela. Bardzo jestem ciekaw, co sprawiło, że przeniósł się
z Turynu do Kordowy. Pewnie mnie nie pozna... Nic nie szkodzi!
Ja go z pewnością poznam. Ponad czterdzieści cztery lata... Czter-
dzieści cztery lata... Henryku! Pojedziemy jutro go odwiedzić!

I tym sposobem wczoraj o dziesiątej rano byliśmy na dworcu.
Bardzo chciałem, żeby również Garrone jechał z nami, ale nie mógł,
bo jego matka zasłała. Był cudny dzień! Prawdziwa wiosna.

Pociąg leciał wzdłuż zielonych łąk i kwitnących żywopłotów,
a powietrze pachniało, jakby cały świat był ogrodem. Ojciec był
wesoły, patrzył przez okno na szerokie pola i opowiadał.

- Stary pan Crosetti! - mówił. - To pierwszy po moim ojcu
człowiek, który był w moim życiu bardzo ważny. Nigdy nie za-
pom-niałem jego dobrych rad ani jego suchych wymówek, po któ-
rych wracałem do domu ze ściśniętym gardłem. Ręce miał grube
i krótkie. Widzę go prawie, jak wchodzi do szkoły, jak stawia laskę
w kącie, jak wieszka płaszcz na wieszaku, zawsze co dzień systema-
tycznie, jednostajnym ruchem. I zawsze w jednakowo dobrym hu-
morze, pogodny, sumienny, uważny, życzliwy, jak gdyby każdego
dnia odbywał z nami lekcję po raz pierwszy. Pamiętam jego głos,
jakbym go słyszał, kiedy patrzył na mnie:

„Bottini, he, Bottini! Środkowy i wskazujący palec na pióro wy-
żej!”. Musiał się ogromnie zmienić po czterdziestu czterech latach!

Jak tylko przyjechaliliśmy do Kordowy, poszliśmy szukać naszej daw-
nej ogrodniczki z Chieri, która ma tu jakiś sklepik w małej uliczce.

Zastaliśmy ją z dziećmi w domu. Ogromnie się ucieszyła, że nas
widzi, zaczęła nam opowiadać o swoim mężu, który trzy lata temu
wyjechał do Grecji na zarobek, a teraz ma wrócić, i o swojej najstar-
szej córce, która jest w Instytucie Głuchoniemych w Turynie. Potem
wskazała nam drogę do nauczyciela, którego tutaj wszyscy znają.

Ojciec nic nie mówił, pogrążony w swoich wspomnieniach,
czasem tylko się uśmiechnął, czasem potrząsnął głową.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

- To on! Założę się, że to on!

Ścieżką szedł ku nam nieduży staruszek z brodą zupełnie białą, w dużym kapeluszu, opierając się na lasce. Powłóczył trochę nogami, a ręce mu się trzęsły.

- On! - powtórzył mój ojciec i przyspieszył kroku. Kiedy byliśmy już zupełnie blisko, stanęliśmy na ścieżynie. Staruszek stanął także i patrzył na ojca. Twarz miał czerstwą, a oczy jasne, żywe.

- Czy pan jest - rzekł mój ojciec, zdejmując kapelusz - nauczycielem Wincentym Crosettim?

Staruszek też zdjął kapelusz.

- Tak, proszę pana!

Głos jego drżał trochę, ale był dźwięczny i czysty.

- No, to niech pan pozwoli - zawołał mój ojciec, wyciągając do niego rękę - niech pan pozwoli swojemu dawnemu uczniowi uścisnąć swoją dłoń i powitać się serdecznie... serdecznie! Przyjechałem z Turynu, żeby pana odwiedzić.

Staruszek patrzył zdumiony. Potem rzekł:

- To dla mnie zaszczyt... Nie wiem doprawdy... Kiedy pan był moim uczniem? Przepraszam! Nazwisko pana, jeśli łaska...

Ojciec przedstawił się: „Albert Bottini” i wymienił rok, w którym był w jego klasie, a potem dodał:

- Pan nie może mnie pamiętać, to oczywiste. Ale ja świetnie pana pamiętam!

Stary nauczyciel pochylił głowę i patrząc w ziemię zamyślony, powtórzył kilka razy nazwisko mego ojca, który patrzył na niego tymczasem z uśmiechem.

Nagle staruszek podniósł twarz z rozrzuwionymi oczyma.

- Albert Bottini? Syn inżyniera Bottiniego? Tego, który mieszkał na placu Consolata?

- Ten sam! - zawołał ojciec, wyciągając ręce.

- Jak tak - rzekł staruszek - to niechże mi będzie wolno... drogi panie... niech mi będzie wolno...

I mówiąc tak, objął mego ojca. Biała jego głowa sięgała ojcu ledwie do ramienia. Ojciec pochylił się i przytulił twarz do jego twarzy.

- Zapraszam was do siebie, proszę, proszę – mówił nauczyciel.

Zaprowadził nas do swego domu. W kilka minut potem weszliśmy na małe podwórko przed niskim domkiem o dwóch wyjściach. Przed jednym z nich wznosił się kawałek wybielonego muru. Nauczyciel otworzył drugie wejście i zaprowadził nas do pokoju. Cztery białe ściany, w kącie łóżko, przykryte kołdrą w białą i niebieską kratę, w drugim kącie biurko z małą biblioteczką, cztery krzesła, wielka, stara mapa przybita do ściany i miły zapach jabłek.

Siedliśmy wszyscy trzej. Nauczyciel i mój ojciec patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu.

- Bottini! – zawołał wreszcie nauczyciel, utkwivszy oczy w podłogę, na której słońce kładło złote plamy. – Jakżeby nie?... Pamiętam! Doskonale pamiętam!... Miał matkę, taką dobrą, taką zającą panią! Jakże nie? Przecież pan siedziałeś w pierwszej ławce na lewo, niedaleko okna! Widzi pan, że pamiętam pana! Taka ciemna, kędzierzawa głowa!

Zamyślił się na chwilę.

- Taki żywy chłopak... eh? Jak iskra. W drugim semestrze miał ciężką gripę... Przywieźli go po niej do szkoły wychudzonego, w dużym ciepłym szalu. Ze czterdzieści lat temu chyba będzie, nieprawdaż? I pan tak dobry, że przypomniał sobie starego nauczyciela ... A przychodzą tu, przychodzą... Pułkownik jeden, księża... Różni panowie. Dawni moi uczniowie.

I zaczął pytać mego ojca, jaki jest jego zawód, czym się zajmuje. Potem rzekł:

- Cieszę się! Serdecznie się cieszę! Dziękuję panu! Kawałek już czasu, jak tu nie widziałem nikogo. I myślę sobie, że pan może będziesz ostatnim, drogi panie!...

- Ale co pan profesor mówi! – zawołał mój ojciec. – Widzę pana, dzięki Bogu, zdrowego, energicznego! Nie trzeba tak mówić!

- Ej, nie! – uśmiechnął się stary nauczyciel. – Widzi pan to drżenie? – I pokazał ręce. – To jest zły znak. Zaczęło się to przed trzema laty, kiedy jeszcze uczyłem w szkole. Z początku nie dbałem, myślałem, że samo przejdzie. Ale nie przeszło, kochany panie. Z dnia na dzień gorzej. Niedługo nie będę mógł wcale pisać. Ach, tego dnia, kiedy po raz

pierwszą ręką mi tak zadrżała, że zrobiłem kleksa w zeszyt ucznia, to, panie drogi, jakby mi ktoś nóż w serce włożył! Szło to tam jeszcze jakiś czas, wlokło się, ciągnęło, ale już czułem, że nie mogę dłużej pracować. I tak, po sześćdziesięciu latach nauczania, musiałem rozstać się ze szkołą, z uczniami, z pracą. Nie było lekko, nie!

Kiedy skończyłem ostatnią lekcję, wszyscy mnie odprowadzili do domu, wszyscy gratulowali. Ale ja byłem smutny, wiedziałem, że moje życie się skończyło...

Jeszcze na rok przedtem – kończył po chwili milczenia – straciłem żonę i jedynego syna. Zostało mi tylko dwóch bratanków. I tak oto żyję z tych paruset lirów emerytury. Nie pracuję już. Te dni, to mi się zdaje, że końca nie mają, takie długie. Jedyne zajęcie moje, widzi pan, to ot tam – wskazał małą biblioteczkę. – Przerzucam stare szkolne podręczniki, szkolne czasopisma. Tam są wspomnienia. Tam cała moja przeszłość. Nic więcej nie mam już na świecie.

Naraz podniósł głowę i wesołym głosem rzekł:

– Muszę też panu zrobić niespodziankę, kochany panie Bottini!

Podniósł się i podszedłszy do biurka, otworzył długą szufladę, w której było mnóstwo małych paczek powiązanych sznurkiem, a na każdej data złożona z czterech cyfr. Szukał przez chwilę, wyjął jedną z paczek, otworzył, przerzucił kilka kartek, po czym wyciągnął jakiś pożółkły arkusz i podał mojemu ojcu. Na wierzchu arkusza było napisane: „Albert Bottini, 3 kwietnia 1838 r.”.

Ojciec poznał natychmiast swoje grube, chłopięce pismo i czytał z uśmiechem. Nagle łzy stanęły mu w oczach. Podniosłem się i zapytałem:

– Dlaczego?

A ojciec objął mnie w pól, przytulił do swego boku i rzekł:

– Patrz, synu! To są poprawki mojej matki... Zawsze mi pogrubiała moje l i moje t... A ostatnie linijki, to jej pismo... Pisała podobnie do mnie...

– Oto – rzekł nauczyciel, ukazując powiązane pakieciki – moje pamiętniki. Co roku odkładałem na bok jakąś część prac każdego z moich uczniów i mam ich tu wszystkich w porządku, ponumero-

wanych. Więc sobie to przerzucam czasem, tu kartkę, tam kartkę, i przychodzi mi na myśl tysiąc rzeczy minionych i zdaje mi się, że jeszcze żyję w tych dawnych, dawnych czasach. Iluż to ich przeszło, drogi panie! Jak zamknę oczy, to widzę głowy przy głowach, twarze przy twarzach, klasy za klasami, setki, setki chłopców, z których – kto wie – ilu już zmarło! Wielu pamiętam dobrze. Pamiętam dobrze tych najlepszych i tych dla odmiany najgorszych. Tych, co mi sprawili dużo radości, i tych, przez których miałem dużo ciężkich godzin. Ale już teraz żalu do nich nie mam... Zupełnie jakbym już na drugim świecie był... Życzliwy jestem dla wszystkich... dla wszystkich jednakowo!

Usiadł i wziął swoją rękę w swoje drżące dłonie.

– A niech mi pan powie, drogi profesorze – zapytał mój ojciec z uśmiechem – nie pamięta pan żadnego urwisostwa...

– Pańskiego urwisostwa? – podjął staruszek także z uśmiechem.

– W tej chwili nie. Ale bynajmniej nie znaczy, że pan ich nie wyprawił! Ale przecież był pan dość rozsądny, poważny nawet jak na swoje lata. Pamiętam, jaki wielki szacunek miał pan do swojej matki...

A po chwili:

– Ale to miło z pana strony, że mnie pan odwiedził!

– Panie Crosetti – odparł żywo mój ojciec – nie zapomniałem tego dnia, kiedy mama po raz pierwszy odprowadziła mnie do szkoły. Pierwszy raz miała rozstać się ze mną, oddać komuś nieznanemu. Wejście do szkoły było dla niej jakby moim wejściem w świat. Polecała mnie panu drżącym głosem, a odchodząc, zęgnęła mnie jeszcze przez szybę w drzwiach mając pełne oczy łez. Pamiętam, że pan wtedy położył rękę na piersiach i zrobił drugą taki ruch, jakby chciał powiedzieć: „Niech pani mi zaufa!”.

Tego ruchu, tego spojrzenia, które dowiodło, że pan rozumiał wszystkie myśli i uczucia matki, spojrzenia, które zdawało się mówić: „odwagi”, tego gestu, który był uczciwą obietnicą opieki, dobroci, nauki – nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę. I dlatego przyjechałem z Turynu, i dlatego jestem tu po czterdziestu czterech latach, żeby powiedzieć panu: Dziękuję, mój drogi nauczycielu!

Staruszek milczał. Drżącą ręką głąskał mnie po głowie.

Tata patrzył na skromny pokój nauczyciela, a twarz miał taką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Biedny nauczycielu! I to cały twój dobytek, cała nagroda po sześćdziesięciu latach ciężkiej pracy?”.

Ale staruszek wcale nie był smutny i z wielką żywością zaczął mówić o naszej rodzinie, o innych nauczycielach z tamtych lat dawnych, o kolegach mego ojca. Ojciec jednych pamiętał, innych nie mógł sobie przypomnieć, więc sobie obydwaj przekazywali wiadomości to o tym, to o tamtym, aż wreszcie ojciec przerwał tę rozmowę, prosząc nauczyciela, żeby poszedł razem z nami zjeść obiad w restauracji.

Staruszek serdecznie dziękował, ale zdawał się wahać, czy ma przyjąć to zaproszenie.

– Jak ja będę jadł tymi trzęsącymi się rękami? – mówił. – Przecież to i dla innych przykry widok.

– Już my panu pomożemy – rzekł na to mój ojciec. Staruszek się zgodził i tylko kiwał głową, i uśmiechał się.

– Co za dzień! Co za piękny dzień, kochany panie Bottini! – mówił, zamykając na klucz drzwi. – Do końca życia będę go pamiętał!

Mój ojciec podał mu ramię, on zaś wziął mnie za rękę i zaczęliśmy schodzić ścieżyną.

W drodze spotkaliśmy dwie bose dziewczynki, które pędziły krowy, i chłopca biegnącego z pękiem zielska na plecach. Nauczyciel objaśnił nam, że to są dwie uczennice i uczeń tutejszej szkoły. Rano pasą bydło i pracują w polu, a potem idą do szkoły.

Zbliżało się południe. W parę minut potem byliśmy już w restauracji przy dużym stole i zaraz wzięliśmy się do jedzenia.

Staruszek był szczęśliwy, ale ze wzruszenia tak mu ręce drżały, że prawie nie mógł jeść. Ojciec kroił mu mięso, łamał chleb, sypał do talerza sól. A szklankę nauczyciel musiał trzymać w obu rękach i jeszcze mu zęby o brzeg szkła stukwały.

Rozmawiał jednak bardzo żywo i z wielkim zapałem o książkach, które czytywano za jego młodości, o rozkładach jazdy z owych czasów, o pochwałach otrzymanych od zwierzchników, o zarządzeniach szkolnych z ostatnich lat, a wszystko wesołym głosem, z twarzą pogodną, może trochę bardziej zarumienioną.

Mój ojciec patrzył na niego, patrzył, zupełnie tak samo, jak czasem patrzy na mnie w domu, jak gdyby myślał o czymś i uśmiechał się mimo woli, przechyliwszy głowę nieco na bok. Wtem staruszek, pijąc, wylał na siebie wino. Mój tata zaraz się poderwał i starannie wycierał go serwetą.

- Ależ nie! Ależ nie! Nie pozwalam! - mówił nauczyciel i śmiał się, i powiedział coś po łacinie. Na koniec podniósł kieliszek, który mu się trząsał w ręku, i z wielką powagą rzekł:

- Piję za zdrowie twoje, panie inżynierze, i za zdrowie twoich dzieci, i za pamięć twojej dobrej matki.

- A ja za pańskie zdrowie piję, mój drogi, mój kochany mistrzu!

I uścisnęli sobie ręce, mocno i długo. Było już po drugiej, kiedy wyszliśmy.

Nauczyciel chciał nas koniecznie odprowadzić do stacji. Więc mój ojciec znów wziął go pod ramię, a on mnie za rękę. Ja zaś niosłem jego laskę. Ludzie stawali po drodze, patrząc, bo wszyscy go tu znają. Niektórzy kłaniali mu się.

Nagle usłyszeliśmy przez otwarte okno głosy wielu chłopców, którzy razem czytali, sylabizując. Staruszek zatrzymał się i zdawał się zasmucony.

- Oto, drogi panie Bottini - rzekł - co mnie zasmuca! Słyszeć te głosy uczących się chłopców, a nie iść już do szkoły i wiedzieć, że tam ktoś inny uczy! Nasłuchałem się tej muzyki przez sześćdziesiąt lat, mam jej pełne serce... A teraz jestem jakby bez rodziny. Sam. Sierota... Nie mam już dzieci!

- Nie, drogi mój profesorze! Nie! - zaprzeczył tata. - Pan ma jeszcze dużo dzieci! Dużo rozproszonych po świecie, ale pamiętających o panu! Pamiętają oni pana tak, jak i ja pamiętałem zawsze!

- Nie, nie! - powtarzał starowina, trzęsąc ze smutkiem głową.

- Nie mam już szkoły, to i dzieci nie mam. A bez dzieci to ja już nie pożyję długo...

Doszliśmy do stacji. Pociąg stał już na peronie.

- Do zobaczenia, drogi panie profesorze! - mówił ojciec, całując staruszkę w oba policzki.

- Żegnaj... dziękuję... żegnaj! - odpowiedział nauczyciel i wzięwszy w drżące dłonie rękę mego ojca, przycisnął ją sobie do serca.

Potem ja go pocałowałem i poczułem, że ma twarz mokrą od łez. Ojciec podsadził mnie do wagonu i w chwili, gdy wsiadał, wziął laskę nauczyciela i podał mu swoją piękną laskę ze srebrną gałką i monogramem, mówiąc:

- Proszę to przyjąć na pamiątkę.

Staruszek bronił się, usiłował oddać laskę, a swoją odebrać, ale mój ojciec był już w wagonie i zatrzaskał drzwiczki.

- Bywaj zdrow, synu! - zawołał staruszek, gdy pociąg ruszył. - Niech ci Bóg błogosławi za pociechę, za radość, jaką mi sprawiłeś!

- Do widzenia! - krzyknął mój ojciec wzruszonym głosem.

Ale stary nauczyciel potrząsnął głową przecząco, jakby chciał powiedzieć, że już się więcej nie zobaczą.

- Tak! Tak! Do widzenia! - powtórzył mój ojciec.

A wtedy starzec podniósł do nieba rękę i zawołał:

- Tam!

I tak go, z tą podniesioną do góry ręką, straciliśmy z oczu.

Wyzdrowienie

20, czwartek

Nie uwierzyłbym, gdyby ktoś mi powiedział, że zaraz po tej wycieczce zachoruję.

A byłem bardzo, bardzo chory. Jak nic, mogłem umrzeć.

Słyszałem, jak mama płakała, widziałem, jak mój ojciec blade i mizerny patrzył na mnie całymi godzinami, Sylwia i mały mój braciśzek rozmawiali po cichu, doktor w okularach ciągle przychodził i ciągle coś mówił, ale ja nie wiedziałem co. Niewiele brakowało, żebym wszystkim powiedział: „Cześć”.

Dobrze teraz żartować! Ale co ze mną przeszła moja biedna mama! Przez trzy, cztery dni to wcale nie wiedziałem, co się ze

mną dzieje i wcale ich sobie nie mogę przypomnieć, tak jakbym ten czas przespał jakimś ciężkim i męczącym snem. A potem – jakbym się obudził z długiego snu i zaraz poznałem, że mi lepiej, bo ojciec i mama uśmiechali się do mnie, a Sylwia śpiewała.

Później było mi już co dzień weselej; a jak przyszedł Mularczyk, to pierwszy raz roześmiałem się z tego zajęczego pyszczka, co go do mnie zrobił.

Odwiedził mnie też Coretti, a Garoffi przyniósł mi w prezencie dwa bilety do swojej nowej loterii na scyzoryk o pięciu ostrzach. Wczoraj, kiedy spałem, przyszedł też do mnie Precossi. Wszyscy moi przyjaciele odwiedzali mnie w czasie choroby...

Jakie drzewa zrobiły się zielone przez te kilka dni! Jaka mnie zazdrość bierze, kiedy widzę, że chłopcy biegną do szkoły, a ja tylko patrzę z daleka! Ale już niedługo i ja pójdę! Tak bym już chciał zobaczyć wszystkich kolegów, moją ławkę, ogród, ulicę, dowiedzieć się o wszystkim, co się tam przez ten czas działo, znów się zabrać do zeszytów, do książek, co zdaje mi się, że ich przez rok nie widziałem... Smutno mi było tylko, że po skończeniu czwartej klasy rozstanę się z niektórymi kolegami – nie wszyscy będą się dalej uczyć – niektórzy pójdą już do pracy i pewnie nigdy ich nie zobaczę, nie spotkam moich przyjaciół już nigdy...

Przyjaciele robotnicy

20, czwartek

...Dlaczego, Henryku, „już nigdy!”? Przecież to będzie zależało od ciebie. Skończysz czwartą klasę, pójdziesz do gimnazjum, a oni zaczną pracować, to prawda! Ale przecież będziecie nadal mieszkać w jednym mieście, być może przez długie lata. Dlaczego więc mielibyście się nie widywać? Kiedy pójdziesz do liceum i potem na uniwersytet, będziesz mógł odwiedzać kolegów w ich sklepach, w ich warsztatach i zobaczysz, jak ci będzie miło utrzymywać kontakty z przyjaciółmi z lat dziecińczych.

Czy nie pobiegłbyś do Corettiego, do Precossiego, gdziekolwiek by byli? Pobiegнешь, pobiegнешь nieraz, spędzisz niejedną godzinę wraz z nimi i zobaczysz, poznawszy świat i życie, ilu rzeczy będziesz mógł się nauczyć od swych dawnych kolegów, takich rzeczy, których nikt inny nauczyć by cię nie potrafił. I o ich rzemiostach, i o ich stanie społecznym, i o twoim własnym kraju.

Pamiętaj, że jeśli nie zachowasz tych przyjaźni, to będzie ci niezmiernie trudno zawrzeć w przyszłości podobne. Masz to szczęście, że możesz uczyć się dalej i dzięki temu osiągnąć więcej. Bo to jest tak: ludzie wykształceni są jakby oficerami, a robotnicy jakby żołnierzami wielkiej narodowej armii. Ale tak samo w społeczeństwie, jak i w wojsku, żołnierz nie jest mniej ważny niż oficer, bo „ważność” człowieka leży w pracy, a nie w zapłacie, i leży w wartości, a nie w stopniu. Szanuj Garronego, szanuj Precossiego, małego Corettiego, Mularczyka, bo oni są dobrymi, wartościowymi ludźmi. Przysięgnij, że jeśli po wielu latach przechodząc koło jakiejś stacji kolejowej, zobaczysz w bluzie maszynisty swojego dawnego kolegę Garronego, z czarną od dymu twarzą... Ach, nie wymagam, żebyś przysięgał! Jestem pewny, że podbiegniesz i przywitasz się z nim serdecznie, choćbyś był wtedy nawet senatorem.

Twój ojciec

Matka Garronego

28, piątek

Ledwo wróciłem do szkoły, zaraz dopadła mnie smutna wiadomość. Od kilku dni Garrone nie przychodził, bo jego mama była bardzo chora. W sobotę wieczorem umarła. Wczoraj rano nauczyciel wszedł do klasy i powiedział:

- Garronego spotkało największe nieszczęście, jakie może spotkać dziecko. Stracił matkę. Jutro wraca do szkoły. Proszę was, chłopcy, uszanujcie jego smutek i żalobę.

Dziś rano, trochę później niż inni, wszedł Garrone. Był blady, oczy miał zaczerwienione, cały aż chwiał się na nogach. Można by pomyśleć, że z miesiąc chorował. Prawie nie do poznania się zmienił i w dodatku był ubrany na czarno. Litość brała patrzeć. Żaden z nas nie pisnął; patrzyliśmy na niego ze smutkiem. Gdy wszedł i zobaczył tę klasę, gdzie matka prawie co dzień przychodziła po niego, tę ławkę, nad którą tyle razy pochylała się w dzień egzaminu, dając mu ostatnie polecenia i na której siedząc, tyle razy myślał o niej, niecierpliwie czekając, kiedy do niej pobiegnie, kiedy tak spojrzął na to wszystko, wybuchnął rozpaczliwym płaczem.

Nauczyciel objął go i rzekł:

- Płacz, płacz, będzie ci lżej. Pociesz się tym, że choć twojej mamy nie ma już tutaj, to jednak patrzy ona na ciebie, kocha cię po dawnemu, jest blisko ciebie i że przyjdzie dzień, w którym ją zobaczysz. Odwagi, dziecko!

Potem zaprowadził go do ławki i posadził przy mnie. Nie śmiałem spojrzeć na niego. Wyjął swoje książki i zeszyty nieruszone od wielu dni, a gdy otworzył podręcznik w miejscu, gdzie jest obrazek, który przedstawia matkę idącą z synem za rękę, znowu wybuchnął płaczem i pochylił głowę na ramię.

Nauczyciel dał nam znak, żeby go tak zostawić, i rozpoczął lekcję.

Chciałem koniecznie coś powiedzieć do Garronego, ale nie śmiałem. Wsunąłem mu tylko rękę pod ramię i szepnąłem do ucha:

- Nie płacz, Garrone!

Nie odpowiedział i nie podnosząc głowy znad ławki, włożył swoją rękę w moją i tak ją przez chwilę trzymał.

Przy wyjściu było okropnie cicho, bo nikt nic nie mówił i wszyscy obchodzili Garronego z daleka, z szacunkiem i w milczeniu.

Zobaczyłem, że mama czeka na mnie, i pobiegłem ją uściskać; ale ona odsunęła mnie od siebie, patrząc na Garronego. Z początku nie rozumiałem tego, ale spostrzegłem się, że Garrone stoi sam i patrzy na mnie smutnym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Ty całujesz swoją mamę, a ja mojej nigdy już nie pocałuję! Ty masz jeszcze swoją matkę, a moja już nie żyje!”

Więc zrozumiałem, dlaczego mama odsunęła mnie od siebie i wyszedłem, nie trzymając jej ręki.

Józef Mazzini

19, sobota

Dzisiaj Garrone też przyszedł bardzo blady, z oczami zapuchniętymi od płaczu i ledwie spojrzął na małe upominki, które położyliśmy mu na ławce, żeby go pocieszyć. A nauczyciel przyniósł ze sobą książkę i dał mu do czytania, żeby go rozerwać.

Najpierw jednak zapowiedział nam, że pójdziemy jutro w samo południe do ratusza, gdzie chłopcu, który uratował tonące dziecko, mają dać medal za „odwagę cywilną”, i że w poniedziałek podyktuje nam opis tej uroczystości zamiast miesięcznego opowiadania. Potem zwrócił się do Garronego, który stał z głową spuszczoną, i rzekł:

- Garrone, postaraj się także pisać, co będę dyktował.

Wszyscy wzięliśmy pióra. Nauczyciel zaczął dyktować:

- ...Józef Mazzini urodził się w Genui w 1805 roku, zmarł w Pizie w 1872 roku. Patriota, pisarz, twórca rewolucji włoskiej, tak pisał do swego przyjaciela, aby go pocieszyć po stracie matki:

„Przyjacielu, nie zobaczysz już nigdy swojej matki na tej ziemi. To jest straszna i okrutna prawda. Nie spieszę cię odwiedzić, bo twoja boleść jest jedną z tych boleści uroczystych i świętych, które człowiek musi sam przecierpieć i sam przezwyciężyć. Czy wiesz, co chcę powiedzieć, gdy mówię, że boleść trzeba zwyciężyć? Bo tu chodzi o pokonanie tego, co w boleści jest mniej święte, mniej oczyszczające, tego, co zamiast wznosić i umacniać ducha, osłabia go i poniża. Ale ta druga część boleści, jej część szlachetna, od której dusza rośnie i dostaje skrzydeł, ta powinna z tobą pozostać i nie opuścić cię nigdy. Tu, na ziemi, nic nie zastąpi dobrej, Kochającej

matki. Czy życie przyniesie ci smutki, czy cię obdarzy pociechą, nigdy jej nie zapomnisz i będziesz o niej myślał z utęsknieniem. Ale musisz ją wspominać, kochać i smucić się jej śmiercią w sposób jej godny. Posłuchaj mnie, przyjacielu: Śmierć nie istnieje. Śmierci nie ma zgoła. Trudno pojąć, a jednak to pewne. Życie jest życiem, a prawem jego jest zmiana. Wczoraj miałeś matkę na ziemi, a dziś masz anioła – w niebie. Wszystko, co dobre, co święte – przerasta życie ziemskie, idzie wyżej. Tu też należy miłość twojej matki. Kocha cię ona teraz bardziej niż kiedyś. A ty bardziej niż wpiery odpowiedzialny jesteś przed nią za swoje czyny. Od ciebie, od twych czynów zależy, czy spotkasz ją i zobaczysz w nowym, wyższym istnieniu.

Trzeba ci więc przez miłość i cześć dla niej być coraz lepszym i duszę jej radować sobą. Trzeba ci odtąd przy każdym postępku zapytać samego siebie: «Co by powiedziała na to moja matka?». To przemienienie, jakie się w niej dopełniło z ujściem ziemskiego żywota, zrodziło dla ciebie anioła stróża, któremu powinieneś powierzać wszystkie twoje sprawy. Bądź silny i dobry; pokonaj boleść rozpaczliwą, ludziom pospolitą; miej spokój wielkich bólów milczących w wielkich sercach. Tego chce ona”.

Skończył, a po chwili rzekł:

– Garrone, bądź silny i spokojny. Tego chce ona. Rozumiesz?

Garrone kiwnął głową na znak, że rozumie, a łzy zaczęły mu lecieć z oczu na rękę, na zeszyt, na ławkę.

Odwaga

Równo o dwunastej stanęliśmy przed gmachem ratusza, gdzie miał otrzymać medal chłopiec, który uratował kolegę od utonięcia w rzece Po.

Na frontowym tarasie powiewała wielka, trójkolorowa chorągiew. Weszliśmy dwójkami na dziedziniec. Było tam już pełno ludzi.

W głębi stał stół przykryty czerwonym suknem, na stole leżały papiery, a za stołem widniał rząd wyzłacanych foteli dla pana syndyka i dla panów radnych. Strażnicy w niebieskich marynarkach i białych spodniach pilnowali porządku. Po prawej stronie dziedzińca stali miejscy gwardziści, każdy z medalami na piersiach, a przy nich wojsko. A dookoła mnóstwo ludzi, którzy chcieli zobaczyć uroczystość.

Wcisnęliśmy się w kąt, gdzie już było dużo uczniów z innych klas, a tuż przy nas stała spora grupa chłopaków, którzy śmiali się i głośno rozmawiali, i widać było, że wszyscy są z przedmieścia nadrzecznego, koledzy i przyjaciele chłopca, który miał dostać medal. Dookoła dziedzińca we wszystkich oknach stali urzędnicy miejscy. Nawet łoża nad biblioteką pełna była ludzi, zaś w przeciwległej łoży, tej nad bramą główną, cisnęły się uczennice szkół publicznych i „Córki żołnierzy”. Cały dziedziniec wyglądał jak teatr.

Wszyscy rozmawiali wesoło, co chwila spoglądając w stronę czerwonego stołu, czy nikt się jeszcze nie pojawił. W głębi kolumnady zaczęła grać orkiestra. Wysokie mury stały w jasnym słońcu. Było pięknie.

Nagle rozległy się oklaski. Na dziedzińcu, w łożach, w oknach. Wspiąłem się na palce, żeby coś zobaczyć. Tłum poruszył się raptem, i wyszli z niego jakiś mężczyzna i kobieta. Mężczyzna trzymał za rękę chłopca. To był ten chłopiec, który ocalił kolegę. Jego ojciec był w eleganckim ubraniu. Matka, niska, drobna, z jasnymi włosami i w czarnej sukni. Chłopiec, mały blondynek, ubrany był w szarą kurteczkę. Wszyscy troje stanęli, patrząc na te tłumy, ogłuszeni burzą oklasków i onieśmieleni, nie wiedząc, co ze sobą zrobić i jak się poruszyć. Strażnik popchnął ich lekko w stronę stołu, w prawo.

Wszystko na chwilę ucichło, po czym znowu wybuchły oklaski. Chłopak spoglądał na okna, potem zadarł głowę i patrzył na łożę, w której stały „Córki żołnierzy”, obracał kapelusz w rękę i miał bardzo niepewną minę. Był troszkę podobny do Corettiego, ale bardziej rumiany.

Tymczasem wszyscy stojący przy nas chłopcy z nadrzecznego przedmieścia kiwali na chłopca i dając znaki, żeby na nich spojrzął, wołali: „Pin... Pin... Pino!...” – póki nie usłyszał.

Odwrócił się, spojrzął i ukrył uśmiech kapeluszem.

Wtem straż stanęła na baczność. Wszedł syndyk, a z nim wielu panów. Syndyk, zupełnie siwy, z trójkolorową, szeroką szarfą, stanął za stołem, a panowie po obu stronach, nieco za nim. Orkiestra przestała grać, syndyk dał znak, zrobiła się cisza.

Wtedy zaczął mówić.

Pierwszych słów nie dosłyszałem, ale zrozumiałem, że opowiadał o czynie chłopca.

Potem jego głos zabrzmiał donośniej i słychać było każde słówko.

- ...Kiedy zobaczył z brzegu kolegę, który walczył z falą, bez wahania pobiegł na ratunek.

„Utoniesz!” - krzyčili ludzie na brzegu. Nie odpowiadał. Chcieli go przytrzymać - wyrwał się, wołali do niego po imieniu - był już w wodzie. Rzeka była wezbrana, pędziła z szumem, niebezpieczeństwo groziło nawet dorosłemu człowiekowi w jej wzburzonych falach. On jednak rzucił się przeciw śmierci całą siłą swego drobnego ciała i swego wielkiego serca, chwycił tonącego i wyciągnął go za włosy. Jeszcze na brzegu pomógł przywrócić uratowanemu przytomność, po czym powrócił do domu sam, skromny, i opowiedział rodzicom o całym zdarzeniu. Wykazał się piękną, godną czci, heroiczną postawą. Oto nasz bohater. Podejź, chłopcze!

W imieniu króla Włoch daję ci medal za odwagę!

Murami gmachu zatrzęsły okrzyki i oklaski.

Syndyk wziął ze stołu medal i przypiął go chłopcu na piersiach, potem go objął i ucałował serdecznie.

Matka chłopca zasłoniła ręką oczy, ojciec stał ze spuszczoną głową. Syndyk uściśnął obojgu dłonie, a matce podał związany wstążką dekret królewski, dotyczący medalu. Zwrócił się potem jeszcze raz do chłopca i rzekł:

- Niech wspomnienie tego dnia, który cię w oczach współobywateli okrywa chwałą i jest dniem szczęścia dla twoich rodziców, utrzymuje cię przez całe życie na drodze prawości i honoru!

Potem syndyk wyszedł, zabrzmiała muzyka i wydawało się, że to koniec uroczystości, kiedy z tłumu wyszedł chłopiec, może ośmio- lub dziewięcioletni, popchnięty przez kobietę, która zaraz się wycofała, i rzucił się w ramiona bohatera tego dnia. Nowy grzmot oklasków wstrząsnął murami dziedzińca. Wszyscy zrozumieli od razu, że to uratowany dziękuje swojemu wybawcy. Wycelowali się, uściskali, po czym ten mniejszy wziął chłopca z medalem za rękę i tak, oni najpierw, a za nimi ojciec i matka skierowali się ku wyjściu, torując sobie drogę wśród tłumu, który rozstał się przed nimi, niemniej pchając się i wspinając jedni przez drugich, żeby tylko zobaczyć chłopca z medalem. Ci, co byli najbliżej, ściskali mu rękę. Kiedy przechodził koło kolegów ze swojej szkoły, wszystkie czapki fruwały w powietrzu. Ale ci z przedmieścia Po to już sami nie wiedzieli, co robić. Ciągnęli go za kurtkę, chwyтали za ramiona, wrzeszcząc jak opętani:

- Pin! Brawo, Pin! Brawo nasz Pino!

Też go widziałem z bliska, jak przechodził. Miał rozpaloną twarz, widać było, że jest szczęśliwy. Przy medalu widniała białoczerwono-zielona wstążeczka.

Matka śmiała się i płakała naprzemian, ojciec drżącą ręką przyglądał wąsy, a z góry, z okien, z balkonów słychać było okrzyki i oklaski. Nagle, kiedy już mieli wejść pod kolumnadę, z łoży „Córek żołnierzy” spadł na głowy chłopca i rodziców prawdziwy deszcz kwiatków, fiołków, stokrotek. Ludzie rzucili się, żeby je zbierać, podawali matce. Muzyka w głębi grała piękną pieśń, jakby tysiące srebrzystych głosów śpiewało, oddalając się z wolna z szumem wielkiej rzeki.

Maj

Dzieci niepełnosprawne

5, piątek

Dziś miałem wolny dzień, bo niezbyt dobrze się czułem, więc mama zabrała mnie z sobą do zakładu dla dzieci niepełnosprawnych, gdzie chciała załatwić miejsce dla córeczki odźwiernej. Ale nie pozwoliła mi wejść do ich szkoły.

*

...Czy zrozumiałeś, Henryku, dlaczego nie pozwoliłam ci wejść? Dlatego, żeby tym nieszczęśliwym dzieciom, w ich własnej szkole, nie stawiać przed oczami zdrowego i silnego chłopca. Oni i tak mają dość okazji do bolesnych dla siebie porównań. Jaka to smutna rzecz, takie zbiorowisko upośledzonych przez naturę dzieci!

Było ich tam z sześćdziesięcioro, chłopców i dziewczynek. Biedne, wymęczone ciała! Biedne rączki i nóżki, powykęcane, nieforemne, słabe. Widziałam ładne buzie, spojrzenia pełne inteligencji i uczucia, to znów jakąś twarzyczkę dziewczynki z długim nosem i spiczastą brodą, która się wydawała twarzą staruszki, ale miała uśmiech pełen słodyczy.

Niektóre z dzieci, widziane z przodu, są śliczne i nie widać w nich żadnej ułomności; ale niech się które obróci, serce się ściska. Był właśnie doktor i badał je. Stawiał je na ławce, podnosił ubranka, żeby opukać ich wzdęte brzuszki, ich zgrubiałe stawy; a one, biedne, wcale się nie wstydzily; przywykły już widać, że je tak rozbierano, oglądano, obracano na wszystkie strony. I pomy-

śleć tylko, że to już jednak okres polepszenia w ich chorobie; że prawie wcale nie cierpią.

Ale któż obliczy, ile wycierpiały od pierwszego pojawienia się ich ułomności, kiedy w miarę rozwoju choroby czuły się z dnia na dzień coraz mniej kochane, kiedy były zostawiane godzinami gdzieś w kącie izby albo podwórza, źle żywione, a nieraz wyśmiewane albo miesiącami torturowane bandażami lub przyrządami ortopedycznymi, które im nic nie pomogły! Teraz przynajmniej dzięki rozumnym staraniom, dobremu odżywieniu i gimnastyce wiele z nich ma się znacznie lepiej. Nauczycielka prowadziła właśnie z nimi ćwiczenia gimnastyczne. Przykro było patrzeć, jak te biedactwa wyciągały pod ławkami nogi. Ściśnięte w tępkach, niekształtne, kalekie nogi małych łazarzy. Niektóre z dzieci nie mogły podnieść się z ławki, siedziały więc z główkami przechylonymi na ramię, głaszcząc swoje kule. Innym, kiedy im przyszło wyciągnąć prosto ramię, zaczynało brakować tchu i opadały na ławkę, ale uśmiechem pokrywały ten ciężki wysiłek.

Ach, Henryku, jak wy nie umiecie docenić zdrowia i jaką małą rzeczą wydaje wam się być zdrowym!

Kiedy pomyślałam o tych silnych, ślicznych i kwitnących dzieciach, które matki z dumą pokazują dokoła, miałam ochotę w rozpaczę wszystkie te biedne główki przycisnąć do serca, za ich los, za ich niedolę! Pomyślałam, że gdybym była sama na świecie, nie wyszłabym już stamtąd i poświęciłabym życie, aby im służyć, pocieszać, być im matką.

A one tymczasem śpiewały. Były to głosy wątłe, słodkie, smutne, które wnikały prosto do duszy. Nauczycielka pochwaliła je, więc były uszczęśliwione i gdy przechodziła pomiędzy ławkami, całowały ją w ręce. Takie są wdzięczne za dobroć dla siebie i niezmiernie uczuciowe. I zdolności okazują duże, i dobrze się uczą – mówiła mi nauczycielka.

Mila ta nauczycielka i młoda. Na dobrotliwej twarzy ma wyraz troski, jakby odbicie tej niedoli, którą koi, pielęgnuje i pocie-

sza. Dobrze, serdecznie dziewczę! Między ludzkimi istotami, które zarabiają pracą na życie, nie ma chyba innej, która zarabiałaby na nie w sposób bardziej święty i ofiarny!

Twoja matka

Poświęcenie

9, wtorek

Jaka ta moja mama jest dobra! A Sylwia – zupełnie tak samo! Też ma wielkie, szlachetne serce!

Wczoraj wieczorem przepisywałem właśnie moją część miesięcznego opowiadania: „Od Apeninów do Andów”, które nauczyciel podzielił pomiędzy nas, bo takie jest długie, gdy do pokoju weszła cicho, na palcach, Sylwia:

– Chodź ze mną do mamy! Słyszałam, jak ojciec z mamą rozmawiali dziś rano. Ojcu źle poszła jakaś sprawa i był bardzo zmartwiony, mama go pocieszała. Jesteśmy w ciężkim położeniu, rozumiesz? Nie mamy już pieniędzy. Ojciec mówił, że trzeba będzie wielu rzeczy się wyrzec, żeby związać koniec z końcem. Więc my też powinniśmy się ograniczyć, uczynić jakąś ofiarę, nie sądzisz? Czy jesteś gotów to zrobić? Dobrze! Ja porozmawiam z mamą, a ty mi tylko przytakuj i na swój honor przyrzeknij, że zrobisz wszystko, co powiem!

Potem wzięła mnie za rękę i poszliśmy do mamy, która szła coś, pogrążona w myślach. Siadłem na sofie z jednej strony przy mamie, Sylwia siadła z drugiej i zaraz zaczęła:

– Mamo! Chciałabym z mamą o czymś porozmawiać. Oboje chcemy z mamą porozmawiać.

Mama spojrzała zdziwiona, a Sylwia:

– Tata nie ma pieniędzy, prawda?

– Co ty mówisz? – rzekła mama, zaczerwieniwszy się lekko.

– To nie tak! Skądże ty to wiesz? Kto ci to powiedział?

- Już ja wiem! - odrzekła rezolutnie Sylwia. - Więc niech tylko mama posłucha! Myśmy także powinni uczynić jakąś ofiarę. My bardzo chcemy! Mama mi obiecała kupić wachlarz pod koniec maja, a Henryk miał dostać kasetkę z farbami. Ale teraz my nic nie chcemy! Nie chcemy, żeby rodzice wydawali pieniądze. I tak będziemy zadowoleni. Jeszcze bardziej. Wie mama?

Mama chciała coś powiedzieć, ale Sylwia rzekła:

- Nie, mamo! Tak musi być. Tak będzie. I póki tata nie będzie miał pieniędzy,

nie chcemy ani owoców, ani żadnych dobrych rzeczy, nic. Wystarczy nam zupa na obiad, a na śniadanie i na kolację będziemy jedli tylko chleb. Tym sposobem wyda się mniej na życie. Bo teraz to się za dużo wydaje, a my przyrzekamy mamie, że będziemy tak samo zadowoleni i nawet jeszcze bardziej! Prawda, Henryku?

Kiwnąłem głową z zapalem.

- Będziemy zawsze tak samo zadowoleni - powtórzyła Sylwia, zasłaniając mamie usta ręką. - A jeśli możemy z czegoś zrezygnować, czy to w ubraniu, czy w czymś innym, to też to chętnie zrobimy! I posprzedajemy wszystkie nasze podarunki.

Ja wszystko oddam, co mam, i będę mamie sama pomagała i nie będziemy oddawali żadnej roboty z domu, bo ja z mamą będę pracowała cały dzień, będę wszystko robiła, co mama zechce, gotowa jestem na wszystko! Na wszystko! - zawołała głośnie, zarzucając ręce na szyję mamy. - Żeby tylko tata i mama nie mieli kłopotów i żebym znowu widziała, że są spokojni, weseli, jak przedtem, i zadowoleni ze swoich dzieci, które was bardzo, bardzo kochają! Tak kochają, że oddałyby za was życie!

Chyba jeszcze nigdy nie widziałem mamy tak szczęśliwej, jak wtedy, gdy tego słuchała. Słowa nie mogła wykrztusić i nigdy nie całowała Sylwii z taką czułością, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

Uspokoila się wreszcie i zapewniała Sylwii, że aż tak źle nie jest, że nie jesteśmy bynajmniej doprowadzeni do takiego niedostatku, i dziękowała jej, i przez resztę dnia była wesola, a kiedy oj-

ciec wrócił, wszystko mu opowiedziała. A biedny tata nawet ust nie otworzył.

Ale nazajutrz w południe siadając do stołu, uczułem radość i smutek zarazem: pod moją serwetą była kasetka z farbami, a Sylwia znalazła pod swoją serwetą wachlarz.

Pożar

11, czwartek

Skończyłem dziś rano przepisywać moją część opowiadania: „Od Apeninów do Andów” i obmyślałem właśnie, o czym by tu napisać wypracowanie na dowolny temat, które zadał nam nauczyciel, kiedy usłyszałem jakiś niezwykle hałas na schodach, a zaraz potem weszli do naszego mieszkania dwaj strażacy ze straży pożarnej i powiedzieli memu ojcu, że muszą zbadać piece i kominki, bo sadze palą się w domu i nie wiadomo, skąd pochodzi ogień.

Ojciec rzekł:

- Owszem, proszę! - I chociaż u nas nigdzie ogień się nie palił, zaczęli chodzić po pokojach i przykładać ucho do ścian, nasłuchując, czy w przewodach kominowych wiodących na wyższe piętra nie huczy gdzieś pożar.

A kiedy tak chodzili, tata zwrócił się do mnie:

- No i masz, synku, temat do wypracowania: „Straż pożarna”. Spróbuj opisać to, co ci opowiem:

Widziałem ich przed dwoma laty przy pracy. Późną nocą wracałem z teatru Balbi i dochodziłem właśnie do ulicy Roma, kiedy ujrzałem jakieś niezwykle światło i tłum biegnących ludzi. Palił się dom. Języki ognia i chmury dymu wydobywały się z okien i z dachu, ludzie ukazywali się wśród nich i zaraz znikali, krzycząc z przerażenia, a przed bramą tłoczył się tłum, wołając:

- Ratunku! Żywcem się palą! Ratunku! Strażacy, strażacy!

W tej chwili stanął przed bramą wóz, z którego zeskoczyło czterech strażaków i rzuciło się do płonącego domu.

Ledwo tam weszli, okropny widok zmroził nam krew w żyłach. Jakaś kobieta z nieludzkim krzykiem podbiegła do okna trzeciego piętra, chwyciła za rynnę, przerzuciła się na zewnątrz muru i zawisała w powietrzu, smagana dymem i ogniem, które buchnęły za nią oknem.

Tłum jęknął ze zgrozy. Strażacy, zatrzymani na drugim piętrze przez wystraszonych mieszkańców, już rozbijali tam ścianę, kiedy tłum na ulicy zaczął krzyczeć:

- Na trzecie! Na trzecie piętro! Na trzecie!...

Skoczyli na trzecie. Całe piekło ognia! Gorejące belki dachu przebijały sufity, korytarze w płomieniach i w duszącym dymie.

Żeby się dostać do zamkniętych mieszkań, nie było innej drogi jak przez dach. Rzucili się więc na strychy, a w chwilę później ujrzeliśmy jakby czarne widmo skaczące przez dym i płonące belki. Był to kapral, który dobiegł pierwszy. Ale żeby się dostać od strony dachu do zamkniętego mieszkania, trzeba było przejść przez wąską przestrzeń między wylotem okienka na strychu a kominem. Nie było innej drogi, gdyż pożar wszystko już objął, tę zaś jedyną drogę, wiodącą po spadzistości dachu, pokrywał w owej porze śnieg i lód, i nie było się czego uchwycić.

- Nie przejdzie! Nie da rady! - wołał tłum w ulicy.

Kapral posunął się aż na sam brzeg dachu, a gdy dosięgnął miejsca, na którym mógł wesprzeć nogę, zaczął gwałtownie rozbijać belki, krokwie, rynny, żeby zrobić sobie otwór do wnętrza. Kobieta ciągle jeszcze wisiała za oknem, ogień huczał nad jej głową, a dym owijał ją jak śmiertelny całun. Jeszcze chwila, a upadnie na bruk ulicy. Ale otwór już był wybity, kapral wsparł się na haku i zsunął do środka. Tymczasem nadbiegli inni i wskoczyli za nim.

W tym momencie ustawili olbrzymią, przywiezioną właśnie, drabinę, oparli ją pod oknami, z których buchały płomienie i skąd dochodziły krzyki rozpacz. Wszyscy jednak myśleli, że już jest za późno.

- Nie uratujecie nikogo! - krzyczał tłum w ulicy.

- Popalą się, poduszają nawet i strażacy!

- Skończone!

- Daremne!

Nagle w okienku nad rynną ukazała się czarna postać kaprała, oświetlona jaskrawym płomieniem. Schylił się, kobieta chwyciła go za szyję, ujął ją oburącz w pól i wciągnął do środka. Okrzyk tysiąca głosów zagłuszył na chwilę huk ognia.

Ale inni – jak zejda?

Drabina oparta o dach przy innym oknie oddalona była jednak od niego dość znacznie. Jak się jej uczepią?

Kiedy tak pytano z bijącym trwogą sercem, jeden ze strażaków stanął na gzymsie jedną nogą, drugą na drabinie i tak wyprostowany, w powietrzu, brał w ramiona jednego po drugim mieszkańców płonącego domu, których mu inni podawali z wnętrza, i oddawał stojącemu na drabinie towarzyszowi, a ten wiązał ich mocno liną i przy pomocy nowych, przybyłych z drabiną strażaków, spuszczał na dół.

Pierwsza uratowana została w ten sposób kobieta uczepiona przedtem u rynny, po niej jakieś dziecko, potem następna kobieta i jakiś starzec. Wszyscy zostali ocaleni! Po nich dopiero zaczęli spuszczać się strażacy. Ostatni spuścił się kaprał, ten, który pierwszy przybiegł na ratunek. Zebrany na ulicy tłum przyjął ich grzmiącym oklasków.

A kiedy ukazał się kaprał, wódz tej gromadki zbawców, ten, który wobec wszystkich nad przepaścią zawisł, ten, który byłby zginął, gdyby jeden z nich zginąć musiał, tłum powitał go jak triumfatora, krzycząc i wyciągając ku niemu ramiona z uniesieniem, wdzięcznością i podziwem, a jego nazwisko, Józef Robino, nikomu przedtem nieznanie, brzmiało na wszystkich ustach.

Widzisz więc, czym jest odwaga! Odwaga serca, która nie rozumie, nie waha się, ale jak ślepy piorun bije tam, gdzie słyszy krzyk śmiertelnego zagrożenia.

Muszę cię któregoś dnia zaprowadzić na ćwiczenia strażaków. I pokażę ci kaprała Robino! Myślę, że chętnie go poznasz, prawda?

- Tak, prawda – odrzekłem. A wtem ojciec:

- Otóż i on!

Odwróciłem się. Dwaj strażacy skończyli już oględziny i przechodzili przez pokój do wyjścia.

Ojciec pokazał mi niższego z nich i rzekł:

- Uściśnij rękę kapralowi Robino!

Kapral zatrzymał się i podał mi rękę z uśmiechem. Ścisnąłem ją z całej siły, a on się skłonił i wyszedł.

- Nie zapomnij go - dodał ojciec - bo z tych tysięcy rąk, jakie ci w życiu przyjdzie uściśnąć, nie wiem, czy będzie z dziesięć godnych jego ręki!

Od Apeninów do Andów

Opowiadanie miesięczne

Przed wielu laty pewien trzynastoletni genueńczyk, syn robotnika, wybrał się sam z Genui do Ameryki, aby odszukać swą matkę.

Matka wyjechała przed dwoma laty do Buenos Aires, stolicy Argentyny, aby tam przyjąć służbę w jakimś bogatym domu i szybko zarobić na poratowanie swej rodziny, przywiedzionej do skrajnego ubóstwa i zadłużonej na skutek różnych nieszczęść.

Niemало jest u nas w kraju odważnych kobiet, które wypuszczają się w tak daleką drogę z tym samym zamiarem, a dzięki wysokiej zapłacie, jaką otrzymuje tam uzdolniona służba, po niewielu latach wracają do domu z kilkoma tysiącami lirów.

Kiedy biednej matce przyszło się rozstać z synami, z których jeden miał lat osiemnaście, a drugi kończył jedenasty rok, zapłakała z żalu gorzkimi łzami. Wiedząc jednak, że to dla ich dobra, ruszyła mężnie w drogę, pełna nadziei. Podróż była pomyślna. Zaledwie dotarła do Buenos Aires, za pośrednictwem krewnego, który był tam od dawna osiedlony, znalazła dobrą służbę u argentyńskiej rodziny, gdzie hojnie jej płacono i obchodzono się z nią zyczliwie.

Była więc bardzo zadowolona i przez dłuższy czas pisywała regularnie, donosząc o swoim powodzeniu. Jeszcze przedtem umówili się z mężem, że będzie jej posyłał listy na ręce owego krewniaka, który je doręczy żonie, żona zaś będzie oddawała odpowiedź także krewniakowi, a on ją do Genui pośle, dodawszy co nieco od siebie.

Tak zarabiając osiemdziesiąt lirów miesięcznie, a nie wydając na siebie nic, posyłała dzielna kobieta co kwartał do domu wcale ładną sumkę, z której mąż, człowiek uczciwy, spłacał co pilniejsze długi, odzyskując z wolna dobrą opinię i niecierpliwie wyglądając chwili, w której żona wróci, gdyż dom bez niej wydawał się pusty, a młodszy z synów, ogromnie przywiązany do matki, bardzo za nią tęsknił i nie mógł do tej rozłąki w żaden sposób przywyknąć.

Ale po upływie roku, po krótkim liście, w którym kobieta zawiadamiała rodzinę, że nie jest całkiem zdrowa, wiadomości od niej przestały nadchodzić. Pisali dwa razy do owego krewniaka – ale nie odpowiedział. Pisali do argentyńskiej rodziny, u której służyła, ale nie wiadomo, czy list doszedł, nie pamiętali bowiem dobrze nazwiska, dość że i stamtąd nie mieli żadnej wieści.

Wtedy, przeczuwając jakieś nieszczęście, ojciec napisał do włoskiego konsulatu w Buenos Aires, prosząc o zarządzenie poszukiwań, jednak po trzech miesiącach tyle tylko się dowiedział, że na ogłoszenie dane przez konsulatu do tamtejszych gazet nikt się nie zgłosił i że nie znaleziono żadnego śladu zaginionej.

I nie mogło też być inaczej! Dobrej kobiecie bowiem przyszło do głowy, żeby dla ochrony rodzinnego honoru, który według niej pójście na służbę narażało na szwank, zmienić nazwisko i podać zupełnie inne tam, gdzie przebywała.

Przeszło kilka miesięcy bez najmniejszej wieści. Ojciec i synowie byli bardzo zmartwieni, młodszy zaś z tęsknoty zaczął zapadać na zdrowiu. Co czynić? Do kogo się udać? Pierwszą myślą ojca było jechać i szukać żony w Ameryce. Ale praca?

I kto przez ten czas utrzyma dom i dzieci? Nie mógł też jechać starszy syn, który właśnie coś niecoś zaczął zarabiać i był potrzebny rodzinie.

I tak żyli w ciężkiej trosce z dnia na dzień, powtarzając bolesne pytanie: „Co robić?” – i patrząc na siebie w milczeniu. Aż raz wystąpił mały Marek i rzekł rezolutnie:

– Ja pojedę do Ameryki i odnajdę mamę!

Ojciec pokiwał ze smutkiem głową. Tak! To był pomysł poddyktowany sercem, ale nie do wykonania! Trzynastolatek, sam do Ameryki, kiedy sama podróż trwała blisko miesiąc!

Ale chłopiec nie ustępował. Nalegał tego dnia, drugiego i trzeciego, argumentując rozsądnie jak dorosły człowiek.

– Pojechało tam już tylu, nawet młodszych ode mnie! – przekonywał. – Jak tylko będę na okręcie, to przecież dopłynę. Nie bójcie się, już mnie tam dowiozą! A jak znajdę się na miejscu – to co? Nie potrafię odszukać sklepu naszego krewniaka? Przecież tam jest tyłu Włochów, to mi pierwszy lepszy pokaże ulicę! Jak do niego trafię, to jakbym trafił do mamy! Gdybym zaś go nie znalazł, to pójdę prosto do konsula i zapytam o tych państwa, gdzie mama pracowała. Zresztą, co będzie, to będzie, a roboty tam nikomu nie zabraknie. Znajdę pracę i zarobię przynajmniej tyle, żeby wrócić do domu!

I tak po trochu, po trochu, prawie że przekonał ojca.

Ojciec mu ufał. Wiedział, że chłopiec jest roztropny i odważny, wiedział też, że od dzieciństwa nawykł do niedostatku i biedy, i że znajdzie w swym sercu siły do spełnienia tego zamiaru, bo odnalezienie ukochanej matki było dla niego świętym celem. Zdarzyło się przy tym, że kapitan parostatku wyruszającego za ocean, posłyszawszy coś o tym od znajomego, obiecał dać chłopcu za darmo bilet trzeciej klasy aż do Argentyny.

I tak ojciec po krótkim wahaniu przystał na podróż. Naładowali małemu Markowi pełną torbę jedzenia, dali mu do kieszeni kilka soldów, zaopatrzyli go w adres krewniaka i pewnego pięknego dnia, w kwietniu, odprowadzili go na pokład okrętu.

– Synku mój, Marku drogi! – mówił ojciec z pełnymi łez oczyma, ściskając go jeszcze raz na schodach parostatku. – Spraw się dobrze! Jedź z Bogiem! Syna, co szuka matki, Pan Bóg nie opuści!

Biedny Marek! Miał serce mężne i przygotowane na najcięższe próby w tej podróży, ale kiedy jego piękna Genua zniknęła mu z oczu, kiedy znalazł się na pełnym morzu, wśród tłumu emigrantów zapelniających cały parostatek, sam, nieznany nikomu, z tą małą torbą, która zamykała w sobie całe jego mienie, ogarnęła go wielka żalność i wielkie zwątpienie. Jak bezpański psiak leżał przez dwa dni na przodzie pokładu, nie mogąc nic przełknąć, a tylko chciało mu się płakać i płakać. Różne myśli chodziły mu po głowie, jedna smutniejsza od drugiej. Najcięższa z nich i najsmutniejsza wracała uporczywie: a co, jeśli jego matka już nie żyje...

W niespokojnych, przerywanych snach widział ciągle twarz jakiegoś nieznanego, który pochylał się nad nim, patrzył ze współczuciem i mówił mu do ucha: „Twoja matka umarła!”. Budził się wtedy, tłumiąc krzyk rozpaczny.

Dopiero kiedy okręt przebył Cieśninę Gibraltarską i wypłynął na Ocean Atlantycki, nieco nadziei i otuchy wstąpiło w Marka. Na krótko jednak. To niezmierzone, ciągle jednostajne morze, ten wzrastający upał, ścisk tłumu biedaków, który go otaczał, a nade wszystko uczucie zupełnej samotności i oderwania od swoich, pograżyły go w depresji.

Te dni puste, jednostajne, wlokące się po sobie bez żadnej odmiany, tak mu się mąciły w pamięci, jak się to przytrafia chorym. Zdawało mu się, że już przynajmniej rok płynie po tym morzu, i każdego ranka zdumiewał się na nowo, że jest sam pośród tych niezmiernych wód i oto płynie do Ameryki!

Śliczne, latające ryby, które czasem spadały na pokład, nadzwyczajne zachody i wschody słońca w pobliżu równika; srebrzyste mgły wieczorne, zadziwiająca fosforescencja morza w nocy – wszystko to zdawało mu się nie rzeczywistym zjawiskiem, lecz przyśnionym dziwem. Ale potem było jeszcze gorzej. Przyszły dżdżyste dni, podczas których ciągle przebywał w zamknięciu między pokładami, gdzie wszystko trzęsło się i przewracało, i gdzie

nie słyszał nic prócz wyrzekania i straszliwych klótni. Myślał wtedy biedak, że ostatnia jego godzina nadeszła. A potem znów przyszła zmiana. Dnie ciężkie, duszne, skwar nieznośny, morze gładkie, żółtawe, bez ruchu, milczące, w martwym powietrzu brak tchu, nuda nieskończona; dnie posępne, ciężkie, podczas których pasażerowie, rozciągnięci nieruchomo na podłodze i ławkach, wyglądali jak nieżywi. A drogi jakby nie ubywało. Niebo i morze, morze i niebo, dziś jak wczoraj. Jutro jak dziś, i jeszcze, i ciągle, i wiecznie.

Chłopczyna stał tak oparty o poręcz pokładu, wlepiwszy wzrok w ten ocean bez początku i bez końca, ogłuszony, oszołomiony, niejasno, a uparcie myślący o matce, póki powieki nie zaczęły mu ciążyć, a głowa nie spadła na ręce. A wtedy spostrzegął znowu tę twarz nieznaną, która patrzyła na niego litośnie, i słyszał jej szept cichy: „Matka twoja umarła”. Więc budził się i zrywał nagle, aby znów śnić na jawie, zapatrzony w cichy i nieruchomy horyzont.

Dwadzieścia siedem dni trwała podróż! Ostatnie z nich były jednak lepsze. Powietrze się odświeżyło, pogoda była piękna. Marek zaznajomił się z jednym starym Lombardczykiem, który jechał do Ameryki, aby odwiedzić syna, posiadającego kawałek ziemi niedaleko miasta Rosario. Opowiedział mu wszystko o swojej rodzinie, a stary, słuchając, klepał go po ramieniu i raz po raz powtarzał: „Odwagi, chłopcze! Odnajdziesz matkę zdrową i szczęśliwą!”.

Te rozmowy, ten tak odmiennego wieku towarzysz, wzmocniły go trochę i smutne przecucia zastąpiły radosnym oczekiwaniem.

Siedząc na tylnym pokładzie obok starego wieśniaka palącego fajkę, pod pięknym, gwiazdzistym niebem, wpośród gromadek rozśpiewanych emigrantów, po sto razy przedstawiał sobie w myśli, jak to on przyjedzie do Buenos Aires; widział się już na wskazanej ulicy, odnajdywał sklepik krewniaka i biegł do niego z okrzykiem: „Gdzie mama?... Czy zdrowa?... Chodźmy prędko! Chodźmy prędko do niej!”. Więc wybiegali razem, wstępowali na schody, drzwi się otwierały – i... Tu urywała się gra jego wyobraźni, głosy, którymi sam

przemawiał, milkły, a całe serce jego zalewało uczucie niezwyklej tkliwości. Wyjmował wtedy z zanadru mały medalik, całował go i odmawiał z cicha swe modlitwy.

*

Dwudziestego siódmego dnia od wyruszenia z Genui wreszcie dotarli na miejsce. Majowa różana zorza stała na niebie, kiedy okręt zarzucił kotwicę w zatoce olbrzymiej rzeki La Plata, na której brzegu wznosi się rozległe miasto Buenos Aires, stolica Argentyny.

Ta zorza wydawała się chłopcu dobrą wróżbą. Radość i niecierpliwość odbierały mu niemal zmysły. Jego droga, ukochana matka była już tak blisko, tak blisko! Za parę godzin zobaczy ją, uściska! Oto był w Ameryce, w tym Nowym Świecie, odważył się na tę drogę sam i dobił do celu!

Wszystko, co przeszedł i przecierpiał w podróży, wydało mu się teraz nieważne. Jakby śnił, a teraz się obudził. Tak był szczęśliwy, że nawet się nie zdziwił ani nie zasmucił, kiedy sięgnąwszy do kieszeni, nie znalazł w niej jednego z dwóch węzłków, w których ukrył swój mały skarb, rozdzieliwszy go na połowy, dla większej pewności, że nie zgubi wszystkiego. Otóż jeden z węzłków wyciągnął mu jakiś zły człowiek, tak że pozostało mu tylko kilka li-rów. Ale cóż go to mogło obchodzić teraz, kiedy był blisko matki? Wziąwszy więc torbę w rękę, zszedł razem z innymi Włochami do małego, parowego statku, który ich dowiózł w pobliże portu, a potem ze statku przesiadł się na łódź, noszącą imię „Andrea Doria”, którą dotarł do portu, skąd – pożegnawszy starego Lombardczyka – ruszył wielkimi krokami ku miastu.

*

Kiedy doszedł do zakrętu pierwszej ulicy, zatrzymał się i zapytał grzecznie przechodnia, w jakim kierunku ma się udać, aby dojść do ulicy Los Artes. Przypadek zrządził, że przechodzień był włoskim robotnikiem. Spojrzał ciekawie na chłopca i zapytał go, czy umie czytać. Chłopiec potwierdził, że umie.

- A więc - rzekł ów robotnik, wskazując mu ulicę - idź ciągle prosto i czytaj nazwy ulic na wszystkich rogach, to znajdziesz i swoją.

Chłopiec podziękował i ruszył przed siebie.

Była to prosta, niezmiernie długa, choć wąska ulica, obudowana po obu stronach białymi, niskimi domkami, które wyglądały jak dworki wiejskie, pełna ruchu ludzi, pojazdów i ciężkich wozów, toczących się z ogłuszającym hałasem; tu i ówdzie powiewały olbrzymie chorągwie, na których wypisano wielkimi kolorowymi literami, gdzie i kiedy odpływa jaki okręt. Były to nazwy miast zupełnie mu nieznanne. Co i raz, na prawo i na lewo widział poprzeczne ulice, tak samo proste i długie, i tak samo zabudowane małymi, niskimi domami, i tak samo pełne ludzi i powozów, przecięte w głębi prostą linią nieskończonej równiny amerykańskiej, podobnej do widnokregu morza. Miasta nie podobna było objąć wzrokiem. Zdawało mu się, że mógłby tak całymi dniami, całymi tygodniami iść i iść, nie widząc nic innego, tylko te proste przecinające się ulice, którymi pewnie pokryta jest cała Ameryka.

Uważnie jednak czytał na wszystkich rogach nazwy ulic; były mu całkiem obce i odczytywał je z trudem. Przy każdym rogu serce zaczynało mu bić silniej na myśl, że to już może tutaj. Przyglądał się też bacznie przechodzącym kobietom, nabiwszy sobie głowę, że mógłby po prostu spotkać matkę. Zdarzyło się nawet, że zobaczył dość daleko przed sobą idącą kobietę, która wydawała mu się wzrostem dość podobna. Krew uderzyła mu do głowy. Dobiegł do niej i ujrzał, że była to Murzynka. Szedł więc dalej, przyspieszając kroku. Wreszcie na którymś skrzyżowaniu zaczął czytać i stanął, jak gdyby wrósł w ziemię. Była to jego ulica. Ulica Los Artes.

Odwrócił się i zobaczył nr 117. Sklep krewniaka znajdować się miał pod numerem 175. Zaczął iść teraz tak spiesźnie, że prawie biegiem. Przed nr. 171 musiał stanąć, żeby nabrać tchu. I mówił do siebie: „O matko moja! Matko moja! Czyż to prawda, że ja cię zaraz zobaczę?...”

Pobiegł dalej, spostrzegł mały sklepik z wiktuałami. Ten sam. Wszedł. W sklepiku siedziała kobieta w okularach, z siwymi włosami.

- A czego to, chłopcze? - spytała po hiszpańsku.
- Czy to nie tu - rzekł chłopiec, usiłując dobyć głos ze ściśniętego gardła - czy to nie tu jest sklep Franciszka Merelli?

- Franciszek Merelli umarł! - odrzekła kobieta po włosku.

Chłopiec zachwiał się, jakby go ktoś uderzył.

- Kiedy umarł?

- Eh, kawałek już czasu, moje dziecko! - odpowiedziała kobieta. - Kilka miesięcy temu. Nie wiodło mu się. Sprzedał. Wyprowadził się. Słyszałam, że daleko stąd, aż do Bahii, gdzie podobno wkrótce umarł. Sklepek teraz należy do mnie.

Chłopiec zbladł.

Przewyciężył się jednak i rzekł szybko:

- Merelli znał moją matkę. Moja matka służyła tutaj u państwa Mequinez. Tylko on mógłby mi powiedzieć, gdzie mam jej szukać. Bo ja przyjechałem do Ameryki po to, żeby odszukać moją matkę. Merelli posyłał jej nasze listy. Ja przecież muszę znaleźć moją matkę!

- Biedny chłopiec! - westchnęła kobieta. - Ja nie wiem. Mogę się zapytać stróża. On znał chłopaka, który załatwiał Merellemu posyłki. Może będzie coś wiedział.

I zaraz poszła w głąb sklepu, wołając przez drzwi stróża. Przybiegł natychmiast.

- Powiedz mi - rzekła sklepikarka - czy pamiętasz, żeby ten chłopak od Merellego nosił listy do kobiety służącej u jednych tu, wiesz, tutejszych...

- U państwa Mequinez! - odpowiedział stróż. - Tak, proszę pani, nosił czasem. Tam dalej, w tej samej ulicy.

- Ach, dziękuję pani! - zawołał Marek. - Proszę mi tylko powiedzieć numer... Nie wiecie? Niech pani każe mnie zaprowadzić! Zaprowadźcie mnie, stróżu! Mam jeszcze pieniądze...

Mówił tak żarliwie, że stróż, nie czekając na to, co powie sklepikarka, rzekł:

- To chodźmy! - I wyszedł pierwszy prędkim krokiem.

Biegając niemal i bez słowa doszli w głąb tej nadzwyczaj długiej ulicy, przeszli korytarz wiodący przez mały biały domek i zatrzy-

mali się przed piękną kratą, przez którą widać było dziedziniec, pełen gazonów z kwiatów. Marek pociągnął za dzwonek. Ukazała się młoda panna.

- Czy tu mieszkają państwo Mequinez? - zapytał chłopiec trwożliwie.

- Mieszkali - odpowiedziała panna po włosku, ale z hiszpańskim akcentem. - Teraz my tu mieszkamy, Zeballoz.

- A dokąd wyprowadzili się państwo Mequinez? - zapytał Marek z bijącym sercem.

- Wyjechali do Kordowy.

- Kordowa? - wykrzyknął Marek. - Gdzie ta Kordowa?... A ta służąca, która u nich była? Ta kobieta? Moja matka? Ich służąca była moją matką... Czy zabrali także moją matkę ze sobą?

Panna spojrzała na niego i rzekła:

- Nie wiem. Może mój ojciec będzie wiedział, bo znał się z nimi, zanim wyjechali. Proszę chwilę poczekać.

Odeszła, a za chwilę powróciła z ojcem, wysokim panem z siwą brodą. Pan popatrzył chwilę na sympatyczną postać małego genuńskiego marynarza, z noskiem orlim i jasnymi włosami, po czym zapytał łamaną włoszczyzną:

- Twoja matka była z Genui?

- Z Genui, proszę pana!

- No to ta służąca z Genui wyjechała razem z państwem. Wiem o tym na pewno.

- A dokąd wyjechali?

- Do Kordowy... Do takiego miasta.

Chłopiec westchnął ciężko, a potem rzekł z rezygnacją:

- Skoro tak, to ja także muszę się udać do Kordowy.

- Ach, biedny chłopcze! - zawołał pan, patrząc na niego z litością. - Przecież to jakieś sto mil stąd!

Marek zbladł i oparł się ręką o kratę.

- Zobaczmy, zobaczmy - mówił pan, tknięty współczuciem i otwierając drzwi, dodał: - Wejdz na chwilę, zobaczmy, jak ci możemy pomóc.

Kazał mu usiąść i opowiedzieć wszystko po kolei, a wysłuchawszy z wielką uwagą namyślał się przez chwilę, po czym rzekł szybko:

- Nie masz pieniędzy, prawda?
- Mam jeszcze... trochę - odpowiedział Marek.

Pan znów myślał przez parę minut, potem siadł do stolika, napisał list i podając go chłopcu, rzekł:

- Słuchaj, mały Włochu! Idź z tym listem do Boca. Jest to miasteczko na wpół genueńskie, o dwie godziny drogi stąd. Każdy ci pokaże drogę. Idź tam i wyszukaj tego pana, którego nazwisko masz tu na adresie. Wszyscy go znają. Zanieś mu ten list. Ten pan wyprawi cię jutro do Rosario i poleci komuś, kto się postara ułatwić ci dalszą drogę aż do Kordowy, gdzie znajdziesz państwa Mequinez i swoją matkę. Tymczasem, masz tu - włożył mu do ręki kilka lirów - i idź śmiało, nie bój się! Wszędzie tu znajdziesz Włochów, wszędzie się rozmówisz i nie będziesz opuszczony! Adios!

Chłopiec rzekł tylko:

- Dziękuję!...

Nie mógł znaleźć innych słów, wyszedł ze swoją torbą i pożegnawszy przewodnika, przepelniony smutkiem, zaczął iść z wolna, przez te hałaśliwe, tętniące ruchem ulice w stronę miasteczka Boca.

*

Wszystko, co mu się przydarzyło od tej chwili aż do wieczora następnego dnia, zamazało mu się w pamięci, jak gorączkowe majaczenie w chorobie, tak był znużony i przybity. Dopiero kiedy drugiego dnia wieczorem, przespawszy w Boca noc w jakiejś komórce obok tragarza portowego i przesiedziawszy prawie cały dzień na stosie belek, półprzytomnym wzrokiem wpatrzony w tysiące łodzi, statków parowych i okrętów, znalazł się wreszcie na dużej, żaglowej, naładowanej owocami barce, zrobiło mu się raźniej na duszy.

Barkę prowadziło trzech silnych, spalonych słońcem na brąz genueńskich żeglarzy, których głos i ten miły mu, znajomy od dzieciństwa akcent ich mowy, dodawały biedakowi otuchy i odwagi.

Ruszyli.

Podróż trwała trzy dni i cztery noce, i była jednym pasmem zdumienia dla naszego małego wędrowca. Trzy dni i cztery noce spędził na tej olbrzymiej, pełnej zadziwiających widoków rzece Paranie, przy której Po – też przecież duża rzeka – wydaje się ledwie strumyczkiem, a której długość przewyższa czterokrotnie długość całych Włoch.

Barka posuwała się z wolna, płynąc mozolnie pod prąd tych niezmiernych wód.

To mijała podłużne wyspy, niegdyś siedliska tygrysów i węży, teraz przemienione w uprawne gaje, pokryte plantacjami pomarańczy, to przesuwiała się przez kanały tak wąskie, iż zdawało się niepodobieństwem, aby mogła z nich wyjść, to wypływała na szerokie wodne rozlewiska przypominające wielkie, ciche jeziora. A potem znów inne wyspy i znowu kręte kanały archipelagu, wśród ogromnych gąszczów dzikiej roślinności. Te brzegi, te wody samotne, szeroko rozlane, robiły wrażenie jakichś nowych światów, do których ta uboga barka przedzierała się pierwsza od stworzenia ziemi. A im dalej się posuwali, tym ta potworna rzeka wydawała mu się straszniejsza. Wyobraził sobie, że jego matka jest gdzieś u jej źródeł i że będzie tak płynął do niej lata całe.

Dwa razy dziennie spożywał nieco chleba i solonego mięsa razem z wioślarzami, którzy, widząc go wciąż smutnym, przestali się do niego odzywać. Nocą sypiał na pokładzie, budząc się jednak co chwila, zdumiony nadzwyczajnym blaskiem księżyca, który wysrebrzał niezmierne wody i dalekie brzegi, a wtedy ścisnęło mu się serce.

– Kordowa! – powtarzał słowo „Kordowa”, jakby to była nazwa tajemniczego miasta, o którym gdzieś, kiedyś, w jakiejś bajce słyszał. I zaraz poddawał się myślom słodkim i krzepiącym.

„Mama też tędy płynęła... Mama też patrzyła na te wyspy, na te brzegi”.

A wtedy miejsca i widoki od razu traciły coś ze swej obcości i już nie wydawały mu się tak samotne, bo przecież zostało w nich

coś ze spojrzenia jego matki. Nocą, żeby nie usnąć, jeden z wioślarzy śpiewał. Jakże mu śpiew ten przypominał słodkie pieśni, którymi go usypiała!

Ostatniej nocy słuchając owego śpiewu, zapłakał głośno. Wioślarz przerwał piosenkę, chwilę milczał, a potem zawołał:

- A nie bądźże babą, chłopcze! Cóż u licha! Genueńczyk i beczy, że dom daleko... Nie wiesz to, że genueńczycy świat opłynęli dokoła w sławie i w triumfie?

Więc biedak przemógł się, poczuł krew genueńską w żyłach i podniósł mężnie czoło, uderzając pięścią w wiosło dla nadania sobie bardziej męskiego wyrazu.

„A więc dobrze! - myślał. - I ja tak zrobię! I ja muszę opłynąć cały świat dokoła, i będę płynął lata całe, a potem będę szedł pieszo setki, setki mil, póki nie znajdę mamy! Choćbym miał dojść umierający i paść u jej nóg nieżywy! Niech tam, żeby ją tylko zobaczył! Będę odważny. Będę odważny! Będę mężny! Będę!...”

I z tak umocnioną duszą przybył czwartego dnia o brzasku do miasta Rosario, które leżało na wysokim brzegu Parany, tam gdzie tysiące powiewających chorągiewami masztów przeglądało się w jej cichych wodach.

*

Zaraz po wylądowaniu Marek udał się do miasta, aby odszukać Argentyńczyka, do którego protektor z Boca dał mu kilka słów polecających na wizytowym bilecie.

Kiedy wkroczył do Rosario, zdawało mu się, że wchodzi do znanego sobie miasta. Były tutaj te same nieskończenie długie i proste ulice, zabudowane niskimi, białymi domami, zasnutę ponad dachami gęstą siecią telefonicznych i telegraficznych drutów, które wisiały niby olbrzymia pajęczyna, a na brukach słychać było tętent koni, huk wozów i ludzką wrzawę.

W głowie mu się mieszało. Chwilami miał wrażenie, że oto przybył do Buenos Aires i ma jeszcze raz szukać krewniaka. Chodził tak może z godzinę, zawracając to tu, to tam, wśród otępiają-

cej jednostajności widoków, zupełnie jakby wciąż kręcił się po tej samej ulicy, aż wreszcie, dopytując się usilnie, znalazł dom swego nowego protektora.

Zadzwonił. We drzwiach ukazał się jakiś grubas z jasnymi włosami, z niemłą twarzą, wyglądający na rządcę domu, który zapytał go z opryskliwą i cudzoziemską wymową:

- Czego chcesz?

Chłopiec wymienił nazwisko pana domu.

- Pan - odpowiedział rządcą - wyjechał wczoraj wieczór do Buenos Aires z całą rodziną.

Chłopiec oniemiał. Potem rzekł zmieszany:

- Ale ja... Ja tu nie mam nikogo... jestem sam - i podał ów bilet polecający.

Rządcą wziął go, odczytał i rzekł niechętnym głosem:

- Ja tam nic nie wiem. Dam panu za miesiąc, jak wróci.

- Ale ja, ja tu jestem sam... Ja koniecznie muszę...! - zawołał błagalnie chłopiec.

- Ej, ruszaj stąd! - odpowiedział grubas. - Mało to jeszcze mamy tych obieżyswiatów z twojego kraju! Idź do Włochów zebrać, do Włochów!

I zamknął mu drzwi przed nosem. Chłopiec stał jak skamieniały.

Wziął wreszcie swą torbę i odszedł z wolną, z sercem jakby przebitym i zamętem w głowie. Co czynić? Dokąd iść?

Z Rosario do Kordowy był jeszcze dzień jazdy koleją. Ale Marek miał już tylko parę lirów. Odjąwszy to, co musi dziś jeszcze wydać - cóż mu zostanie? Skąd wziąć pieniądze na bilet? Mógłby zarobić... Ale gdzie, kogo prosić o pracę? Żebrać? Ach, nie! Te odmowy, obelgi, upokorzenia, jak tego doznał przed chwilą... Nie, nigdy! Sto razy lepiej najpierw umrzeć...

Kiedy tak rozmyślając, spojrzął w tę nieskończenie długą ulicę, która ginęła gdzieś daleko, na niezmiernej, nieobjętej okiem równinie, poczuł, że cała odwaga uchodzi mu z serca... Rzucił więc torbę na chodnik, siadł na niej, oparł się o mur plecami i ukrywając

twarz w rękach, bez jednej lzy nawet, pozostał tak nieruchomy jak obraz rozpaczy.

Przechodnie potrącali go nogami: ulica drżała od turkotu ładownych wozów; kilku chłopców zatrzymało się i patrzyło na niego.

Jak długo to trwało, nie wiedział. Nagle wyrwał go z odrętwienia jakiś głos, mówiący w pół po włosku, a w pół po lombardzku:

- A co ci to, dziecko?

Podniósł twarz na te słowa i spojrzawszy, skoczył z okrzykiem zdziwienia:

- Pan tutaj?...

Przed nim stał ów wieśniak, Lombardczyk, z którym się zaprzyjaźnił, przepływając morze.

Ale i stary wieśniak nie mniej był od chłopca zdziwiony. Marek w nagłym podnieceniu nie dał mu nawet czasu na pytania, tylko sam zaczął opowiadać pospiesznie wszystko, co go od owego czasu spotkało.

- A teraz - kończył - nie mam już pieniędzy i muszę koniecznie zarobić na drogę. Niech pan się zmiłuje i znajdzie mi jaką robotę, żebym mógł uciuć kilka lirów! Każdą robotę chętnie wezmę... Mogę nosić pakunki, zamiatać ulicę, mogę biegać za posyłkami, mogę także pracować na wsi. Mogę żyć o suchym chlebie, bylebym mógł jak najprędzej jechać i odnaleźć już raz moją matkę!

Więc niech się pan ulituje nade mną i znajdzie mi jaką robotę! Na miłość boską, niech pan znajdzie, bo już nie wytrzymam dłużej!...

- Do diabła, do diabła! - powtarzał wieśniak, patrząc wkoło i drapiąc się w brodę. - Co za awantura!... Robota!... Łatwo powiedzieć: robota! Ale skąd ją wziąć? Posłuchaj no... A nie dałoby się zebrać jakich trzydziestu lirów tak pomiędzy naszymi?... Przecie tu tylu naszych jest!

Chłopiec spojrział na niego z błyskiem nadziei w oku.

- Chodź no ze mną! - rzekł wieśniak po nowym namyśle.

- Gdzie? – zapytał chłopiec, schylając się po torbę.

- Jak mówię chodź, to chodź!

I zaraz ruszył z miejsca..

Marek szedł za nim. Tak przeszli razem duży kawał ulicy w zupełnym milczeniu. Nareszcie wieśniak zatrzymał się przed oberżą, na której szyldzie była gwiazda, a pod nią napis: „Jutrzenka Włoch”, wsadził głowę przez drzwi i cofnąwszy ją zaraz, odwrócił się do chłopca i rzekł wesoło:

- W dobrą chwilę my przyszli! Chodź!

I weszli do izby. W izbie było kilka stołów, a przy stołach siedziało dużo ludzi, pijąc i rozprawiając głośno. Stary Lombardczyk zbliżył się do pierwszego stołu z brzegu, a po sposobie, jakim powitał sześciu siedzących przy nim gości, zaraz można było poznać, że tylko co, przed niedawną chwilą, należał do ich kompanii. Goście mieli twarze czerwone i brząkali szklankami, śmiejąc się i krzycząc razem.

- Chłopy! – rzekł wieśniak bez żadnego wstępu, stojąc i trzymając Marka za rękę. – Oto jest biedny chłopak, nasz rodak, który przyплыł z Genui do Buenos Aires, szukając matki. Tam jej nie znalazł, bo jest aż w Kordowie. Zabrali go na barkę do Rosario. Płynął trzy dni i cztery noce z paroma słowami polecającymi. Przedstawił kartkę, wykrzywili gębę na niego. Nie ma ani grosza. Jest sam i nikogo nie zna. Chłopak jest wielkiego serca. Pomyśleć tylko: z Genui do Rosario!... Dalej, towarzysze! Nie trzasnęlibyście tak kieszenia, żeby miał za co kupić bilet do Kordowy i matkę odszukać? Bo jakże! Mamy go tak jak psa zostawić na ulicy?...

- Nigdy w świecie, na Boga!... Nigdy się to po nas nie pokaże!
- krzyczeli wszyscy razem, tłukąc w stół pięściami. – Rodak nasz przecie!... Chodź no tu, mały! My jesteśmy emigranci! Patrzcie, jaki bęben ładny!

- Dalej, towarzysze, na stół miedziaki!

- A to zuch! Sam, przez takie morze!...

- Dzielny chłopak! Napijże się, rodaku!

- Nie może inaczej być, tylko cię wyprawim do matki!

I już jeden klepał go po ramieniu, już drugi uszczypnął go w policzek, już trzeci odejmował mu torbę. Inni emigranci zaczęli się też zbliżać, od stołów swoich powstawszy.

Historia chłopca obleciała w mig całą oberżę, z sąsiedniej izby przyszło kilku Argentyńczyków i w niecałe dziesięć minut stary Lombardczyk, który nadstawiał kapelusz, miał już w nim czterdzieści dwa liry.

- Widziałeś - rzekł, zwracając się do chłopca - jak to wszystko w Ameryce galopem idzie?

- Pij, zuchu! - zawołał któryś z gości, podając Markowi szklankę wina. - Za zdrowie twojej matki!

Wszyscy podnieśli szklanki, zaczęli się trącać, a Marek powtarzał:

- Za zdrowie... mojej...

A wtem radosne jakieś łkanie tak mu ścisnęło gardło, że postawił szklankę na stole i rzucił się staremu na szyję.

*

Nazajutrz rano, o pierwszym brzasku, mały podróżny był już w drodze do Kordowy, ufny, wesoły i pełen najlepszych przeczuć. Ale nie ma takiej wesołości, która by się długo ostała wobec posępnych widoków natury. Dzień był pochmurny, szary, pociąg prawie że pusty przebiegał olbrzymią równiną pozbawioną wszelkich śladów ludzkich osad. Marek siedział sam w niezmiernie długim wagonie, podobnym do tych, którymi przewożą rannych. Patrzył na prawo, patrzył na lewo, ale i na prawo, i na lewo była głucha pustka, na której to tu, to tam sterczały drobne karłowate drzewa, pnie potworne, gałęzie powykręcane, o niespotykanych kształtach, jak gdyby z gniewu i z przerażenia przyjęły tę dziwną postać. Cała roślinność ciemna, rzadka, smutna nadawała tej ogromnej równinie pozór wielkiego cmentarzyska.

Drzemał pół godziny, godzinę, otworzył oczy, spojrzał - wciąż ten sam widok. Stacje, które mijali lub przed którymi zatrzymywali się, były samotne jak chaty pustelników, a kiedy pociąg stawał, nie

słysząc było żadnego głosu. Zdawało się więc chłopcu, że jedzie tak w jakimś zatraconym pociągu, o którym nikt nie wie i który pędzi przez pustynię.

A i to mu się jeszcze zdawało, że lada stacja będzie już ostatnią i że wprost z niej będzie wyjście na tajemnicze i straszliwe siedzi-by dzikich plemion. Zimny wiatr owiewał mu twarz. Wsadzając go w Genui na pokład okrętu w końcu kwietnia, ojciec jego nie spodziewał się, żeby w Ameryce jeszcze była zima, i wyprawił go w letniej odzieży. Więc po kilku godzinach tej ponurej jazdy uczuł wielkie zimno, a razem z zimnem ciężkie znużenie minionych dni, pełnych gwałtownych wzruszeń, a także bezsennych albo zarwanych nocy.

Zdjął go sen. Spał długo i przebudził się całkiem skostniały. Poczował, że mu źle jakoś. A wtedy ogarnął go jakiś głuchy niepokój, że może zachorować i umrzeć w tej drodze, i być porzuconym tu, na tej rozpaczliwie smutnej równinie, gdzie jego ciało byłoby poszarpane przez drapieżne ptaki albo rozwleczone przez psy, jak to się działo na jego oczach z ciałami krów i koni, porzuconymi na przydrożu, od których odwracał oczy ze wstrętem. Otóż z tym uczuciem niedomagania, pośród posępnego milczenia natury, jego myśli stały się znów ponure i pełne złych przeczuć.

Czyż to takie pewne, że znajdzie matkę w Kordowie? A jeśli jej tam wcale nie było? Jeśli pan z ulicy Los Artes pomylił się co do niej? A jeśli też... jeśli już nie żyje?...

Tak myśląc, znów zasnął i śnił, że jest już w Kordowie, że jest noc, on idzie ulicą, a ze wszystkich drzwi, ze wszystkich okien krzyk słyszy: „Nie ma jej! Nie ma! Nie ma!”.

Zbudził się nagle strasznie zmarznięty i zobaczył w głębi wagonu jakichś trzech brodaczy, otulonych w kolorowe szale, którzy, z cicha ze sobą gwarząc, patrzyli na niego.

Jakiś błysk podejrzania go przeniknął. Kto wie, czy nie są to zbroje, którzy chcą go zamordować i ukraść mu torbę? Ogarnęła go więc trwoga, której dreszcz równie był przykry jak dreszcz zimna, a wyobraźnia jego podniecona zaczęła snuć coraz to bardziej przerażające widziadła.

Tymczasem trzej podróżni patrzyli wciąż na niego, a jeden z nich podniósł się i ruszył w jego stronę. Wtedy chłopiec stracił głowę i biegnąc do owego człowieka z otwartymi ramionami, krzyknął:

- Nie mam nic! Jestem biedny! Jadę z Włoch szukać mojej matki! Jestem sam, bezbronny, nie czyńcie mi nic złego!

Podróżni pojęli tę trwożną wiadomość biednego chłopca, uzalili się i uspokoiли go, mówiąc do niego językiem, którego nie rozumiał, a widząc, że szczerka zębami, owinęli go jednym z swoich trzech szalów i namówili, żeby się przytulił w kątku i zasnął, a oni go na czas obudzą.

Marek zasnął, gdy mrok już zapadał. Kiedy go obudzili, był w Kordowie.

Ach, jakże głęboko odetchnął, z jakim pośpiechem wyskoczył z wagonu! Zaraz na stacji zapytał jednego z urzędników, gdzie jest dom inżyniera Mequineza. Urzędnik wymienił nazwę kościoła, obok którego znajdował się dom. Chłopiec pobiegł, ledwo zdążywszy powiedzieć „dziękuję”.

Była noc. Wszedł do miasta. I zdawało mu się, że znowu powrócił do Rosario, bo i tutaj były tak samo proste i tak samo nieskończenie długie, pocięte prostymi przecznicami ulice, przy których stały niskie, białe domy. Były one jednak dość puste, a kiedy w świetle rzadko stojących latarni zaglądał w twarze nielicznych przechodniów, wydały mu się one dziwne i w rysach, i w kolorze, ni to czarnym, ni to oliwkowym.

Podniósł oczy i zaczął szukać wzrokiem kościołów. Ujrzał ich kilka, rysujących się w ciemnościach nocy ciężkimi, dziwacznymi kształtami.

Miasto było ciemne i milczące, ale po przebyciu tej śmiertelnie ponurej i nieskończenie monotonnej równiny wydało mu się prawie wesołe. Spotkał księdza, zapytał o kościół, znalazł go niebawem, a także dom obok. Drżącą ręką pociągnął za dzwonek, a drugą przycisnął z całej siły do piersi, żeby powstrzymać gwałtowne bicie serca, które aż go dusiło w gardle.

Na odgłos dzwonka wyszła otworzyć jakaś stara kobieta ze światłem. Ale chłopiec nie mógł przemówić.

- Do kogo to? - zapytała po hiszpańsku stara.

- Do inżyniera Mequineza - odrzekł wreszcie Marek.

Stara zrobiła taki ruch, jakby chciała ręce skrzyżować na piersi, i kiwając głową, rzekła:

- Jeszcze i ty?... Jeszcze do inżyniera Mequineza? Zdaje się, że byłby już czas raz z tym skończyć! Trzy miesiące, jak go nie ma, a ci go wciąż szukają!... Nie dosyć, żeśmy dali ogłoszenie do gazet? Jeszcze może na rogach ulic mamy drukować, że pan inżynier Mequinez wyprowadził się do Tucuman!

Markowi opadły ręce, lecz zaraz chwycił go nagły gniew rozpaczy.

- Cóż to? - zawołał. - Przekleństwo jakie czy co?... Mam umrzeć tak na ulicy, na drodze, nie znalazłszy mojej matki? Ja oszaleję!... Ja się zabiję! Boże, Boże! Jak się nazywa ten kraj?... Gdzie jest? Daleko stąd?

- Czy daleko, mój biedny chłopcze? Bagatela... Jakieś czterysta czy pięćset mil, lekko licząc...

Marek zakrył twarz rękami. Gniew jego rozplątał się w dziecięcych łzach bezsilności. Płakał i powtarzał z cicha:

- Co ja zrobię?... Co ja zrobię? Co ja teraz zrobię?

- A skądże ja mogę wiedzieć, mój biedaku! - odpowiedziała kobieta. - Ja też nie wiem!

Ale nagle przyszła jej do głowy jakaś myśl, więc rzekła spieszenie:

- Słuchaj, chłopcze! Spróbuj jeszcze! Idź na prawo w ulicę, za trzecią bramą znajdziesz duży dziedziniec. Tam mieszka capataz, taki kupiec, wiesz?... On jedzie jutro do Tucuman ze swoimi wozami i wołami. Spróbuj, poproś... Może by cię zabrał za posługę w drodze. Może by ci się dał przysiąść na który wóz... Tylko się śpiesz... Leć!...

Chłopak podziękował, chwycił torbę i pognął we wskazanym kierunku. W dwie minuty był na obszernym dziedzińcu, oświetlonym latarniami, gdzie kilku ludzi pakowało worki pszenicy na ogromne wozy, podobne do ruchomych domów, w których miesz-

kają i podróżują cyrkowcy. Wozy miały półokrągłe dachy i nadzwyczaj wysokie koła. Robotą zarządzał wysoki, barczysty mężczyzna, owinięty obszernym płaszczem w biało-czarną kratę, w wysokich butach z cholewami. Marek podszedł do niego i nieśmiałym głosem przedstawił mu swoją prośbę, tłumacząc, że przybył z Włoch w poszukiwaniu matki. Capataz, co znaczy tyleż prawie w tych wyprawach lądowych, co kapitan w wyprawach morskich, obrzucił go bystrym okiem od stóp do głowy i rzekł krótko:

- Nie ma miejsca.

- Panie - rzekł chłopiec błagalnym głosem - ja mam piętnaście lirów... Ja panu dam te piętnaście lirów... Za drogę będę pracował, służył... Będę nosił wodę, paszę dla bydła... Będę wszystko robił, co pan każe. Niech mi pan pozwoli się przysiąść na którym wozie... Ja nie jestem ciężki...

Capataz popatrzył znowu, tym razem nieco przyjaźniej.

- Nie ma miejsca! A poza tym, widzisz, my nie jedziemy do Tucuman. Jedziemy do innego miasta, do Santiago dell'Estero. Więc musielibyśmy puścić cię stamtąd samego, a to jeszcze duży kawał drogi. Musiałbyś iść pieszo.

- Pójdę, panie. Jeszcze dwa razy taki kawał pójdę! Ja dobrze chodzę. Czy tak, czy owak, już ja się tam dostanę... Niech mnie pan tylko weźmie na wóz. Niech mnie pan zabierze! Malutki kącik jaki, proszę pana! Ja się skurczę... Niech się pan zmiłuje nade mną! Niech mnie pan nie zostawia tutaj samego!

- Ale, chłopcze! To jest dwadzieścia dni drogi stąd.

- Niech będzie! Nie szkodzi!

- I to jest ciężka podróż!

- Już ja wytrzymam, proszę pana! Jestem mocny!

- I pamiętaj, że będziesz musiał potem sam iść.

- Pójdę, panie! Ja się niczego nie boję. Żebym tylko matkę znalazł! Niech się pan ulituje nade mną!

Capataz zbliżył mu do twarzy trzymaną w ręku latarnię i przez chwilę patrzył. Po czym rzekł:

- Dobrze.

Chłopiec pocałował go w rękę.

- Prześpisz się na wozie. Jutro o czwartej rano cię obudzę. Buenos noches... - dodał po hiszpańsku, co znaczy: „dobranoc”.

O czwartej rano, przy świetle gwiazd, długi rząd ładownych wozów ruszył z wielkim łoskotem i brzękiem łańcuchów, każdy wóz ciągniony przez zaprzęg dwóch wołów, a za każdym wozem uwiązane dwie jeszcze pary na zmianę.

Chłopiec, zbudzony i umieszczony w jednym z wozów na stosie worków, znowu zasnął.

Kiedy się obudził, cały konwój wypoczywał w ustronnym, słonecznym miejscu, a ludzie należący do wyprawy, zwani „los peones”, siedzieli na ziemi wokoło dopiekającej się ćwierci cielęciny, nadzianej na rożen oparty na koziołkach przy dużym ognisku, które podsycał wiatr.

Gdy pieczeń była gotowa, zjedli ją wszyscy razem, przespali się i ruszyli dalej. I tak szła ta podróż równym trybem, regularnie jak pochód żołnierzy. Każdego rana ruszali o piątej, zatrzymywali się o dziesiątej, znów wyruszali o piątej po południu, a o dziesiątej stawali na nocleg.

Peoni jechali konno i poganiali woły długimi prętami. Chłopiec rozpałał ognisko, dawał jeść bydłu, czyścił latarnie, przynosił wodę do picia.

Kraj, który przebywali, wydawał mu się niewyraźną jakąś wizją: były tu obszerne zarośla drobnych drzew, prawie że brunatnych, osady o niewielu rozrzuconych domach, których fronty były ząbkowane i malowane na czerwono, olbrzymie przestrzenie, może pradawne łożyska wielkich słonych jezior, bielejące solą, jak tylko okiem sięgnąć, a wszędzie równina, pustka i milczenie.

Niezmiernie rzadko spotykali dwóch, trzech konno jadących podróżnych z uwiązanymi zapasowymi końmi, którzy przelatywali jak wichher galopem, i znów wielka pustka i głęboka cisza. Dnie były tak jednostajne, jak na pełnym morzu, znojne, nudne, nieskończenie długie.

Ale pogoda była prześliczna.

Jednak peoni z każdym dniem stawali się bardziej wymagający, zupełnie tak, jakby chłopiec był ich płatnym służącym, niektórzy traktowali go brutalnie, a wszyscy żądali ciągłych posług, bez żadnych względów. Kazali mu dźwigać ogromne brzemiona paszy, posyłali go po wodę w bardzo odległe miejsca, a on złamany tą ciężką pracą w dzień, nie mógł się nawet dobrze wyspać budzony nocą rykiem bydła, rżeniem koni, ujadaniem wielkich psów, które mieli z sobą, a rankiem wstrząsany nieustannie podskakującym ruchem wozów, skrzypieniem kół i brzękiem żelastwa. W dodatku, niech tylko wiatr się zerwał, a zrywał się często, czerwony, tłusty pył pokrywał wszystko, dostawał się do wozu, przenikał pod ubranie, napełniał mu usta i oczy, tamując oddech, przeszkadzając patrzeć, uporczywy, natrętny, nieznośny.

Zmęczony ciężką pracą i brakiem snu, obdarty i brudny, poniewierany od rana do nocy, biedny chłopiec z dnia na dzień coraz bardziej marniał i byłby zupełnie upadł na duchu, gdyby capataz nie przemówił do niego od czasu do czasu życzliwie. Często też skulony w kącie wozu, niewidziany przez nikogo, płakał gorzko – oparłszy twarz o swoją torbę, w której już nic nie było, prócz garści łachmanów. Co rano wstawał słabszy, bardziej zniechęcony, a patrząc na tę nieskończoną, bezlitosną równinę, zupełnie jak ocean ziem pustych i milczących, myślał sobie:

„Ach, tego wieczora to już nie doczekam. Już dzisiaj z pewnością wyzionę ducha!”

Tymczasem roboty wciąż przybywało, a dokuczliwe traktowanie stawało się coraz cięższe.

Pewnego ranka, ponieważ nie zdążył przynieść na czas wody, pod nieobecność capataza, jeden z peonów uderzył go i odtąd w zwyczaj weszło, że wszyscy wraz z rozkazem jakimś dawali mu szturchańca, mówiąc:

- Weź to do torby, włóczęgo! Weź dla matki!

A jemu serce pękało. Znosił to, ale nie mógł znieść i zachorował.

Trzy dni leżał w wozie, okryty kołdrą, szczękając zębami w okrutnej febrze i nie widując nikogo prócz capataza, który przynosił

mu pić i liczył jego puls. Uznał więc, że już umiera, i z rozpaczą wzywał matki:

– O mamó! Droga mamó! Ratuj mnie! Przyjdź, zanim umrę, że-
bym cię pożegnał!

O mamó, czy ja cię już nigdy nie zobaczę? Czy mnie, mamó,
umarłego znajdziesz na tej drodze?

I składał ręce, i tulił je do piersi, i modlił się żarliwie, gorąco.

Aż w końcu dzięki staraniom poczciwego capataza ozdrowiał
jakoś i poczuł się lepiej. Ale właśnie wtedy nadszedł najgorszy dla
niego dzień; dzień, w którym miał zostać sam.

Dwa tygodnie byli już w drodze.

Kiedy więc dotarli do tego rozstaju, gdzie od drogi idącej ku
Tucuman odchodzi droga idąca do Santiago dell’Estero, capataz
oznajmił chłopcu, że tu się rozstaną. Dał mu kilka wskazówek co
do dalszej podróży, założył mu torbę na plecy tak, żeby mu było
łatwiej iść, i jak gdyby obawiał się własnego rozczulenia, krótko
się z nim pożegnał, tak że chłopak ledwie miał czas pocałować go
w rękę. Ale i peoni, którzy mu tyle nadokuczali, zdaje się poczu-
li litość, widząc go tak samego, stojącego bezradnie na drodze,
gdyż oddalając się, pożegnali go przyjaznym ruchem ręki. A on
oddawszy im z serca pożegnanie, stał i patrzył, póki cała wypra-
wa nie zniknęła mu w chmurze czerwonego pyłu, po czym wes-
tchnął i puścił się w drogę.

*

Jedna rzecz wszakże dodała mu ducha zaraz na wstępie. Oto
po tak długiej podróży przez nieskończoną, śmiertelnie jednostaj-
ną równinę, spostrzegł wznoszące się na dalekim widnokręgu wy-
sokie, lazurowe góry z białymi szczytami, które przypomniały mu
Alpy i dawały złudzenie czegoś swojskiego, czegoś, co go zbliżało
do oddalonej ojczyzny. Były to Andy, skalisty grzbiet amerykań-
skiego lądu, olbrzymi łańcuch, ciągnący się od Ziemi Ognistej do
morza podbiegunowych lądów, na przestrzeni stu dziesięciu stop-
ni szerokości geograficznej.

A i to go orzeźwiło, że powiew wiatru stawał się coraz cieplejszy, wprost jakby ogrzane powietrze biegło mu naprzeciw. I nie dziw; gdyż droga jego, wiodąca teraz ku północy, zbliżała go powoli ku strefom zwrotnikowym.

Uszedł już kawał, kiedy spotkał nareszcie grupę małych domków z dość nędznym kramem, do którego wstąpił, żeby kupić coś do jedzenia, był bowiem porządnie głodny. Posiliwszy się nieco, szedł dalej. Droga nie była pusta. Spotykał mężczyzn jadących konno, widział kobiety i dzieci siedzące na trawie, nieruchome, poważne, z osobliwymi twarzami koloru ziemi, o mocno wystających kościach policzkowych i podłużnych oczach, które wpatrywały się w niego uparcie i przeprowadzały go spojrzeniem, powoli obracając głowy zupełnie jak automaty. Byli to Indianie.

Pierwszego dnia Marek szedł, póki mu starczyło sił, noc zaś przespał pod drzewem. Drugiego uszedł trochę mniej i z większym wysiłkiem. Buty miał dziurawe, nogi poobijane, i nie czuł się dobrze po marnym posiłku. Pod wieczór ogarnął go strach. Przypomniał sobie, że we Włoszech mówiono, jakoby w krajach tych były jadowite węże. Zaraz też wydało mu się, że słyszy w trawach jakieś podejrzane szelesty. Zatrzymywał się, słuchał, potem szedł znowu, ale wstrząsał nim dreszcz strachu. To znów ogarniała go taka litość nad sobą, że idąc, płakał w milczeniu. Zaraz jednak otrząsał się z tego: „Ach – myślał – jak by się mama o mnie martwiła, gdyby wiedziała, że ja się tak boję!”. To przywracało mu odwagę. Więc czepiał się myśli o matce jak deski ratunku. Przypominał sobie jej drogą twarz, jej głos, jej słowa, którymi go żegnała, opuszczając Genuę... to znów przypominał sobie, jak mu poprawiała kołdrę i poduszkę w łóżeczku, kiedy był mały, jak go brała na kolana, mówiąc: „Posiedź trochę u mnie!” – i oparłszy głowę, długo tak nieraz siedziała zamyślona, zadumana... Wspomnienia te dodawały mu otuchy:

„Przecież ja cię znów, droga mamo, zobaczę! Przecież ja dojdę kiedyś do końca tej drogi, prawda, mamo?”...

I szedł, szedł, pośród nieznanych drzew, pośród wielkich plantacji trzciny cukrowej, przez ogromne stopy trawiaste, zawsze w stro-

nę lazurów gór, które ośnieżonymi wierzchołkami przecinały niebo. Tak przeszły cztery dni, pięć dni, przeszedł cały tydzień.

Sił chłopcu ubywało, stopy miał pokaleczone. Aż pewnego dnia o zachodzie słońca zapytany przechodzień odpowiedział mu:

- Tucuman? Pięć mil jeszcze będzie stąd do Tucuman.

Marek wydał okrzyk radości i przyspieszył kroku, jakby cudem odzyskał utracone siły. Ale było to złudne podniecenie. Za chwilę pociemniało mu w oczach, siły go opuściły i padł nad brzegiem przydrożnego rowu.

Serce jednak uderzało mu w piersi radośnie! Niebo, iskrzące promiennymi gwiazdami, nigdy jeszcze nie wydawało mu się tak piękne. Patrzył w nie, wyciągnięty na trawie i do snu się zbierając, myślał, że może matka w tej samej chwili też na te gwiazdy patrzy. I mówił: „Gdzie jesteś, mamó droga! Co teraz robisz? Czy myślisz o swoim Marku, który jest już tak blisko ciebie?”

*

Biedny Marek! Gdyby wiedział, w jakim stanie jest w tej chwili jego matka, byłby zrobił nadludzki wysiłek, żeby tylko być przy niej parę godzin wcześniej. Była chora, leżała w łóżku, w pokoiku na parterze pięknej willi, zamieszkiwanej przez rodzinę inżyniera Mequineza, która dobrą kobietę serdecznie lubiła i opiekowała się nią najtroskliwiej.

Biedna kobieta czuła się już niezbyt dobrze, kiedy inżynierowi Mequinezowi wypadło niespodzianie opuścić Buenos Aires, szybko jednak wyborny klimat Kordowy przywrócił jej siły.

Ale kiedy na listy pisane do męża i do owego krewniaka nie otrzymywała żadnej odpowiedzi, przecucie jakiegoś nieszczęścia, ciągła obawa, w której żyła z dnia na dzień, pozbawiona wszelkich wieści o dzieciach, o domu, wahanie, czy jechać, czy zostać, szalony niepokój odbierający jej sen w nocy i możliwość posiłku we dnie – wszystko to pogorszyło stan jej zdrowia w bardzo poważny sposób. W końcu rozwinęła się groźna choroba, ostre, wewnętrzne zapalenie, które ją od piętnastu dni trzymało

pomiędzy życiem a śmiercią. Żeby ocalić życie, trzeba było zdecydować się na operację. I właśnie w chwili, kiedy Marek przyzywał matkę, państwo Mequinez stali oboje przy jej łóżku, tłumacząc łagodnie, dlaczego operacja jest konieczna, jednak ona z płaczem odmawiała.

Wzięty lekarz z Tucuman już w zeszłym tygodniu przekonywał ją bez powodzenia.

– Nie, drodzy państwo! – mówiła słabym głosem chora. – Nie liczcie już na to! Ja już na to za słaba... umarłabym pod nożem doktora... To już wolę tak umierać. Co mi po życiu. Dla mnie się już wszystko skończyło. Lepiej mi nawet umrzeć, niż się dowiedzieć, co się tam z moimi biedakami stało!...

Państwo perswadowali: Przecież trzeba mieć trochę odwagi! Trochę ufności!

Że gdyby pisała wprost do Genui, a nie przez krewnego, byłaby już dawno miała wiadomość od rodziny. Że nie może lekceważyć zdrowia, że musi poddać się operacji, jeśli nie dla siebie, to dla swoich dzieci. Ale słowo „dzieci” powiększało tylko jej wielką boleść i rozpaczliwą tęsknotę, która ją od tak dawna przygnębiała.

– Ach, moje dzieci! Moje dzieci! – wołała, składając wychudzone ręce. – Może już was nie ma na świecie! Więc i ja lepiej z niego odejdę! Dziękuję wam, dobrzy państwo! Z serca wam dziękuję, ale wolę umrzeć raz, niż co dzień umierać z żalu! Ja i z tą operacją nie będę już zdrowa! Wiem, że nie będę! Dziękuję za wszystkie koszty i starania. Niech już ten doktor nie przyjeżdża tu pojutrze, jak mówił! Ja już chcę tak umrzeć. Już tak widać przeznaczone, niech będzie, co ma być!

Ale państwo Mequinez nie ustępowali:

– Na Boga! Proszę tak nie mówić. Tak nie można! I brali jej rękę w swoje dłonie i prosili, i pocieszali, jak mogli. Ale chora zamknęła oczy i zapadła w śpiączkę, która przypominała śmierć.

Pani i pan Maquinez przy świetle małej lampki patrzyli ze współczuciem na tę bohaterską matkę, która dla ratowania rodzi-

ny umierała tak daleko od swojej ojczyzny, po tylu trudach, po tylu cierpieniach, taka zacna, taka dobra, i taka nieszczęśliwa.

*

Następnego dnia wczesnym rankiem, ze swoją torbą na plecach, zgarbiony i kulejący, ale pełen otuchy w sercu, wchodził Marek do Tucuman, jednego z najmłodszych i najbardziej kwitnących miast Argentyny. Zaraz przypomniały się chłopcu jak żywe: Buenos Aires, Rosario i Kordowa, gdyż tu również były takie same proste, niezmiernie długie ulice i takie same, z obu ich stron, białe, niskie domy. Tylko że gdzie spojrział, widział wspaniałą i świeżą roślinność, niebo głębokie, przeczyste, tak nieskazitelnie szafirowe, jakiego nigdy, nigdzie i nawet we Włoszech nie oglądał; powietrze zaś, którym oddychał, miało precudny zapach kwiatów. Idąc spieszenie przez ulice, czuł to samo gorączkowe wzruszenie, jakiego doznał w Buenos Aires. Drżał cały jakimś dziwnym wewnętrznym dreszczem, przyglądając się oknom i drzwiom domów i obrzucając badawczym spojrzeniem przechodzące niewiasty z jakąś trwożną nadzieją, że ujrzy swą matkę. Chciałby wszystkich o nią pytać, ale nie śmiał zatrzymać nikogo. Ci jednak, którzy go spotykali, zatrzymywali się na progach domów, patrząc na biednego, obdartego, pokrytego kurzem chłopca, po którym znać było, że idzie z bardzo daleka...

A on tymczasem wyglądał twarzy, która by go ośmieliła do zadania pytań, kiedy wpadł mu w oczy szyld jakiegoś sklepu z włoskim nazwiskiem właściciela. W sklepie spostrzegł mężczyznę w okularach i dwie kobiety. Zbliżył się z wolna do drzwi i zebrał całą odwagę, zapytał:

- Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu mieszka pan Mequinez?

- Pan inżynier Mequinez? - zapytał właściciel sklepu.

- Pan inżynier Mequinez - odpowiedział chłopiec drżącym głosem.

- Państwa Mequinez - rzekł właściciel sklepu - nie ma w Tucuman.

Krzyk rozpaczliwego bólu, jak gdyby wyszedł z piersi przebitej nożem, był echem jego słów. Zerwał się kupiec, zerwały się kobiety, kilku przechodniów stanęło na trotuarze, przybiegło kilku sąsiadów.

– Co się stało? Co ci jest, chłopcze? – pytał wystraszony kupiec, prowadząc Marka do sklepu i sadzając go na krześle. – Na Boga, nie ma co desperować! Państwa Mequinez tu nie ma, ale są niedaleko, o kilka godzin od Tucuman...

– Gdzie? Gdzie są? – zakrzyknął Marek i zerwał się z krzesła jak gdyby wskrzeszony.

– Będzie z piętnaście mil stąd – rzekł kupiec. – Na brzegu Saladilli, w tym miejscu, gdzie budują wielką cukrownię i przy niej osadę. Tam teraz mieszka pan inżynier, wszyscy o tym wiedzą, a byłeś dobrze nogi wyciągał, będziesz tam w kilka godzin.

– Byłem tam miesiąc temu – rzekł jakiś młodzian, który przybiegł, słysząc krzyk, do sklepu.

Marek spojrzał na niego wystraszonym wzrokiem i błędąc, zapytał:

– Czy pan tam widział służącą państwa Mequinez, Włoszkę?

– Genuenkę? Widziałem.

Marek wybuchnął konwulsyjnym łkaniem, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

I zaraz poderwał się:

– Jak tam się idzie? Prędko! Jaka drogą? Na miłość boską! Prędko! Zaraz muszę biec... Pokażcie mi drogę!...

– Ale tam cały dzień trzeba iść! – mówili wszyscy razem. – Jesteś zmęczony... Musisz odpocząć do jutra. Jutro z rana pójdiesz...

– Nie mogę! Nie mogę! – wołał chłopiec. – Powiedzcie mi tylko gdzie. Pokażcie! Ani chwili nie mogę czekać. Idę zaraz, choćbym miał paść... Pokażcie mi drogę!

Widząc, że jest tak zdecydowany, nikt się już nie sprzeciwił biednemu chłopcu.

– Niechże cię Bóg prowadzi! – mówili.

– A pilnuj się w drodze przez las. Szczęśliwej drogi, mały Włochu!

Młodzieniec wyprowadził go z miasta, pokazał gościniec, udzielił kilku objaśnień i patrzył za nim, kiedy chłopiec ruszył. Po kilku chwilach mały wędrowiec, kulejący, z torbą na plecach, zniknął mu z oczu za drzewami rosnącymi po obu stronach ulicy.

*

Noc, która zapadła po tym dniu, była okropna dla chorej. Biedna kobieta cierpiała straszliwe bóle, które wydzierały z jej ust nieprzytomne jęki i wprawiały ją chwilami w jakiś szal. Osoby czuwające przy niej traciły głowę. Pani przybiegała przerażona, od czasu do czasu daremnie szukając, czym by jej ulżyć w męce. Wszyscy zaczęli się obawiać, że nawet gdyby chora zdecydowała się na operację, lekarz, który miał przybyć z Tucuman nazajutrz rano, mógłby już przybyć za późno.

Jednak w chwilach kiedy kobieta odzyskiwała przytomność, można było poznać, że najcięższym jej cierpieniem była nie męka ciała, lecz męka duszy, myśl rozpaczliwa o dalekiej, utraconej rodzinie. Błada, wycieńczona, z twarzą zmienioną, chwytiała się za włosy z rozpaczą, która przenikała serca.

- Boże mój! Boże mój! Umierać tak daleko! Umierać i nie widzieć nikogo! O dzieci moje, moje sieroty! O Marku mój! Takie małe, takie dobre, takie kochające dziecko! Nie wiecie wy, ludzie, nikt nie wie, co to za kochające było dziecko! Od szyi go sobie nie mogłam oderwać, kiedym odjeżdżała, tak płakał!...

Oj, wiedziałeś ty, wiedziałeś, sieroto, że matki nie zobaczysz więcej! Że też trupem wtedy nie padłam! Że się wtedy Pan Bóg nie zmiłował i śmierci mi nie dał! Bez matki... Takie dziecko... Takie serdeczne... Takie kochające... w sieroctwie... w nędzy zmarnieje, na żebry pójdzie... Nie! Nie! Nie chcę umierać! Doktora! Wołajcie prędko doktora. Niech idzie, niech się śpieszy, niech mnie kroi, niech ja zwariuję, ale niech mnie ocali! Chcę żyć, chcę być zdrowa, chcę za morze jechać, zaraz chcę wracać do swoich... do dzieci... Ratujcie!... Ratujcie...

I wpadła w straszny szal rozpacz. Pilnujące kobiety chwytają ją za ręce, trzeźwiły, uspokajały, mówiły jej o Bogu, o ufności, aż z wolna, z wolna przychodziła do siebie, zapadając w śmiertelne

przygnębienie lub płacząc jak dziecko. A z piersi jej, razem z tym płaczem, dobywały się ciche jęki i westchnienia:

– O Genuo! O miasto moje... O mój domu... O mój Marku! Gdzie jesteś, ty drogie, kochane dziecko!

*

Była północ. Marek, wypocząwszy parę godzin na trawie, zaczął iść przez ogromny las, przez puszcę zarosłą olbrzymimi drzewami, potworną roślinnością, pniami podobnymi do kolumn w katedrze, które na niezmiernej wysokości spletały swe korony wysrebrzone księżycowym światłem. W półmroku gęstwiny i miesięcznej poświaty widział zastępujące mu drogę drzewa najróżniejszych kształtów, prostych, pochyłych, pokręconych, pokrzyżowanych, spletanych ze sobą jak gdyby w najdziwniejszych ruchach: walki, przyczajenia, groźby.

Niektóre pnie, leżące na ziemi jak powalone bramy, pokryte były bujną roślinnością, która zdawała się tłumem walczącym zażarcie o każdy centymetr gruntu. Inne, ściśnięte i prostopadłe, zebrane w wielkie grupy, wyglądały jak drzewce ogromnych lanc, których ostrze przebijało chmury. Widoczna tu była jakaś pycha wielkości, jakiś cudowny zamęt olbrzymich kształtów, jakiś straszliwy i majestatyczny widok, na jaki natura rzadko się zdobywa w swym wielkim roślinnym państwie. Marek zatrzymywał się niekiedy w podziwieniu i osłupieniu, ale zaraz dusza jego wyrывała się znowu ku matce. Szedł więc dalej, choć omdlewał ze znużenia, a stopy mu krwawiły. Szedł sam, przez tę straszną puszcę, gdzie tylko z rzadka spotykał nędzne, podobne do mrowisk siedziby ludzkie, przytulone do tych olbrzymich pni, i stada bawołów uśpione przy drodze. Omdlewał, a nie czuł zmęczenia; sam był, a nie czuł trwogi. Królewska potęga natury podniosła go na duchu. Bliskość matki dodawała mu siłę i wzmacniała wytrwałość, a wspomnienie oceanu, lęków i zawodów, boleści przecierpianych i zwyciężonych, trudów podjętych i prac wykonanych, i poczucie żelaznej i niezłomnej woli podnosiło wysoko jego czoło! Cała jego szlachetna genueńska krew przelewała mu się w sercu gorącą falą wielkodusznego męstwa.

I zaszła w nim jedna jeszcze zdumiewająca zmiana. Obraz matki, który nosił w sercu i w myśli aż dotąd, obraz zamierzchły i wyblakły przez te dwa lata jej nieobecności, rozjaśnił mu się jakimś wielkim światłem wśród tych majestatycznych widoków natury. Ujrzał tę drogą twarz tak jasną i tak czystą, jak gdyby patrzył na nią własnymi oczyma, ujrzał ją blisko siebie, mówiącą, wzruszoną, rozróżniał każdy ruch jej oczu, jej ust, każdy gest jej ręki, każdy cień zamyślenia. I popchnięty wspomnieniami, które stawały mu się niemal jawą, przyspieszał i przyspieszał kroku. A serce rozpływało mu się w jakimś nowym, stokroć mocniejszym uczuciu, w jakiejś tkliwości niezmiernej, która wzbierała i wzbierała, aż poczuł płynące po twarzy łzy. I idąc tak coraz dalej, mówił do niej słowa gorące, jakie za niedługi czas miał jej powtórzyć przy powitaniu.

„Oto jestem, mamu ukochana! Jestem przy tobie! Nigdy cię już nie opuszczę, nie zostawię cię samej. Razem powrócimy do domu! Na okręcie będę stał ciągle blisko przy tobie, przez całe morze. Nikt nie oderwie mnie od ciebie. Nikt, nigdy, aż do końca mojego życia”.

Nawet nie zauważył, że ponad wierzchołkami drzew-olbrzymów srebrzysty blask księżycy zaczął gasnąć rozpraszany światłem wschodzącej jutrzenki.

*

O ósmej rano lekarz z Tucuman, młody Argentyńczyk, stał przy łożu chorej w towarzystwie asystenta i wyjaśniał po raz ostatni konieczność operacji. Pan Mequinez i jego żona przyłączyli się w gorących słowach do rad lekarza. Wszystko jednak na nic.

Kobieta, czując się zupełnie bez sił, nie wierzyła już w operację. Była pewna, że albo umrze w czasie jej trwania, albo przeżyje ją o kilka godzin, po wycierpieniu mąk stokroć gorszych niż te, które miały spowodować naturalną śmierć.

– Ależ operacja z pewnością się uda. Pani wyzdrowienie jest murowane. Odwagi, trochę odwagi! Bo i śmierć pani jest równie pewna, jeśli pani odmówi.

Ale słowa, którymi lekarz starał się ją przekonać, były jak rzucone na wiatr.

- Nie! - mówiła słabym głosem. - Ja się nie boję śmierci, ale nie mam odwagi cierpieć bezużytecznie. Dziękuję panu bardzo, panie doktorze. Pan jest taki dobry, ale to już przesądzone. Dajcie mi umrzeć spokojnie!

Lekarz, zniechęcony, ustąpił. Nikt już o tym nie mówił więcej. Wtedy chora zwróciwszy twarz ku swojej pani, polecała jej ostatnie prośby:

- Droga, dobra moja pani - mówiła z wielkim trudem. - Proszę posłać mojej rodzinie przez pana konsula te trochę pieniędzy i te moje ubrania. Ufam, że jeszcze żyją. Serce mi to mówi w tych ostatnich chwilach. I niechże mi pani, moja dobra, tę łaskę uczyni i napisze im, że o nich zawsze myślałam, że dla nich zawsze pracowałam, dla moich dzieci, i że najbardziej ze wszystkiego mnie bolało, że ich już zobaczyć nie mogłam.

I to, że umierałam odważnie, zdana na Boga miłosiernego i błogosławiąca dzieciom... I że polecam mężowi i starszemu synowi mego najmłodszego, mego biednego Marka, którego miałam w sercu do ostatniego tchnienia.

A wtem, w nagłym uniesieniu i składając ręce, zawołała:

- Marek mój! Dziecko moje! Życie moje!

Ale spojrzawszy dokoła pełnymi łez oczyma, spostrzegła, że pani już nie ma. Ktoś przyszedł i odwołał ją nagle. Obejrzała się więc za panem, ale i jego nie było. Przy jej łóżku stał tylko asystent i dwie służące. Ale w pokoju obok słychać było przyspieszone kroki, odgłos prędkich rozmów i powstrzymywane okrzyki. Chora utkwiała w drzwiach gasnące oczy i czekała.

Po kilku minutach wszedł lekarz z twarzą zmienioną, za lekarzem pan i pani, także silnie wzruszeni. Wszyscy troje patrzyli na chorą wzrokiem dziwnym i zamieniali ze sobą słowa cichym głosem. Chorej zdawało się, że lekarz mówi do pani:

- Lepiej zaraz!

Nie rozumiała tego.

- Józefino - przemówiła pani drżącym głosem - mam dla ciebie dobrą wiadomość! Przygotuj się w sercu na dobrą nowinę!

Kobieta patrzyła bacznie na mówiącą.

- Na taką nowinę - mówiła pani coraz bardziej wzruszona - która ci sprawi wielką, wielką radość!...

Oczy chorej rozszerzyły się nagle.

- Przygotuj się na to, że zobaczysz kogoś... pewną osobę... którą bardzo kochasz.

Kobieta silnym ruchem podniosła głowę i zaczęła patrzeć płonącymi oczyma to na panią, to na drzwi...

- Osobę - mówiła pani, blednąc, jakby sama miała zaraz zemdleć - która tylko co... przybyła... niespodziewanie.

- Kto przyjechał?! - zawołała kobieta głosem zduszonym, nieswoim, głosem przerażonego człowieka. I nagle porwawszy się z pościeli z przenikliwym krzykiem, siadła nieruchoma, z oczyma szeroko otwartymi, z rękami podniesionymi do skroni, jakby wobec jakiegoś widma. W progu, obdarty i okryty kurzem stał Marek, podtrzymywany ramieniem przez lekarza.

Chora wydała okrzyk szaleństwa:

- Boże! Boże! Boże mój!...

Rzucił się do niej Marek. Chora wyciągnęła wychudłe ramiona i cisnąc jego głowę do swej piersi z konwulsyjną siłą, wybuchnęła gwałtownym śmiechem, przerywanym jakimś suchym, pozbawionym łez łkaniem, które powaliło ją na pościel jak martwą.

Ale natychmiast zerwała się i szalona ze szczęścia pokrywała głowę syna pocałunkami.

- Jesteś?... Skąd?... Jak?... Czy to ty? Jak urosłeś! Boże!. Jak się tu dostałeś? Kto cię przyprowadził? Sam jesteś? Czyś nie chory? Czy to ty, Marku? Czy mi się tylko tak śni! Boże... Boże mój! Przemów! Mów do mnie!

I nagle zmieniając ton, głosu:

- Nie! Nie mów nic! Nic... Czeka! - Zwróciła się do doktora gwałtownie: - Prędko! Prędko, doktorze! Chcę być zdrowa! Mu-

sze być zdrowa! Jestem gotowa. Niech pan nie traci ani chwili. Zabierzcie Marka... Niech Marek nie słyszy...

I słodko do syna:

- Nic, Marku! Nic, dziecko! Mają mi coś powiedzieć. Ucałuj matkę. Idź! Doktorze, już... już...

Wyprowadzono chłopca.

Państwo Mequinez, służące, wszyscy wyszli pośpiesznie. Został chirurg i asystent, który zamknął za nimi drzwi.

Pan Mequinez próbował zabrać ze sobą Marka do oddalonego pokoju. Ale okazało się to niemożliwe. Chłopiec był jak przygwożdżony do ziemi. Patrzył obłąkanym wzrokiem, usta mu drżały, chwiał się i ledwo mógł mówić:

- Co to?... Co jest mamie? Co oni tam z mamą robią?

Pan Mequinez, wciąż próbując poprowadzić go dalej, mówił:

- Słuchaj! Twoja matka jest chora. Trzeba jej zrobić operację... Chodź, opowiem ci wszystko!

I próbował pociągnąć go za sobą.

- Nie! - zaparł się chłopiec. - Chcę być tutaj. Tu niech mi pan opowie.

Wtedy inżynier, wyjaśniając coś w beładnych słowach, zaczął go ciągnąć, a chłopiec opierał się i drżał cały.

Nagle krzyk przenikliwy, jak gdyby krzyk śmiertelnie ranionej osoby, rozległ się w całym domu.

Odpowiedział mu krzyk chłopca, jak echo bóleści:

- Moja mama umarła!

Po chwili w drzwiach stanął lekarz.

- Twoja mama jest uratowana, chłopcze!

Marek patrzył na niego przez chwilę, a potem rzucił mu się do nog z głośnym płaczem.

- Dziękuję, panie doktorze, dziękuję...

A doktor podniósł go i powiedział:

- Wstań, dziecko! To nie ja, lecz ty, mały bohaterze, uratowałeś matkę.

Marek genueńczyk jest przedostatnim małym bohaterem, z którym zapoznaliśmy się w tym roku. Jeszcze tylko jeden nam został na czerwiec. I już tylko dwa egzaminy miesięczne, i tylko dwadzieścia sześć dni lekcji, i sześć czwartków, i pięć niedziel.

Już pachnie końcem roku! Zagaściły się liście na drzewach kwitnących w ogrodzie, które pięknie nas oceniają podczas gimnastyki. Uczniowie chodzą w letnich ubraniach.

Aż miło spojrzeć przy wyjściu ze szkoły! Zupełnie inaczej niż podczas szarych zimowych miesięcy. I wszystkie te długie włosy zniknęły, chłopaki przystrzyżone jak owce. Ten chodzi bez skarpetek, ten boso, szyje gołe, czapki przeróżnego kształtu, kolorowe koszule i krawatki. A wielu też przychodzi do szkoły z gołą głową, tak jak wylecieli z domu. Niektórzy eleganci ubierają się do gimnastyki całkiem na biało. Jest też jeden chłopak z klasy panny Delcati ubrany cały na czerwono i wygląda jak gotowany rak. Kilku nosi marynarskie ubrania. Ale najpiękniejszy ze wszystkich jest Mularczyk, który chodzi w jakimś olbrzymim słomianym kapeluszu (chyba po ojcu!), w którym wygląda jak wypalona do połowy świeca z abażurem. Pęknać można ze śmiechu, jak pod tym kapeluszem robi zajęczy pyszczek. Coretti też już nie nosi swojej czapki z futerkiem, tylko starą czapkę podróżną z szarego jedwabiu. Vatini obnosi się w jakimś szkockim garniturku, Crossi ani jednego guzika nie ma przy koszuli i słońce świeci mu wprost na gołe ciało, Precossiego ledwo widać w jakiejś letniej, niebieskiej kapocie, którą po starym kowalu donasza. A Garoffi? Ponieważ musiał się rozstać ze swoją wielką peleryną, pod którą ukrywał cały swój handel, wyszły na jaw wszystkie jego wypchane przenośnym kramem kieszenie, a listy loteryjne to aż z nich wylażą. Teraz wszystko widać, co kto nosi: wachlarzyki ze starej gazety, sikawki z trzciny, strzały na wrony, różne zioła, żuczki majowe albo chrabąszcze, które wylażą z kieszeni i po kurtkach spacerują. Maluchy z zerówki zaś jeden przez drugiego przynoszą bukieciki nauczycielkom, cza-

sem z kwiatków, a czasem z byle jakiego chwastu, byle przynieść. I nauczycielki także w letnich sukniach i jasnych kolorach, oprócz „zakonnicy”, która zawsze na czarno. A ta mała nauczycielka z czerwonym piórem na kapelusiku ciągle nosi swoje czerwone pióro, ale wiąże teraz różową wstążkę na szyi. I wstążka, i pióro strasznie są wygniecione łapkami jej kochanych maluchów, z którymi zawsze ugania się i śmieje.

Nastała pora czereśni, motyli, zabaw na ulicach, wycieczek na miasto. Są u nas i tacy, co o czwartej, prosto z klasy, lecą do rzeki, żeby się wykapać!

Wszystkim już pachną wakacje! Każdego dnia wychodzimy ze szkoły prędzej, niecierpliwie i z większą radością, że znów jeden dzień minął. Smutno mi tylko patrzeć na Garronego w żałobie i na moją dawną nauczycielkę, która jest coraz mizerniejsza i coraz bardziej kaszle. Tak się pochyla, idąc i tak smutno uśmiecha się do mnie!

Poezja

26, piątek

Zaczynasz pojmuwać poezję swojej szkoły, Henryku; ale teraz widzisz szkołę tylko z wewnątrz. Znacznie piękniejsza, bardziej wzruszająca wyda ci się za jakieś trzydzieści lat, kiedy zaprowadzisz tam swoje dzieci i zobaczysz ją z zewnątrz, tak jak ją teraz widzę. Nieraz czekając na ciebie, chodzę cichymi ulicami dokoła twojej szkoły i nastawiam ucha ku zasłoniętym żaluzjami oknom. Z jednego słyszę głos nauczycielki, która mówi:

– Ach, cóż to za t?... Zmituj się, chłopcze! Co by na takie t powiedział twój ojciec?

Z drugiego okna słyszę gruby głos nauczyciela, który dyktuje z wolna:

– Kupiłem trzydzieści metrów materiału po cztery liry i pięćdziesiąt centymów za metr. Odprzedałem go zaś po...

Tam znów ta mała nauczycielka z czerwonym piórem czyta na głos:

– A wtedy Piotr Micca z zapalonym lontem...

Ale z innej klasy dolatuje mnie świergot całego stada wróbli, co znaczy, że nauczyciel wyszedł na chwilę.

Idę dalej i na zakręcie słyszę, jak jakiś uczeń płacze, a nauczycielka strofuje go i pociesza zarazem. Nagle wylatują z okna wiersze, imiona wielkich i szlachetnych ludzi, jakieś porywające nawoływania do cnoty, do miłości ojczyzny, do męstwa... A potem przychodzą chwile ciszy, kiedy zdaje się, że szkoła jest pusta, i wierzyć się nie chce, że wewnątrz jest sześciuset chłopców. Wtem wybuch hałaśliwej wesołości z powodu żarciku nauczyciela, który jest w dobrym humorze. A przechodnie zatrzymują się i słuchają, i każdy patrzy z uśmiechem na ten miły budynek, który kryje w sobie tyle młodości i tyle nadziei.

Nagle słyszę wrzawę, hałas zamykanych książek, szelest zeszytów, tupot nóg, gwar rozchodzący się z klasy do klasy, z dołu na górę, jak gdyby jakaś dobra nowina obiegała całą szkołę: a to woźny obchodzi cały budynek i dzwoni na koniec lekcji.

Wtedy tłum kobiet, mężczyzn, dziewcząt i młodych ludzi zaczyna się cisnąć ze wszystkich stron ku bramie, wypatrując synów, wnuków, braci i siostrzeńców!

Tymczasem, jakby wystrzelone z armaty, wylatują przez drzwi klasy na korytarz maluchy z zerówki, potykają się, skaczą do wieżaków, ściągają kurtki, czapki, zwalają całą kupę tego na podłogę i przebierają w niej, grzebią, póki ich woźny po jednym jakoś nie wystawi za próg. Wreszcie wychodzą długimi rzędami, z różnym tupotem. A wtedy pada grad pytań z tej chmury, co czeka u bramy:

– Umiałeś lekcję?

– Co masz zadane na jutro?

– Dużo masz roboty?

– Kiedy egzamin miesięczny?

Nawet te biedne matki, które nie umieją czytać, biorą od synów zeszyty, otwierają, patrzą na zadania, pytają o stopnie.

- Tylko czwórka?...
- A! Piątka z plusem!
- Cztery minus za lekcje?...

I niepokoją się, i cieszą, i wypytują nauczycieli, i rozmawiają o programach, o egzaminach. Jakie to wszystko jest wspaniałe i piękne – i jaka w tym tkwi ogromna obietnica dla przyszłości świata.

Twój ojciec

Ludwisia

28, niedziela

Maj nie mógł się dla mnie skończyć lepiej jak dzisiejszym porankiem! Słyszymy – ktoś dzwoni. Biegniemy wszyscy, otwieramy, a mój ojciec tonem największego zdziwienia mówi:

- To pan tutaj, Grzegorzu?...

Bo to właśnie był Grzegorz, nasz dawny ogrodnik z Chieri, którego rodzina mieszka w Kordowie. Przybył z Genui, dokąd dzień przedtem przyплыł na okręcie z Grecji, po trzech latach pracy przy kolei żelaznej. Dźwiگاł duży tłumok, postarzał się, ale zawsze czerstwy na twarzy i wesoły.

Ojciec chciał go zaprosić do pokoju, ale Grzegorz się wymówił i z powagą spytał prędko:

- Jakże się tam moi miewają? Jak Ludwisia?

- Dobrze się miała przed paru dniami, kiedy ją widziałam – odparła moja mama

Grzegorz westchnął głęboko:

- Ach, Bogu dzięki!... Nie miałem odwagi, żeby pójść do tych głuchoniemych, zanim się tu czegoś u państwa nie dowiem. Dziękuję pani! To ja teraz zostawię tu mój tłumok i skoczę po nią. Trzy lata będzie, jak nie widziałem tego biednego dziecka! Trzy lata, jak nikogo ze swoich nie widziałem!

Ojciec skinął na mnie.

- Idź razem z Grzegorzem.

- Jeszcze słówko, za przeproszeniem państwa! – rzekł ogrodnik, gdyśmy byli w sieni.

Ale ojciec wpadł mu w słowo:

- A jakże tam interesy?

- Dobrze – odpowiedział. – Bogu dziękować! Przywiozło się trochę grosza! Ale ja się chciałem spytać... Nauczyli oni czego tę moją biedotę? Bo zostawiłem ją, jak tę rybę niemą... Niewiele ja tam tym naukom wierzę... Ale czy choć znaki jakieś rozumie? Pisała mi tam moja, że niby się uczy mówić, że niby tam coś niecoś potrafią. Ale co mi z tego, że oni ją wyuczą tak albo tak, kiedy ja takich znaków nie umiem, jakie ona rozumie... To jakże się z nią dogadam? Biedactwo moje! Te znaki to może dobre między nimi, co jedno w drugie jak ryby nieme!... Więc nie wiem, proszę pana, i chciałem właśnie spytać, jak to tam jest?

Ojciec uśmiechnął się i rzekł:

- Nic nie powiem, zobaczy pan sam. Idźcie, idźcie! Niech się mała jak najprędzej ucieszy!...

Wyszliśmy. Instytut Głuchoniemych jest niedaleko od nas. Po drodze, stawiając olbrzymie kroki, że nadażyć za nim nie mogłem, Grzegorz zasepił się i tak mówił:

- Ach, ta moja biedna Ludwisia! Urodziło się to już z tym kalec-twem!... I pomyśleć, że ani razu nie słyszałem, żeby do mnie powiedziała: „Tato!”. A ona, ani razu nie słyszała, żebym do niej powiedział: „Moja córeczko!”. Nigdy w życiu nie rozumiała jednego ludzkiego słowa! Bogu za to jeszcze dziękować, że ją do tego Instytutu wzięli za darmo... Ale się naczekaliśmy! Że to musiała osiem lat najpierw skończyć, dopiero ją wzięli... Teraz trzy lata mnie nie było w domu, osiem i trzy... To będzie miała jedenaście lat teraz. Czy też urosła? Czy jest wesoła?

- Zaraz pan sam zobaczy. Za małą chwilę! – odrzekłem, starając się nadażyć za nim.

- A gdzież ten Instytut? Daleko? Nie było mnie tu już, jak ją matka, żona moja, odprowadzała. Widzi mi się, że to gdzieś tutaj...

Właśnie stanęliśmy przed Instytutem. Weszliśmy do poczekalni, a woźny wyszedł nam naprzeciw.

- Jestem ojciec Ludwisi... Ludwisi Voggi - wyjaśnił ogrodnik.

- Niech tu przyjdzie moja córka, a prędko, prędko!

- Są na przerwie - odpowiedział woźny - pójde powiedzieć nauczycielce.

I zniknął.

Ogrodnik zamilkł, ale nie mógł znaleźć sobie miejsca. Patrzył na obrazy na ścianach, ale tak nieprzytomnie, że ich nawet nie dostrzegał.

Wtem odrzwi się otwały, weszła ubrana na czarno nauczycielka, prowadząc za rękę dziewczynkę.

Ojciec i córka patrzyli na siebie przez chwilę, a potem z okrzykiem radości rzucili się sobie w objęcia. Dziewczynka była ubrana w różowo-białą sukienkę i w biały fartuszek. Była wyższa ode mnie. Rozpłakała się i ścisnęła ojca za szyję obiema rękami.

Wreszcie ojciec odsunął ją od siebie i zaczął ją od stóp do głów oglądać rozpromienionym wzrokiem, po czym zawołał:

- Ach, jak urosła! Jak wyładniała! Ach, kochanie ty moje! Moja biedna Ludwisia! Moje niemowlętko drogie.

Tu zwrócił się do nauczycielki:

- Proszę pani, proszę pokazać mi jakie znaki, żeby mnie choć trochę rozumiała! Ja się w mig nauczę... Żeby choć ociupinkę mnie rozumiała!

Nauczycielka uśmiechnęła się i zapytała dziewczynkę z cicha:

- Kim jest ten pan, co cię przyszedł odwiedzić?

A dziewczynka jakimś dziwnym, niskim głosem, jakby ktoś dziki pierwszy raz mówił po włosku, powiedziała:

- To... mój... ta... ta...

Ogrodnik cofnął się krok i wrzasnął jak wariat:

- Mówi! Jak Boga kocham, mówi!... Cud jaki czy co? Mówi! Dziecko moje drogie! Ty mówisz? Mówisz? Powiedz mi: mówisz?

I znowu chwycił ją i całował.

- Jakże to, proszę pani! To nie na migi? Nie na znaki? Nie na palce? Tylko tak po prostu? Jakże to może być?...

- Nie, panie Voggi - odrzekła nauczycielka. - Nie na migi. To już stara metoda. Tu się dzieci uczą nową metodą, pamięciową. Nie wiedział pan o tym?

- Pierwszy raz w życiu słyszę! - zawołał ogrodnik zdumiony. - Nic nie wiedziałem! Trzy lata nie było mnie w domu. A może mi i pisali, a nie zrozumiałem! Taki ze mnie łeb zakuty! - I zaraz zwrócił się do dziewczynki: - Dziecko moje! To ty mnie rozumiesz? To ty słyszysz mój głos? Odpowiedz ojcu! Słyszysz? Czy słyszysz, co ja do ciebie mówię?

- Ależ nie, drogi panie! - rzekła nauczycielka. - Ona nie słyszy głosu, bo jest głucha. Ale odczytuje z ruchu ust, jakie słowa pan do niej mówi. Rozumie pan? Ani słów pana nie słyszy, ani tego, co sama do pana mówi; wymawia słowa, bo nauczyliśmy ją litera po literze układać usta, poruszać gardłem i nadawać piersiom taki ruch, że może wydać dźwięk i wymówić każdą z tych liter.

Ogrodnik patrzył osłupiały z otwartymi ustami. Widać było, że nie rozumie ani słowa z tego całego wykładu i zresztą nie dowiedział temu. Zaczął sam próbować:

- Powiedz mi, Ludwisiu - rzekł, schyliwszy się jej do ucha - czy cieszysz się, że ojciec wrócił?

Popatrzył na nią i czekał, co powie. Dziewczynka patrzyła na niego w skupieniu, lecz nic nie odpowiedziała.

Stał więc zmieszany, a nauczycielka roześmiała się i rzekła:

- Proszę pana, nie odpowiada panu, bo nie widziała ruchu pana ust, bo mówił jej pan do ucha! Niech pan powtórzy teraz swoje pytanie, trzymając twarz przed jej twarzą!

Grzegorz stanął przed córką i powtórzył:

- Cieszysz się, że ojciec wrócił? Że już nie odjedzie?

Dziewczynka, która uważnie patrzyła mu na usta, gdy mówił, usiłując dostrzec nawet ruch języka - odpowiedziała swobodnie:

- Bar-dzo się cieszę, że oj-ciec wró-cił, że już nie po-je-dzie ni-gdy!

Ojciec zaczął ją gwałtownie tulić i całować, i żeby się bardziej upewnić, zarzucił ją pytaniami:

- Jak się nazywa mama?
- An-to-nia.
- A mała siostrzyczka?
- A-de-la-j-da.
- Jak się nazywa ten Instytut?
- Głu-cho-nie-mych.
- Ile będzie dwa razy dziesięć?
- Dwa-dzie-ścia.

No i kiedy myśleliśmy, że zacznie się śmiać z radości – nagle się rozbeczał.

- Ależ, proszę pana – rzekła nauczycielka – zamiast się cieszyć, to pan płacze? Przecież ma pan powód do radości, nie do smutku! Niech pan tylko spojrzy – pana córka też płacze. Niechże pan przestanie i powie, czy jest pan zadowolony!

Ogrodnik złapał rękę nauczycielki i całując ją wiele razy, mówił:

- Dziękuję! Och, dziękuję stokrotnie! Tysiąckrotnie dziękuję dobrej, drogiej pani! I niech mi pani wybaczy, że tego lepiej powiedzieć nie umiem.

- Pana córka umie także pisać – dodała nauczycielka – i liczyć. Wie, jak się co nazywa w domu. Umie także trochę historii, trochę geografii. Jest teraz w normalnej klasie. Ale jak ukończy jeszcze dwie wyższe klasy, będzie umiała wiele więcej. Po wyjściu stąd będzie mogła pracować, wybrać sobie jakiś zawód. Niektóre z dawnych naszych uczennic pracują w sklepach i tak dobrze obsługują kupujących jak i inne.

Ogrodnik znów usta otworzył osłupiały. W głowie mu się to wszystko nie mieściło. Patrzył na córkę, drapiąc się za uchem. Wzrok jego domagał się jeszcze nowych objaśnień.

Wtedy nauczycielka, zwracając się do woźnego, rzekła:

- Zawołajcie mi tu którą małą z klasy przygotowawczej!

Woźny wrócił za chwilę z małą dziewczynką, ośmio-, a może dziewięcioletnią, którą dopiero co przyjęto do Instytutu.

- Tę małą – mówiła nauczycielka – zaczynamy dopiero uczyć. Patrzcie, jak się to robi! Chcę, żeby wymówiła e. Niech pan teraz uważa.

Tu nauczycielka otwierała usta w taki sposób, w jaki je otworzyć trzeba dla wymówienia e, i ułożyła usta małej w podobny sposób. Dziewczynka trzymała je posłuszenie w tym układzie. Wtedy nauczycielka dała jej znak, żeby wydała z siebie głos. Jednakże zabrzmiało to zupełnie jak o.

- Nie - rzekła nauczycielka. - To nie to! - I wzięwszy obie ręce małej, położyła sobie jedną na gardle, a drugą na piersiach i powtarzała: e, e. Mała, czując pod ręką ruch gardła i ruch piersi nauczycielki, otworzyła usta tak samo, jak poprzednio, ale teraz prawidłowo wymówiła e.

W ten sam sposób kazała jej nauczycielka wymówić: e i d, wciąż trzymając obie rączki na swoim gardle i na swoich piersiach. Po czym zwróciła się do ogrodnika:

- Zrozumiał pan teraz?

Nareszcie zrozumiał. Tyle że teraz jeszcze bardziej był zdumiony niż wtedy, kiedy nie rozumiał.

- I one tak się uczą mówić? - zapytał po chwili namysłu, patrząc na nauczycielkę. - I mają cierpliwość tak po ździebku uczyć się mówienia, te wszystkie kaleki? Jedną literę po drugiej? Przez całe lata? To święte są! - zawołał nagle, składając dłonie jak do pacierza. - To są anioły rajskie! Żeby caluśki świat im dać i tak by mało było nagrody! Cóż ja to chciałem powiedzieć? A! Prosiłbym panią, żebym tak mógł na chwilę z dzieckiem sam być... Nacieszyć się... Pięć minut, ale... sam...

I pociągnąwszy dziewczynkę na bok, zaczął ją pytać, a ona zaczęła odpowiadać.

Śmiał się, bił pięściami w kolana, oczy mu błyszczały, a co i raz córkę za ręce brał i przyglądał jej się, odchodził prawie od zmysłów z radości i zachwytu, gdy mówiła, zupełnie jakby to był głos idący z nieba.

Nagle zapytał nauczycielkę:

- Czy nie mógłbym, proszę łaskawej pani, podziękować panu dyrektorowi?

- Dyrektora nie ma - odpowiedziała - ale jest ktoś inny, komu powinien pan podziękować. Tu u nas każda mała uczennica odda-

wana jest pod opiekę starszej koleżance, która jest jej jak siostra albo i matka. Waszą córeczkę powierzyliśmy siedemnastoletniej dziewczynce, córce zduna, która jest dla niej bardzo dobra i bardzo ją kocha. Od dwóch lat pomaga jej codziennie ubierać się, czesze ją, uczy ją szyć, naprawia jej sukienki, opiekuje się nią na każdym kroku. Ludwiniu! Jak się nazywa twoja mamusia z Instytutu?

Dziewczynka uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Ka-ta-rzy-na Gior-da-no. - A zwróciwszy się do ojca, dodała:
- Bar-dzo, bar-dzo do-bra.

Woźny, który na znak nauczycielki oddalił się, wrócił, prowadząc przed sobą panienkę z jasnymi włosami, silną, wesołą, w takiej samej sukience w białe i różowe paski i w szarym fartuszk. Panienska zatrzymała się u progu zarumieniona, a później spuściła głowę i roześmiała się. Wyglądała na dorosłą, a zdawała się dzieckiem. Córeczka Grzegorza pobiegła do niej, wzięła ją za rękę i przyprowadziła do ojca, mówiąc swoim grubym głosem:

- Ka-ta-rzy-na Gior-da-no!

- Ach, dobra panienko! - zawołał ogrodnik i wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją pogłaskać, ale wnet cofnął się zmieszany. - Niech ci Bóg błogosławi! Niech ci da szczęście na ziemi i w niebie! I całej rodzinie! Mój Boże, taka panienka dobra dla mego dziecka, dla mojej Ludwini! Niechże cię anieli niebiescy chronią. Jestem ubogim robotnikiem, ojcem tego biedactwa. I dziękuję ci, panienko, z całego serca!

Panna pogłaskała małą, trzymając ciągle głowę spuszczoną i uśmiechając się.

Ogrodnik złożył ręce przy ustach i patrzył w nią jak w cudowny obraz.

- Jak pan chce, to może pan teraz zabrać ze sobą córkę.

- Czy chce? - odrzekł wesoło. - Zabiorę ją ze sobą do Kordowy dziś, a jutro ją tu odprowadzę.

Dziewczynka pobiegła się ubrać.

- Toż trzy lata jej nie widziałem. A teraz patrzcie - mówi! Zaraz ją do Kordowy biorę. Niech się wszyscy cieszą! Najpierw jeszcze

po Turynie trochę pochodzę z tą moją niemową! Niech ją wszyscy widzą! I zaprowadzę ją do moich znajomych, żeby też słyszeli! O Boże, Boże, że też dożyłem tej pociechy! Dawaj łapkę, Ludwiniu! Bierz ojca pod rękę!

Dziewczynka, która wróciła w czapeczce i w pelerynce, wsunęła mu rękę pod ramię.

- Kłaniam się wszystkim pięknie! - mówił Grzegorz już w progu. - I wszystkim z duszy serca dziękuję! Jeszcze tu wrócę, żeby wszystkim podziękować!...

Nagle zatrzymał się, jakby uderzony jakąś myślą, puścił dziewczynkę, wrócił z ręką w kieszonce od kamizelki i krzyknął jak wariat:

- Co tam! Wprawdzie biedak ze mnie, ale dam dwadzieścia lirów na ten Instytut! Nowe dam, piękną sztukę!

I grzmotnąwszy garścią w stół, zostawił na nim swoją ofiarę.

- Nie, nie trzeba, łaskawy panie! - zawołała nauczycielka ze wzruszeniem. - Niech pan zabierze swoje pieniądze. Ja nie mogę tego przyjąć. Da pan, jak wróci dyrektor. Ale i on na pewno nie przyjmie. Ciężko pan zapracował na to złoto! I bez tego będziemy panu zawsze życzliwi!

- Zostawię! Muszę zostawić! - odpowiedział Grzegorz z uporem. - A zresztą się zobaczy.

Ale nauczycielka włożyła mu z powrotem do kamizelki ową sztukę złota, nie dając mu czasu na odmowę. Poddał się więc i tylko pokiwał głową, a potem posłał całusa panience i nauczycielce, wziął córkę pod rękę i wyszedł, wołając:

- Chodźmy, chodźmy, córuchno! Biedna ty moja niemowo! Mój skarbie!

A ona, stojąc w otwartych drzwiach, powiedziała tym swoim dziwnym głosem:

- Och, ja-kie ślicz-ne słoń-ce!

Czerwiec

Garibaldi

3 czerwca

Jutro święto narodowe

Dzisiaj jest żałoba narodowa. Wczoraj wieczorem umarł Garibaldi. Czy wiesz, kto to był? To człowiek, który wyzwolił dziesięć milionów Włochów spod tyranii Burbonów. Umarł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

Urodził się w Nizzy; był synem kapitana okrętu. Mając osiem lat, ocalił życie pewnej kobiecie. W trzynastym roku życia uratował tonącą barkę, na której byli jego koledzy. W dwudziestym siódmym wyciągnął w Marsylii z wody tonącego młodzieńca. W czterdziestym pierwszym uratował z pożaru okręt na oceanie.

Przez dziesięć lat walczył w Ameryce za wolność obcego ludu; brał udział w trzech wojnach z Austrią o wyzwolenie Lombardii i Trydentu, w 1849 r. bronił Rzymu przeciw Francuzom; w 1860 wyswobodził Palermo i Neapol; w 67 bit się drugi raz o Rzym, a w 1870 stanął w obronie Francji przeciwko Niemcom.

Palił się w nim płomień heroizmu; był obdarzony przez naturę geniuszem wojennym. Walczył w czterdziestu bitwach, a w trzydziestu sześciu zwyciężył. Pomiedzy wojnami ciężko pracował na życie. Był nauczycielem, marynarzem, robotnikiem, kupcem, żołnierzem, generałem, dyktatorem. Był wielki, prosty i dobry.

Nienawidził ucisku, solidaryzował się ze wszystkimi narodami, bronił słabych. Najważniejsze dla niego było ludzkie dobro. Nie dbał o zaszczyty. W czasie wojny nosił czerwoną koszulę. Był przystojnym, jasnowłosym mężczyzną. Na polu bitwy był szybki

jak piorun, w uczuciach szczery jak dziecko, w cierpieniu cierpliwy jak święty.

Tysiące Włochów umierało za ojczyznę z uśmiechem, gdy konając, widzieli go choćby z daleka, jak bije się i zwycięża; tysiące oddałyby życie za niego. Miliony błogosławiły go i zawsze będą błogosławić.

Umarł. Cały świat go oplakuje. Kiedyś będziesz czytał o jego bohaterskich czynach. Także następnie pokolenia będą się uczyć o nim w szkołach. Możemy być dumni, że był Włochem.

Twój ojciec

Wojsko

11, niedziela

Święto narodowe (opóźnione o siedem dni
z powodu śmierci Garibaldiego)

Poszliśmy na plac Castello, żeby zobaczyć ćwiczenia żołnierzy podczas defilady przed komendantem korpusu wojskowego. W trakcie ich przemarszu, przy dźwiękach trąb i odgłosie bębnow, ojciec objaśniał mi nazwy oddziałów wojska i opowiadał dzieje ich sztandarów.

Pierwsi szli uczniowie Akademii Wojennej, którzy kształcą się na oficerów inżynierii i artylerii. Było ich trzystu, mieli czarne mundury, szli z jakąś wytworną pewnością siebie, na wpół studenci, a na wpół żołnierze. Po nich rozwinęła się rzędem piechota. Szła brygada Aosty, która walczyła pod Goitą i pod San Martino; szła brygada Bergamo, która się biła pod Castelfidardo; cztery regimenty, kompanie za kompaniami, tysiąc czerwonych pomponów u kasków, które wyglądały jak pąki kwiatów.

Po piechocie defilował oddział inżynierii wojskowej, z czarnymi grzywami przy kaskach i karmazynowymi galonami. Za tym

oddziałem widać było sto piór sterczących wysoko i prosto ponad głowami widzów: byli to górale, przednia straż Włoch, wszyscy rośli, silni, w mundurach pięknego, zielonego koloru. Jeszcze szli, kiedy pomiędzy tłumem przebiegł szmer i ukazali się bersalierzy, dawny 12 batalion, ten, który przez wyłom w Porta Pia pierwszy wszedł do Rzymu. Dźwięki ich fanfar zagłuszył tętent koni zbliżającej się artylerii polowej. Na placu, na wysokich wozach ciągniętych przez setki wspaniałych koni, ukazali się dzielni żołnierze z żółtymi sznurami na mundurach, a za nimi długie armaty z brązu i ze stali.

Po nich, z wolna nadjechała artyleria górską, a na koniec, galopem, w hełmach lśniących w słońcu, ze wzniesionymi lancami, przeleciał piękny regiment kawalerii genueńskiej, która walczyła i zwyciężała na dziesięciu polach bitwy od Santa Lucia, aż do Vilafranca.

- Ach, jaki to piękny widok! - wykrzyknąłem.

Ale ojciec spojrział na mnie jakby z wyrzutem i rzekł:

- Nie powinno się patrzeć na wojsko jak na piękny widok. Cała ta młodzież, wszyscy ci ludzie pełni sił i nadziei mogą być z dnia na dzień powołani do obrony kraju i zginąć w walce. Kiedy przy uroczystości podobnej słyszysz okrzyki: „Niech żyją Włochy! Niech żyją żołnierze!” - wyobraź sobie krajobraz po bitwie. Straszny to widok. A wtedy to: „Niech żyje” będzie prawdziwe i szczerze.

32 stopnie

16, piątek

Przez te pięć dni od święta narodowego ociepliło się o trzy stopnie. Jest już prawie lato, a wszyscy jacyś zmęczeni, głowy się chwieją, a oczy same się zamykają.

Nelli bardzo osłabł z powodu upałów. Jest blady jak z wosku i zasypia na lekcjach - dobrze, że Garrone czuwa i stawia przed nim otwartą książkę, żeby nauczyciel nie widział, że Nelli śpi. Cros-

si opiera o ławkę swoją rudą łepetynę tak dziwnie, że wydaje się, jakby była oderwana od ciała i tak sobie leżała oddzielnie. Nobis narzeka, że jest nas za dużo i że przez to w klasie jest duszno.

Trzeba się teraz wysilać, żeby wytrzymać na lekcjach! Patrzą na piękne, cieniste drzewa. Tak bym sobie chętnie pobiegał i wściekły jestem, że muszę siedzieć w ławce! A mama co rano, budząc mnie o szóstej, mówi: „Już niedługo wakacje! Potem będziesz wolny i wypoczniesz sobie, na powietrzu, w cieniu...”

Mama przypomina mi czasem, że przecież tylu chłopców pracuje w polu, w palącym słońcu albo na piaskach nadrzecznych, albo w fabrykach, w gorących pomieszczeniach. I oni wszyscy jeszcze wcześniej wstają i wcale nie mają wakacji! A więc – śmiało naprzód!

Derossi, który we wszystkim jest najlepszy, najlepiej też znosi upały i przedwakacyjne zmęczenie. Ani mu nie jest za gorąco, ani mu się spać nie chce, zawsze energiczny, wesoły, uczy się bez wysiłku, a przebywając z nim, my też czujemy się raźniej, zupełnie jakby od jego głosu i śmiechu powietrze stawało się lżejsze.

Oprócz niego jest jeszcze dwóch w klasie, którzy nie drzemią i uważają na lekcjach. Ten uparciuch Stardi, który szczypie się w gębę, żeby nie zasnąć, a im większy upał, tym bardziej zaciska zęby i wytrzeszcza oczy, zupełnie jakby chciał połknąć nauczyciela z całą jego wiedzą, no i handlarz Garoffi, zajęty wyrobem wachlarzyków z czerwonego papieru, ozdobionych obrazkami ze starych pudełek od zapalek, które sprzedaje w klasie po dwa centymy za sztukę.

Najdzielniejszy jest jednak Coretti, który wstaje o piątej rano i pomaga ojcu nosić drewno! Za to o jedenastej w szkole oczy mu się same zamykają, a głowa opada. Otrzeźwia się, jak może. To się pięścią palnie w kark, to pyta, czy może wyjść i wkłada głowę pod kran, to prosi tych, co siedzą obok, żeby go tręcili i szczyпали. Ale dziś rano nie wytrzymał i zasnął jak suseł. Nauczyciel woła głośno:

– Coretti!

A ten nie słyszy.

Nauczyciel rozgniewany powtarza:

– Coretti!

Myślałem już, że będzie z nim źle! Nagle wstał jego sąsiad z ławki i powiedział:

– Coretti od piątej do siódmej nosi drewno...

Więc nauczyciel zostawił go w spokoju i prowadził lekcję jeszcze pół godziny. Potem podszedł do ławki Corettiego i delikatnie go obudził. Coretti aż podskoczył ze strachu, jak zobaczył pana tuż przed sobą. Ale nasz pan położył mu rękę na głowie i rzekł:

– Nie gniewam się, chłopcze! Twój sen nie jest snem lenistwa; to jest sen pracy.

Mój ojciec

17, sobota

Ani twój kolega Coretti, ani Garrone z pewnością nie odpowiedziałyby swemu ojcu tak, jak ty dziś odpowiedziałeś, Henryku!

Musisz mi obiecać, że to się już nigdy nie powtórzy! Za każdym razem, kiedy ojciec zwraca ci uwagę, a ty masz ochotę odezwać się niegrzecznie, pomyśl o dniu i o chwili, która przecież kiedyś nadejdzie, gdy stracisz ojca. Kiedy usłyszysz jego głos po raz ostatni i kiedy potem będziesz płakał w jego pustym pokoju, przypomnisz sobie, że mu kiedyś nie okazałeś szacunku i będziesz wyrzucał sam sobie: „Jak mogłem?”. Wtedy zrozumiesz, że był on twoim najlepszym przyjacielem. Kiedy był zmuszony cię ukarać, cierpiał jeszcze bardziej niż ty.

Twój ojciec ciężko pracuje na utrzymanie naszej rodziny. Nawet nie wiesz, jak ciężko, bo ukrywa on przed tobą wszystko, prócz swojej dobroci i miłości. Nie wiesz, jak jest nieraz zmęczony do granic i martwi się, co by się z tobą stało, gdyby umarł i zostawił cię bez swojej ojcowskiej opieki. Ile razy stoi przy twoim łóżku, gdy śpisz – z widoku śpiącego dziecka rodzice czerpią siły

do pracy i zmagañ z trudami życia. Pomyśl więc, jak musi to być dla niego bolesne, kiedy zamiast miłości i szacunku, okazujesz mu obojętność lub niecierpliwość!

Nigdy więc już, synu, nie odzywaj się niegrzecznie do ojca. Teraz idź do niego i przeproś; poproś, żeby nie gniewał się na ciebie i przebaczył ci twoje zachowanie.

Twoja matka

Na wsi

19, poniedziałek

Już wszystko dobrze! Tato mi i tym razem przebaczył i pozwolił iść na majówkę, którą zaplanowaliśmy w środę z ojcem Corettiego.

Wszyscy chcieliśmy odetchnąć powietrzem wzgórz, pól i łąk... Było prawdziwe święto! Prawdziwa majówka!

Spotkaliśmy się na placu Konstytucji: Derossi, Garrone, Garoffi, Precossi, Coretti z ojcem i ja. Wszyscy z prowiantem w plecakach. Były owoce, wędliny, gotowane jajka. Mieliśmy także kubki na napoje.

Garrone przyniósł sok, Coretti lemoniadę, a mały Precossi przydźwigał pod pachą wielki bochen chleba. Pojechaliliśmy autobusem aż do figurki Matki Boskiej Łaskawej, a stamtąd na przełaj po wzgórzach!

Co za zieleń! Co za cień! Co za świeżość! Tarzaliśmy się po trawie, moczyliśmy twarze i głowy w strumieniach, skakaliśmy przez płoty.

Pan Coretti siedł daleko za nami. Zdjął kurtkę, palił swoją fajeczkę i od czasu do czasu groził nam ręką, żebyśmy sobie nie porzdzierali spodni.

Precossi gwizdał. Nigdy jeszcze nie słyszałem, jak gwizdże. Mały Coretti ciągle coś dłużał po drodze. Potrafi jak rzeźbiarz wszystko

wydłubać swoim zakrzywionym nożykiem: kółka, wiatraczki, widelki, sikawki. Potem uparł się, żeby nieść nasze ubrania, i taki był obładowany, że pot z niego kapał, ale i tak był pełen energii.

Derossi zatrzymywał się co chwila i objaśniał nam, jak się nazywają poszczególne rośliny i owady. Nie rozumiem, skąd on może wiedzieć tyle rzeczy? Garrone zapychał się chlebem w zupełnym milczeniu, jednak zauważyłem, że nie zajada tak wesoło od czasu, jak stracił matkę. Ale jak zwykle był miły i uczynny! Kiedy któryś z nas rozpędzał się, żeby skoczyć przez rów, to zaraz biegł na drugi brzeg i podawał rękę. Precossiego zasłaniał przed krowami, bo Precossi bał się ich od czasu, gdy go jedna ubodła, jak był mały. Doszliśmy pieszo aż do Santa Margerita, a potem lecieliśmy na dół w skokach, w kozłach, na łeb, na szyję! Wtem Precossi zaplątał się w krzaku i rozdarł kurtkę. Głupio mu było, że wisi mu taki strzep materiału, ale Garoffi, który zawsze ma szpilki powtykane w marynarkę, pospinał mu to jakoś. Precossi zaczerwieniony powtarzał: „Przepraszam... przepraszam...” – po czym znów puścił się biegiem.

Garoffi także nie tracił czasu: zbierał po łąkach rzeżuchę na sałatę, szczaw na zupę, ślimaki, podnosił na drodze kamyczki, które błyszcząły, i wkładał je do kieszeni, myśląc pewnie, że może to srebro albo złoto.

Biegając, wspinając się, żartując, w cieniu i w słońcu, w górę i w dół, doszliśmy nareszcie zziębnięci i spoceni na szczyt wzgórza, usiedliśmy na trawie i rozłożyliśmy swój podwieczorek. Widać stąd było wielką równinę i Alpy z ośnieżonymi szczytami.

Głodni byliśmy jak wilki. A chleb znikał w oczach! Pan Coretti obdzielał nas wędliną, podając każdemu jego porcję na liściu. Gadał o nauczycielach, o kolegach, którzy nie mogli tu z nami przyjść, o egzaminach.

Precossi krępował się jeść, ale Garrone zachęcał go do tego i nakładał mu na siłę najlepsze kawałki, Coretti siedział przy ojcu ze skrzyżowanymi nogami. Wyglądali raczej na braci niż na ojca i syna, obaj zaczerwienieni i pokazujący w uśmiechu równe, białe zęby. Nagle pan Coretti powiedział:

- Szkoda, szkoda, eh!... Teraz wszyscy jesteście dobrymi kolegami, a za kilka lat? Kto wie? Henryk i Derossi będą adwokatami, profesorami, Bóg wie czym, a wy czterej będziecie pracować w sklepach, w fabrykach, warsztatach, licho wie gdzie... A wtedy przestaniecie się przyjaźnić!...

- Nie ma mowy! - żywo zaprzeczył Derossi. - Dla mnie Garrone będzie zawsze Garronem, Precossi Precossim, a inni tak samo, choćby pozostawali cesarzami chińskimi. Gdzie będą, zawsze do nich trafię!

- Zuch! - zawołał pan Coretti - Dobrze mówi! Tak trzymać!

Tymczasem zaczęło się już robić późno, więc zeszliliśmy ze wzgórza, śpiewając i trzymając się pod ręce. Przyszliśmy nad rzekę Po, a potem rozstaliśmy się na placu Konstytucji, umawiając się znowu na niedzielę, żeby iść do teatru Wiktora Emanuela, gdzie będzie rozdanie nagród uczniom szkół wieczorowych.

To był piękny dzień! Nic nie zakłóciłoby mojego dobrego humoru, gdybym nie spotkał na schodach mojej byłej nauczycielki. Wychodziła od nas. Było ciemno, ale jak tylko mnie poznała, powiedziała:

- Żegnaj, Henryku! Wspomnij mnie czasami. - Wydało mi się, że płacze. W domu opowiedziałem o tym mamie.

- Spotkałem moją nauczycielkę.

- Tak, była tu - odrzekła mama i zaraz spostrzegłem, że ma czerwone oczy. - Źle się poczuła.

A potem spojrzała na mnie ze smutkiem i dodała:

- Twoja pani jest bardzo chora.

Uczniowie-robotnicy

25, niedziela

Zgodnie z umową, poszliśmy do teatru Wiktora Emanuela na uroczystość rozdania nagród robotnikom.

Teatr był wspaniale przystrojony, zupełnie tak jak w święto, i po brzegi pełny. Scena zajęta była przez uczniów i uczennice szko-

ły śpiewu chóralnego, którzy śpiewali hymn poświęcony pamięci poległych na Krymie. Był tak piękny, że publiczność klaskaniem zmusiła chór do bisowania. Potem ci, którzy byli wytypowani do nagród, zaczęli kolejno zbliżać się do syndyka, prefekta i innych panów z rady miejskiej, i dostawali książki, książeczki kasy oszczędnościowej, dyplomy i medale. Blisko sceny zobaczyłem Mularczyka, siedzącego obok matki, z drugiej strony naszego dyrektora, a za nim mojego nauczyciela z drugiej klasy. Najpierw byli nagradzani uczniowie wieczorowych szkół rysunkowych, złotnicy, snycerze, litografowie, a także stolarze i murarze, potem uczniowie szkoły przemysłowej, a po nich – szkoły muzycznej.

Na koniec nagradzano uczniów podstawowych szkół wieczorowych i to było najpiękniejsze.

Byli to ludzie w różnym wieku – i bardzo młodzi, i dużo starsi. Ci starsi byli trochę zakłopotani. Wielu nagrodzonych miało żony i dzieci, które przyszły na uroczystość, więc kiedy któryś dzieciak zobaczył, że przechodzi tata, wołał do niego głośno albo pokazywał go rączką. W pewnym momencie zobaczyłem, że na scenę wchodzi bardzo wysoki człowiek, olbrzym jakiś i zdawało mi się, że już go kiedyś widziałem. No, oczywiście, że go widziałem, bo to przecież był ojciec Mularczyka! Dostał drugą nagrodę! Mularczyk patrzył na ojca błyszczącymi oczami, a żeby ukryć wzruszenie, zrobił zajęczy pyszczek!

W tej chwili wszyscy zaczęli klaskać. Na scenie stał młody kominiarz, z twarzą wymytą, ale w swej zwykłej odzieży do pracy. Syndyk rozmawiał z nim, ściskając jego rękę. Potem wystąpił kucharz, a po kucharzu miejski zamiatacz ulic, który dostał medal. Był ze szkoły „Raineri”.

Czułem do tych ludzi wielki szacunek. Jak ciężko zapracowali na swe nagrody ci robotnicy, ojcowie rodzin, zmęczeni codzienną pracą i kłopotami, a jeszcze uczący się w szkole. Ile nocy przesiedzieli nad książkami, ile czasu poświęcili na naukę!

Było kilku żołnierzy z artylerii, z tych, którzy uczęszczają do naszej szkoły na wieczorową naukę. Po nich szła straż celna, a tak-

że strażnik, który pilnuje naszej szkoły. Na zakończenie uczniowie szkół wieczorowych odśpiewali znowu hymn na cześć poległych na Krymie, ale z takim zapalem i uczuciem, że ludzie wcale nie klaskali, tylko po wysłuchaniu śpiewu na stojąco, powoli i w milczeniu opuścili salę. Dopiero na ulicy zaroilo się to wszystko jak w ulu! Przed wejściem do teatru stał kominiarz ze swoją nagrodą – książką w czerwonej oprawie, a dokoła kilku panów, którzy z nim rozmawiali. Wiele osób pozdrowiało się głośno przez ulicę. Mój nauczyciel z drugiej klasy wyszedł razem z dwoma artylerzystami. Ale najśmieszniejsze było to, że małe dzieci trzymały w rączkach dyplomy swoich ojców i pokazywały je przechodniom z wielką dumą!

Śmierć mojej nauczycielki

27, wtorek

Właśnie wtedy, gdy byliśmy w teatrze Wiktora Emanuela, siedem dni po wizycie u nas, umarła moja nauczycielka. Dyrektor przyszedł wczoraj rano do naszej klasy, żeby nas o tym zawiadomić.

- Ci z was, którzy byli jej uczniami, wiedzą, jaka była dobra, jak kochała dzieci i że była dla nich jak matka. Nie ma jej już z nami. Chorowała od długiego czasu. Nie oszczędzała się, chciała zostać ze swoimi uczniami prawie do ostatniego dnia. Pamiętajcie o niej, dzieci!

Precossi, który był jej uczniem w pierwszej klasie, pochylił głowę na ławkę i rozplakał się.

Wczoraj wieczorem poszliśmy pod jej dom, żeby stamtąd wyruszyć do kościoła na nabożeństwo żałobne. Na ulicy stał karawan, a przed domem czekało dużo osób. Był dyrektor, byli wszyscy nauczyciele i nauczycielki z naszej szkoły i także z innych, gdzie kiedyś uczyła, byli prawie wszyscy uczniowie z jej klasy, było też bardzo wielu uczniów z innych klas i z pięćdziesiąt uczennic z sekcji Baretti, z wieńcami kwiatów i bukietami róż w rękę.

Kwiatów i bukietów było też mnóstwo na karawanie, do którego przymocowany był wielki wieniec z kwiatów akacji, nad którym widniał napis:

„Drogiej nauczycielce dawne uczennice z czwartej klasy”.

A pod tym wielkim ułożono mały wianuszek, który przynieśli jej najmłodszy uczniowie.

Wszyscy ustawili się przed domem. Wiele osób ocierało łzy. Czekaliśmy chwilę w milczeniu, aż wreszcie wyniesiono trumnę.

Kiedy mali uczniowie zobaczyli, że trumnę wstawiają do środka karawanu, niektórzy zaczęli głośno płakać, a jeden tak bardzo, że musieli go zabrać do domu. Orszak ruszył z wolna.

Najpierw szły dziewczęta z domu dziecka „Concezione”, w zielonych sukienkach, potem szły „Dzieci Marii”, całe w bieli z niebieskimi wstążkami, potem księża. A za karawanem nauczyciele i nauczycielki, uczniowie z pierwszej klasy i inni. Potem reszta tłumu.

Na ulicy ludzie stawali w oknach, w drzwiach i widząc wszystkie te dzieci, mówili: „To chyba pogrzeb nauczycielki”. Wszystkim było okropnie żal i nawet wiele z tych mam, które przyprowadziły dzieci, także płakało. Kiedy orszak przybył przed kościół, zdjęto trumnę z karawanu i ustawiono ją w środkowej nawie, przed wielkim ołtarzem. Pierwszy wieniec położyły na trumnie nauczycielki z naszej szkoły, potem dzieci pokryły ją kwiatami, a ci, co stali dookoła z zapalonymi świecami, zaczęli śpiewać modlitwy w mrocznym i wielkim kościele. Kiedy skończyło się nabożeństwo, ksiądz powiedział: „Amen” i zgasły wszystkie świece. Ludzie wyszli pośpiesznie z kościoła, a zmarła nauczycielka została sama.

Była dla mnie taka dobra, taka cierpliwa, tak się napracowała przez długie lata! Swoje książki i inne drobiazgi zostawiła na pamiętkę uczniom. Kiedy już wiedziała, że umrze, prosiła dyrektora, żeby nie pozwolił tym najmniejszym iść za jej trumną, bo nie chciała, żeby płakały.

Była dobra, cierpiała, umarła. Będzie dobrym wspomnieniem mojego dzieciństwa.

Nasza nauczycielka zmarła trzy dni przed końcem szkoły. A tak chciała zakończyć rok szkolny ze swoją klasą!

Pojutrze jeszcze raz przychodzimy do klasy, bo nasz pan ma przeczytać opowiadanie miesięczne „Zatonięcie statku”, a potem już – koniec!

W sobotę, pierwszego lipca, egzaminy. A więc znowu minął rok, już czwarty.

I gdyby nie śmierć mojej nauczycielki, mógłbym powiedzieć, że minął dobrze.

Tak sobie myślę, ile umiałem w październiku zeszłego roku, i porównuję, że dziś umiem znacznie więcej. Tyle nowych rzeczy! Potrafię teraz dużo lepiej napisać, co myślę i co czuję, jestem niezły z matematyki, rozumiem czytane teksty. Pięknie!

Jak wielu ludzi miało wkład w moją naukę, zachęcało mnie do niej i pomagało mi się uczyć – w domu, w szkole, na ulicy, wszędzie, gdzie tylko byłem i cokolwiek widziałem. Jestem im za to bardzo wdzięczny!

Chciałbym przede wszystkim podziękować panu, panie nauczycielu, że był pan dla mnie tak wyrozumiały i życzliwy, i trudził się, przekazując mi nową wiedzę. Tobie też dziękuję, Derossi, mój kumplu, bo często tłumaczyłeś mi to, czego nie rozumiałem na lekcjach, i to tak jasno, jakby nie było nic łatwiejszego pod słońcem. I tobie dziękuję, Stardi, za to, że pokazałeś mi, jak wiele można dokonać żelazną wolą. I tobie, Garrone, bo każdy, kto przebywał z tobą, stawał się lepszy. I wam, Precossi i Coretti, bo zawsze dawaliście mi przykłady odwagi w cierpieniu i radości przy pracy. Dziękuję wam! Dziękuję wam wszystkim!

Ale przede wszystkim dziękuję tobie, kochany tato, bo to ty byłeś moim pierwszym nauczycielem, dałeś mi tyle dobrych rad i tylu rzeczy nauczyłeś, pracując dla mnie, ukrywając przede mną swoje troski i starając się sprawić, by nauka stała się łatwiejsza, a życie piękniejsze.

I tobie, mamusiu droga, mój kochany „aniele stróżu”. Cieszyłaś się każdą moją radością i smuciłaś każdym moim smutkiem, uczyłaś się ze mną, pracowałaś, dodawałaś otuchy w trudnych chwilach. Dziękuję wam, dziękuję z całą serdecznością, jakiej nauczyliście mnie przez dwanaście lat swojego poświęcenia i miłości.

Zatonięcie statku

Ostatnie opowiadanie miesięczne

Przed kilku laty, w grudniowy poranek, wypłynął z Liverpoolu ogromny statek parowy, na którego pokładzie znajdowało się ponad dwieście osób, w tym siedemdziesięciu członków załogi. Kapitan i większość marynarzy byli Anglikami. Wśród pasażerów było kilkoro Włochów: trzy kobiety, ksiądz i kilku muzykantów. Statek płynął na Malte. Była pochmurna pogoda.

Między podróżnymi trzeciej klasy zebranych z przodu na pokładzie, znajdował się dwunastoletni chłopiec, Włoch, nieduży na swój wiek, ale silny, piękny typ sycylijski z surową i odważną twarzą. Siedział sam, w pobliżu przedniego masztu, na zwoju lin okrętowych, trzymając rękę na małej, podniszczonej walizce, w której wiozł swoje rzeczy. Ubrany był ubogo w jakąś obdartą kurtkę, na szyi miał przewieszoną starą skórzaną torbę. Siedząc, patrzył w zamysleniu na pasażerów, na statek, na marynarzy, którzy przebiegali obok z pośpiechem i na coraz bardziej wzburzone morze. Wyglądał tak, jakby niedawno przeżył jakieś wielkie nieszczęście – twarz dziecka miała wyraz dojrzałego człowieka.

Wkrótce po wyjściu z portu jeden z majtków okrętowych, Włoch z siwymi włosami, ukazał się na przedzie statku, prowadząc za rękę dziewczynkę i zatrzymując się przed chłopcem, rzekł:

– Masz tu, Manio, towarzyszkę podróży! – Po czym zostawił ją i odszedł.

Dziewczynka usiadła na kupie lin obok chłopca i oboje popatrzyli na siebie.

- Dokąd jedziesz? - zapytał mały Sycylijczyk

- Na Malte, a stamtąd do Neapolu. - I dodała: - Jadę do taty i mamy, bo oni tam są i czekają na mnie. Nazywam się Julieta Faggiani.

Chłopiec nic nie odpowiedział.

Po pewnym czasie wydobył z torby chleb i suszone owoce, dziewczynka wyjęła biszkopty, i zaczęli jeść.

- Uwaga! - krzyknął włoski marynarz, przechodząc w pośpiechu. - Zaraz tu się zacznie taniec!

Rzeczywiście wiatr się wzmógł, a statek kołysał się gwałtownie. Ale siedzące na linach dzieci nie zwracały na to zbytnej uwagi. Dziewczynka uśmiechała się. Była prawie w tym samym wieku, co jej towarzysz, ale znacznie od niego wyższa. Miała smagłą twarz, ciemne włosy i szczupłą, wątłą figurkę. Była skromnie ubrana. Kędzierzawe i krótko obcięte włosy związała czerwoną chusteczką, spod której widać było srebrne, duże koła w uszach.

Zaczął opowiadać o sobie.

Chłopiec nie miał już rodziców. Ojciec, robotnik, zmarł niedawno w Liverpoolu, pozostawiając go samego na świecie, a konsul włoski odsyłał go właśnie do Palermo, gdzie mały sierota miał dalekich krewnych.

Dziewczynkę zabrała przed rokiem do Londynu ciotka, wdowa, która ją bardzo kochała i której rodzice oddali dziecko na jakiś czas, licząc na obiecany spadek. Ale w kilka miesięcy później ciotka zginęła pod kołami autobusu, nie pozostawiwszy po sobie ani grosza. Dziewczynce poradzono udać się do konsula, który zaopiekował się nią i postanowił odesłać do rodziców.

Oboje zostali oddani pod opiekę owemu Włochowi, który należał do załogi statku.

- Więc tam ojciec i matka myślą - kończyła dziewczynka - że wrócę z majątkiem, a ja nie mam nic. Ale i tak będą mnie kochali. A moi bracia! Mam czterech braci, takich małych, malutkich... Je-

stem najstarsza w domu. Ubieram ich, myję. Okropnie się ucieszą! Wejdę po cichutku na palcach... Jakie to morze okropne!... – Potem nagle do chłopca: – A ty zostaniesz u tych krewnych?

– Zostanę... Jeśli mnie zechcą trzymać – odrzekł.

– A oni cię nie kochają?

– Czy ja wiem?

– Ja na Boże Narodzenie zacznę trzynasty rok – powiedziała dziewczynka.

A dalej rozmawiali o morzu i o innych podróży. Tak przesiadzieli obok siebie cały dzień, gawędząc od czasu do czasu. Pasażerowie myśleli, że to brat i siostra. Dziewczynka robiła pończochę na drutach, chłopiec rozmyślał, morze stawało się coraz bardziej burzliwe. Kiedy się rozstawali wieczorem, dziewczynka powiedziała:

– Śpij spokojnie!

– Nikt tu, moje dzieci, nie będzie spokojnie spał! – zawołał, przebiegając, włoski marynarz, którego wzywał kapitan.

Chłopiec chciał właśnie odpowiedzieć swej małej znajomej: „Dobranoc!”, kiedy zniecka chlusnęła na niego gwałtowny strumień wody i powalił go na ławkę.

– Jezus Maria! Krew leci! – krzyknęła dziewczynka, rzucając się do niego.

Pasażerowie, schodzący spieszenie pod pokład, nie zwrócili na nich uwagi.

Dziewczynka uklękła przy chłopcu, ogłuszonym nagłym upadkiem, otarła mu zakrwawione czoło, zdjęła prędko swą czerwoną chusteczkę i usiłowała jak najmocniej obwiązać mu głowę. Gdy ją przycisnęła do piersi, aby lepiej ścisnąć oba końce chustki, na jej żółtej sukieneczynie, nad paskiem, została krwawa plama. Manio ocknął się po chwili i wstał.

– Boli cię? – zapytała Julieta.

– Nic mnie nie boli!

– To dobranoc!

– Dobranoc! – odpowiedział Manio.

I zeszedli bocznymi schodkami do swoich sypialni.

Stary marynarz dobrze przepowiedział. Jeszcze nie zasnęli, kiedy rozpętała się straszliwa burza. Ogromne bałwany tak gwałtownie natarły na statek, że w parę minut jeden z wielkich masztów został złamany, a trzy łodzie ratunkowe, uczepione w tyle statku, fale uniosły jak liście. Szturmujące statek morze zmiotło też cztery woły z przedniego pokładu.

Wśród pasażerów zrobił się zamęt. Krzyki przerażenia, rozpacz, płacz, modlitwy, wybuchły jak druga burza. Włosy stawały na głowie. Morze wrzało. Nawałnica szalała przez całą noc, wzmagając się ciągle. Dniało już, a ona jeszcze trwała. Olbrzymie fale bijące w statek z ukosa zalewały pokład, tłukąc, łamiąc i zmiatając w otchłań, co tylko na nim było.

Platforma pokrywająca maszynę była zgnieciona, a woda wlewała się do wnętrza statku ze strasznym hukiem. Ogień zagasł, maszyniści uciekli pod pokład przed niechybną śmiercią; szerokie strugi wdzierały się zewsząd.

Wtem dał się słyszeć grzmiący głos:

- Do pomp!

Na głos kapitana marynarze rzucili się do pomp. Ale nagłe uderzenie fal przechyliło statek do tyłu i zgruchotało poręcze i drzwi kajut, do których zaczęła się wlewać strumieniem woda. Pasażerowie w śmiertelnym przestraszeniu stoczyli się w wielkiej sali. Wtem w progu ukazał się kapitan.

- Kapitanie! Panie kapitanie! - krzyknęli wszyscy. - Co się dzieje?... Co się z nami stanie?... Czy jest nadzieja? Czy jest ratunek?...

Kapitan przeczekał, aż krzyk ucichnie, a potem rzekł zimnym głosem:

- Trzeba się poddać losowi.

Jakaś kobieta zawołała:

- Litości!

Był to jedyny okrzyk. Nikt inny nie mógł dobyć głosu. Zgroza ścisnęła wszystkie gardła. Minuty mijały, ludzie patrzyli na siebie z przerażeniem, a morze szalało. Statek zaczął pogrążyć się w wodzie.

W pewnej chwili kapitan spróbował spuścić łódź ratunkową. Wskoczyło do niej pięciu marynarzy, barka została odcięta. Natychmiast jednak przechyliła ją gwałtowna fala i dwóch marynarzy poszło na dno. Jednym z nich był stary Włoch, opiekun dzieci. Pozostałym udało się z wielkim trudem zarzucić sznury na statek i dostać się na niego z powrotem. Po tej śmiertelnej próbie załoga straciła nadzieję.

W dwie godziny później statek był już zalany wodą aż do wysokości osady głównego masztu. Pod pokładem tymczasem rozgrywały się rozdzierające sceny.

Matki rozpaczliwie tuliły dzieci, przyjaciele padali sobie w objęcia i żegnali się, niektórzy schodzili do kajut, by tam umierać, nie patrząc na rozpętane i huczące morze.

Jeden z podróżnych roztrzaskał sobie głowę z pistoletu i skończył na schodach sypialni. Ludzie czepiali się konwulsyjnie jedni drugich, kobiety mdlały i wpadały w szal.

Wielu klęczało dokoła księdza, wznosząc ku niemu złożone do modlitwy ręce. Krzyk, jęki, płacz dzieci, łkania, głosy ostre i dzikie tworzyły jakby chór piekielny, jakąś symfonię rozpaczny. Tu i ówdzie stali ludzie nieruchomi jak posągi, z rozszerzonymi, niewidzącymi źrenicami, z twarzami szaleńców.

A dwoje dzieci, Manio i Julieta, trzymając się z całych sił jednego z okrętowych masztów, patrzyło w morze osłupiałym wzrokiem, jakby nieprzytomnie.

Morze zaczęło się wreszcie uspokajać, ale statek zanurzał się z wolna coraz głębiej. Kilka minut zaledwie i musiał zniknąć pod wodą.

– Spuszczajcie szalupę! – krzyknął kapitan.

Spuszczono ostatnią łódź ratunkową, jaka pozostała. Zeszło do niej czternastu marynarzy i trzech podróżnych.

Kapitan patrzył z pokładu.

– Kapitanie! Schodź z nami! – wołano na niego z szalupy.

– Zginę na posterunku!... To moja powinność! – odkrzyknął kapitan.

– Spotkamy jakiś statek! Schodź! Ratuj się! – wołali marynarze.

– Zostaję tutaj!

- Jest jeszcze miejsce! - krzyknęli marynarze, zwracając się do pasażerów. - Niech zejdzie kobieta.

Zbliżyła się kobieta, podtrzymywana przez kapitana, ale ujrawszy odległość, w jakiej znajdowała się szalupa, nie mogła odważyć się na skok i padła zemdlnona na pokład. Inne kobiety były nieprzytomne i na wpeł żywe.

- Dawać dziecko! - krzyczeli teraz marynarze.

Na ten krzyk mały Sycyliczyk i jego towarzyszka, jakby skamieniali dotąd od nadludzkiej zgrozy, porwani gwałtownym instynktem życia, puścili drzewce masztu w tym samym momencie i rzuciwszy się na brzeg pokładu, wrzasnęli jednym głosem: - Ja!... Ja!... - odtrącając się wzajem od zejścia jak dzikie zwierzęta.

- Mniejsze! - krzyczano z szalupy. - Łódź jest przeładowana! Mniejsze!

A na ten krzyk dziewczynka opuściła ręce jak trafiona gromem i stanęła nieruchoma, patrząc na Mania martwymi oczyma.

Manio spojrział na nią i zobaczył krwawą plamę na żółtej sukience. Przypomniał sobie i jakiś błysk niebiański przeleciał mu po twarzy.

- Mniejsze! Prędezej! - wołali marynarze z najwyższą niecierpliwością. - Odbijamy!

A wtedy Manio krzyknął jakimś dziwnym głosem:

- Ona lżejsza! Schodź, Julieto! Masz ojca i matkę. Ja jestem sam. Oddaję ci miejsce. Schodź!

- Rzucić ją w wodę!... Złapiemy!

Manio chwycił ją wpeł i rzucił w morze. Dziewczynka krzyknęła i zniknęła pod wodą. Ale w teje chwili jeden z marynarzy złapał ją i wciągnął na łódź.

Chłopiec stał wyprostowany na brzegu pokładu, z podniesionym czołem, z rozwianymi przez wiatr włosami, stał nieruchomy, spokojny, wzniosły.

Plusnęły wiosła. Szalupa miała zaledwie tyle czasu, by oddalić się od niebezpiecznego leja, jaki tworzył statek idący pod wodę, gdyż łatwo mógł ją wciągnąć w czeluść.

Dziewczynka, dotąd jak nieprzytomna, spojrzała na chłopca i wybuchnęła płaczem.

- Żegnaj, Manio! - krzyknęła, wyciągając ręce z łkaniem. - Żegnaj! Żegnaj!

- Bądź zdrowa! - odkrzyknął chłopiec, podnosząc rękę.

Szalupa zaczęła się oddalać z pośpiechem, poprzez wzburzone morze, pod zamroczonym niebem.

Na okręcie wszystko ucichło.

Woda zatapiała już ostatni skrawek pokładu.

Nagle chłopiec upadł na kolana ze złożonymi rękami i wzniósł oczy ku niebu.

Ocalona dziewczynka ukryła twarz w dłoniach. Kiedy ją podniosła i powiodła wzrokiem po morzu dokoła, statku już na nim nie było.

Lipiec

Ostatnia kartka mojej matki

1, sobota

A więc skończył się, Henryku, rok szkolny. Zostajecie na wakacje ze wspomnieniem chłopca, który ustąpił swojej małej przyjaciółce miejsca w szalupie, ratując jej tym życie.

Rozstajesz się z nauczycielami i z kolegami, ale, niestety, nie tylko na wakacje. W związku ze zmianą pracy taty, musimy wszyscy wyprowadzić się z Turynu.

Nastąpi to jesienią, a ty pójdziesz do innej szkoły. Przykro ci będzie, prawda? Bo jestem pewna, że kochasz swoją starą szkołę, do której chodziłeś przez cztery lata, gdzie przez tak długi czas widywałeś tych samych chłopców, tych samych nauczycieli, tych samych rodziców. Tę dobrą, starą szkołę, gdzie twój umysł otworzył się na nową wiedzę, gdzie znalazłeś przyjaciół, gdzie doznałeś tylu radości. Zachowaj w sercu to przywiązanie, Henryku! Wspominaj często szkołę, kolegów i nauczycieli, bo był to jakby twój drugi dom.

Dorośniesz, pójdziesz w świat, zobaczysz wielkie miasta, zachwycające pomniki i gmachy. O wielu z nich potem zapomnisz, ale ten skromny, biały budynek z boiskiem, niech na zawsze zostanie w twojej pamięci.

Nareszcie egzaminy!

Na wszystkich ulicach wszyscy rozmawiają tylko o tym: rodzice, dzieci, nawet, kucharki. „Egzaminy, stopnie, tematy, oblał, zdał” – słychać wszędzie.

Wczoraj rano były egzaminy pisemne, dziś rano matematyka. To wzruszające, gdy patrzy się na rodziców, którzy, prowadząc dzieci do szkoły, dają im po drodze ostatnie rady. Matki towarzyszyły synom aż do samych ławek, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Niektóre jeszcze od progu odwracały się i mówiły:

– A uważaj! Na Boga, uważaj! A nie bój się! Pamiętaj!

W naszej klasie nauczycielem-asystentem był pan Coatti, ten z wielką, czarną brodą, co ryczy jak lew, ale jest dobry jak baranek.

Niektórzy chłopcy byli ze strachu biali jak kreda. Kiedy nauczyciel otworzył kopertę z zadaniami, uczniowie przestali oddychać.

Pan Coatti podyktował zadanie grubym głosem, patrząc to na tego, to na owego srogimi oczyma, ale widać było, że gdyby mógł nam podyktować także rozwiązanie, żeby wszyscy dobrze napisali, sprawiłoby mu to największą radość.

Po godzinie pracy wielu już bardzo się zmęczyło, bo zadanie było naprawdę trudne. Jeden płakał. Crossi walił się pięścią w głowę. Nie było to winą niektórych, że niewiele wiedzieli, ponieważ mało czasu mieli na naukę, pomagając swoim rodzicom w pracy. Ale Opatrzność czuwała!

Derossi robił, co mógł, żeby im tylko pomóc. Podpowiadał, jakiego użyć działania, uśmiechał się krzepiąco, troszczył się o wszystkich, jakby to on był naszym nauczycielem.

No i Garrone, który jest w arytmetyce mocny, pomagał, komu się dało. Stardi ponad godzinę siedział nieruchomo, z wzrokiem wlepionym w zadanie, z głową podpartą pięściami, po czym wziął pióro i w pięć minut skończył.

Nauczyciel chodził między ławkami i powtarzał:

- Spokojnie! Spokojnie, myśleć, chłopcy! Zalecam wam spokój myśli!

A kiedy spostrzegł, że któryś ze zdenerwowania nie wie, co robić, starał się go rozśmieszyć: otwierał szeroko usta i udawał lwa, który chce go połknąć.

Około jedenastej patrząc przez opuszczone firanki, widziałem, jak niektórzy rodzice niecierpliwie chodzili tam i z powrotem po ulicy. Był tam ojciec Precossiego w swojej niebieskiej kamizelce, który dopiero co wybiegł z kuźni, bo twarz miał zupełnie czarną. Była matka Crossiego, zieleniarka, matka Nellego, ubrana na czarno, która ani na chwilę nie mogła przystanąć ze zdenerwowania. Przed samym południem przyszedł mój tata i patrzył w okna klasy. Kochany tatuś!

O dwunastej wszyscy skończyli egzamin.

Co się potem działo przy wyjściu! Ledwo któryś przeszedł przez próg, zaraz wszyscy do niego! Pytają, zaglądną w zeszyty, porównują z odpowiedziami kolegów!

Ile działań? Jaka suma? A odejmowanie? A odpowiedź? A gdzie przecinek ułamka dziesiętnego?

Nauczyciele nie wiedzieli, dokąd mają iść, bo wołano ich ze wszystkich stron. Mój ojciec wziął ode mnie brudnopis, spojrzął i powiedział:

- Dobrze.

Obok nas stał kowal Precossi, który także oglądał pracę syna, trochę niespokojny, bo nie mógł się w niej połapać. Zwrócił się więc do mego taty.

- Czy byłby pan uprzejmy sprawdzić zadanie mojego syna?

Mój tata przejrzał zadania. Wszystko się zgadzało.

- Brawo! Świetnie synu! - zawołał uszczęśliwiony pan Precossi.

Popatrzyli na siebie przez chwilę z uśmiechem, on i mój ojciec, jak dwaj przyjaciele. Ojciec podał mu rękę, kowal ją uściśnął. Rozstali się, mówiąc:

- Do zobaczenia na ustnym!

- Na ustnym!

Chwilę potem usłyszeliśmy jakiś niezwykle falset, tak że się głowa sama odwracała.

Spojrzałem, a to pan Precossi śpiewał, wyciągając głos w nieprawdopodobne trele!

Ostatni egzamin

7, piątek

Dziś rano odbyły się egzaminy ustne.

O ósmej byliśmy już wszyscy w klasie, a kwadrans na dziewiętą zaczęli nas wywoływać po czterech do sali, gdzie stał duży stół, nakryty zielonym sukniem, a przy stole siedział dyrektor i czterech nauczycieli, w tym także nasz.

Mnie wywołali prawie na samym początku.

Biedny nauczyciel. Dopiero dziś rano przekonałem się, jaki jest fajny. Kiedy inni nauczyciele nas odpytywali, patrzył w nas, jakby nam duszę własną chciał oddać. Chmurzył się, kiedy który palnął głupstwo, uśmiechał się, kiedy dobrze szło. Słuchał każdego słówka, głową i rękami dawał nam znaki, jakby mówił:

- Dobrze... Źle! Uwważaj... Wolniej. Nie bój się!

Pewno by i podpowiadał, gdyby było można. Gdyby na jego miejscu znajdowali się nawet ojcowie uczniów, nie mogliby zrobić nic więcej. Kiedy po egzaminie powiedzieli mi:

- Dobrze. Możesz odejść - to jemu aż oczy zaświeciły się z radości.

Wróciłem zaraz do klasy i czekałem na ojca. Prawie wszyscy jeszcze byli w ławkach. Siadłem przy Garronem, ale wcale mi nie było wesoło, bo pomyślałem, że już ostatni raz siedzimy tak obok siebie. Garrone nie wie jeszcze o niczym. Jeszcze mu nie mówiłem, że do czwartej klasy nie będziemy chodzić razem, bo nasza rodzina wyprowadza się z Turynu.

Siedział zgarbiony, prawie zgięty w pół i pochyliwszy swoją dużą głowę nad ławką, rysował jakieś ornamenty dokoła fotogra-

fii swojego ojca w mundurze maszynisty! Kawał chłopca z tego ojca! Wysoki, barczysty, z twarzą poważną i uczciwą. Zupełnie jak syn. Kiedy tak siedział schylony, zobaczyłem, że nosi złoty krzyżyk, który mu podarowała mama Nellego, kiedy dowiedziała się, że jest taki dobry dla jej syna. Zdecydowałem się powiedzieć mu wszystko.

- Garrone - zacząłem - mój tata wyjeżdża z Turynu tej jesieni już na dobre.

- A ty?

- Ja też.

- To nie będziesz z nami w czwartej klasie?

- Nie.

Rysował przez chwilę w milczeniu. Po czym nie podnosząc głowy, zapytał:

- A będziesz pamiętał o kolegach z trzeciej?

- Jasne. O wszystkich! A o tobie... bardziej niż o innych. Kto by cię mógł zapomnieć?

A on podniósł głowę i utkwił we mnie spojrzenie, które mówiło różne, różne rzeczy, sam jednak nie powiedział nic, tylko podał mi lewą rękę, udając, że prawą rysuje dalej, a ja uściśnąłem ją serdecznie w obu dłoniach.

W tej chwili wszedł spiesznie nasz pan i powiedział wesoło:

- Dobrze idzie! Aż dotąd wszystko dobrze! Niech tylko ci, co zostali, równie dobrze się sprawią! Dzielne chłopaki! Nic się nie bójcie! Jestem z was zadowolony!

I żeby nas rozweselić, udał, że się potknął i oparł się o ścianę. On, który nigdy się nie śmiał - żartował!

Wydawało nam się to tak dziwne, że z początku wszyscy osłupieli, potem uśmiechnęli się, ale nikt się nie roześmiał. Wzruszyło mnie, że chciał nas rozbawić, odprężyć po trudach egzaminu i nerwowego oczekiwania na wyniki. Zawsze surowy, sumienny, ale w sercu czuły i dobry. Jeśli spotkam go kiedyś, gdy będę już dorosły, a on stary, przypomnę mu, jak tym żartem pokazał swoją prawdziwą twarz!

Punktualnie o dwunastej zebraliśmy się już po raz ostatni w szkole, żeby usłyszeć wyniki i odebrać świadectwa. Przed szkołą stał tłum rodziców. Pełno ich było także w wielkiej sali na parterze, a nawet w klasach, gdzie cisnęli się do biurka nauczycieli. W naszej klasie zajęli całą wolną przestrzeń pomiędzy pierwszymi ławkami a ścianą. Był ojciec Garronego, matka Derossiego, był kowal Precossi, był Coretti, była pani Nelli, była zieleniarka, był ojciec Mularczyka, ojciec Stardiego, byli też tacy, których nigdy dotąd nie widziałem, a hałas i gwar panował jak na jarmarku. Dopiero kiedy wszedł nasz pan, zrobiło się cicho. Nauczyciel miał w ręku listę i zaraz czytać zaczął:

- Abatucci, promocja, sześćdziesiąt siedemdziesiątych. Archini, promocja, pięćdziesiąt pięć siedemdziesiątych...

I Mularczyk promocja, i Crossi promocja. Potem czytał głośniejszym głosem:

- Ernest Derossi, promocja, siedemdziesiąt siedemdziesiątych - i pierwsza nagroda!

Zrobił się szum, każdy chciał mu pogratulować. A on odgarnął włosy, uśmiechnął się szczęśliwy i spojrzał na mamę, która mu przesłała ręką całusa. Nauczyciel czytał dalej:

- Garrone, Garoffi, Kalabryczyk - wszyscy promowani.

Potem wyczytał trzech czy czterech, którzy nie zdali. Jeden zaraz w ryk, bo jego ojciec stał w progu i pogroził mu ręką. Nauczyciel to zobaczył i rzekł:

- Nie, proszę pana! Przepraszam pana! To nie zawsze jest winą ucznia. To często nieprzyjazny zbieg okoliczności i tak się właśnie stało w przypadku pańskiego syna, mogę pana o tym zapewnić!

Potem czytał dalej:

- Nelli, promocja, sześćdziesiąt dwa siedemdziesiątych.

Matka Nellego pomachała synowi i uśmiechnęła się do niego.

- Stardi, promocja, sześćdziesiąt siedem siedemdziesiątych.

Myśleliśmy, że się szalenie ucieszy: Tak blisko Derossiego! Tak wysoko stanął! A ten nawet się nie uśmiechnął i tylko siedział nie-

ruchomo, jak zwykle podparty! Ostatnim wyczytanym, który zdał, był Vatini, wystrojony i wypachniony jak nigdy. Nasz pan wstał i powiedział:

- Chłopcy! Ostatni raz zebraliśmy się tu razem. Przeżyliśmy ze sobą cały rok szkolny, a teraz rozstajemy się. Żal mi bardzo rozstać się z wami!

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

- Jeśli mi kiedy brakowało cierpliwości, jeżeli byłem kiedyś, niechcący, niesprawiedliwy albo zbyt surowy - przepraszam was.

W klasie podniósł się chór głosów:

- Nie! Nie! - wołali rodzice i uczniowie. - Nie, nigdy!

- Wybaczcie - powtórzył nauczyciel - i bądźcie mi życzliwi! W przyszłym roku nie będziecie już mieli zajęć ze mną. Czasami się zobaczymy, na pewno zachowam wspomnienia o was na zawsze. Do widzenia, chłopcy!

Podbiegliśmy do niego, ściskaliśmy mu dłoń, żegnaliśmy się z wdzięcznością:

- Do widzenia!

- Dziękujemy panu!

- Niech pan nie zapomni o nas!

Kiedy wychodził, widać było, że jest bardzo wzruszony.

I my zaczęliśmy wychodzić, pchając się w drzwiach jeden przez drugiego. Inne klasy wychodziły także. Zrobiło się zamieszanie, gwar, hałas, bo i dzieci i rodzice żegnali się z nauczycielami, z nauczycielkami i ze sobą nawzajem.

Młodą nauczycielkę tak obstały maluchy, które się z nią żegnały, że nie mogła złapać tchu! „Zakonnice” zaś dzieciaki wprost obsypały kwiatami! Wszyscy też gratulowali Robettiemu, który właśnie w tym dniu pierwszy raz przyszedł bez kul. Ze wszystkich stron okrzyki, wołania:

- Do przyszłego roku szkolnego!

- Do widzenia po wakacjach!

My także się żegnaliśmy. Ach, jak to się zapomina w takiej chwili o wszystkich niesnaskach! Vatini, który tak zawsze zazdrościł Derossie-

mu, pierwszy teraz wyciągnął ręce i objął go. Ja żegnałem się z Mularczykiem, który mi zrobił ostatni zajęczy pyszczek na pamiątkę.

Pożegnałem się z Precossim, z Garoffim, który mi powiedział, że mój los na jego ostatniej loterii był wygrany, i wręczył mi mały majolikowy przycisk do papieru, trochę obtłuczony w jednym rogu.

Pożegnałem się ze wszystkimi.

Ale jak Nelli zaczął się ściskać z Garronem, to go nie można było oderwać. Wszyscy zresztą pchali się do Garronego i nic nie było przez chwilę słyhać, tylko:

- Cześć, Garrone!
- Do widzenia, Garrone!
- Dziękuję ci, Garrone!
- Żegnaj, Garrone!
- Trzymaj się!
- Dzięki! Dzięki! Dzięki!

I dalej go ściskali, poklepywali, ciągnęli, każdy w swoją stronę! Jego ojciec był tym bardzo zdumiony. Stał i patrzył z uśmiechem, a usta mu drżały.

Garrone był ostatni, z którym się żegnałem. W milczeniu mocno ścisnąłem jego dłoń. Potem pobiegłem do ojca i do mamy, którzy już na mnie czekali. Tata zapytał:

- Pożegnałeś się ze wszystkimi kolegami?
- Pożegnałem.
- Jeśli zrobiłeś któremuś jakąś przykrość, idź, przeproś, pogódźcie się przed naszym wyjazdem. No co? Jest ktoś taki?
- Nie, nie ma!
- No to żegnaj, stara, dobra budo! – rzekł ojciec wzruszonym głosem, obejmując ostatnim spojrzeniem mury naszej szkoły.

Mama także popatrzyła na biały budynek szkolny i powtórzyła:

- Żegnaj!

Tylko ja nie mogłem powiedzieć ani słowa.

KONIEC

Spis treści

Październik

Pierwszy dzień szkoły	5
Nasz wychowawca	7
Wypadek	8
Mały Kalabryczyk	9
Moi koledzy	11
Szlachetny postępek	12
Moja nauczycielka z pierwszej klasy	14
Na poddaszu	15
Szkoła	17
Mały patriota z Padwy (Opowiadanie miesięczne)	18

Listopad

Kominiarczyk	21
Mój przyjaciel Garrone	22
Węglarz i pan	23
Nauczycielka mojego brata	25
Moja matka	27
Mój kolega Coretti	28
Nasz dyrektor	30
Obrońca Nellego	32
Prymus naszej klasy	33
Mała wideta lombardzka (Opowiadanie miesięczne)	34
Ubodzy	38

Grudzień

Handlarz	40
Próżność	41
Pierwszy śnieg	43
Syn murarza	44
Śnieżna kula	46
Nauczycielki	48
W domu zranionego	49
Mały pisarczyk z Florencji (Opowiadanie miesięczne)	50
Siła woli	57
Wdzięczność	59

Styczeń

Zastępca	60
Biblioteka Stardiego	61
Synek kowala	62
Miłe odwiedziny	64
Pogrzeb Wiktora Emanuela	65
Franti wypędzony ze szkoły	66
O sardyńskim doboszu (Opowiadanie miesięczne)	68
Zazdrość	76
Matka Frantiego	77
Nadzieja	79

Luty

Zasłużony medal	81
Postanowienie	83
Kolej żelazna	84
Pycha	86
Ranni przy pracy	88
Więzień	89
Przy łożu „taty” (Opowiadanie miesięczne)	93
W kuźni	101
Pajacyk	103

Ostatni dzień karnawału	107
Mali niewidomi	109
Chory nauczyciel	115
Ulica	117

Marzec

Szkoła wieczorowa	120
Walka	122
Rodzice uczniów	124
Numer 78	125
Zmarły uczeń	127
W przeddzień uroczystości	129
Rozdanie nagród	130
Spór	135
Moja siostra	137
Krew romańska (Opowiadanie miesięczne)	139
Umierający Mularczyk	145
Hrabia Cavour	148

Kwiecień

Wiosna	151
Król Humbert	152
W domu dziecka	157
Na gimnastyce	159
Nauczyciel mego ojca	162
Wyzdrowienie	170
Przyjaciele robotnicy	171
Matka Garronego	172
Józef Miazzini	174
Odwaga	175

Maj

Niepełnosprawne dzieci	179
Poświęcenie	181

Pożar	183
Od Apeninów do Andów (Opowiadanie miesięczne)	186
Lato	220
Poezja	221
Ludwisia	223

Czerwiec

Garibaldi	231
Wojsko	232
32 stopnie	233
Mój ojciec	235
Na wsi	236
Uczniowie-robotnicy	238
Śmierć mojej nauczycielki	240
Dziękuję	242
Zatonięcie statku (Opowiadanie miesięczne)	243
Ostatnia kartka mojej matki	250
Egzaminy	251
Ostatni egzamin	253
Pożegnanie	255

